

Góry Majipooru

Silverberg Robert

Książka IV z Majipoor



calibre 0.9.43

ROBERT SILVERBERG

GÓRY MAJIPOORU

PRZEŁOŻYŁ: KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI

Dla Lou Aronica,

Redaktorzy i wydawcy

zamieniają się, przyjaciele

pozostają na zawsze

przyjaciółmi.

Z dumą mogę oświadczyć, że nikt nie dotrze dalej, niż ja dotarłem... Gęste mgły, śnieżne burze, straszliwe mrozy i wszelkie trudy utrudniające Podróż napotka tu każdy, a są one tym większe z powodu nieopisanie straszliwych cech tej Krainy, Krainy skazanej przez Naturę na to, że nigdy nie dozna ciepła promieni słonecznych, lecz na zawsze spocznie, pogrzebana, pod wiecznym śniegiem i lodem...

Kapitan James Cook: Dzienniki

Niebo, lodowato niebieskie i niezmiennie - choć Harpirias od wielu tygodni podróżował przecież na północ tą niegościnną, wrogą człowiekowi krainą - dziś miało kolor ołowiu.

Powietrze było tak zimne, że aż paliło skórę. Przełęczą w zagrządzającym im drogę gigantycznym paśmie górskim powiał nagle ostry wiatr, niosąc ze sobą drobne, twarde okruchy lodu, miliardy ostrych kawałków kłusujących odsłonięte policzki niczym złośliwe owady.

- Książę, pytałeś jak wygląda burza śnieżna - powiedział Korinaam Zmieniokształtny, przewodnik wyprawy. - Dziś zaspokoisz ciekawość.

- Poinformowano mnie, że o tej porze roku panuje tu lato. Czy na wyżynie Khyntor śnieg pada latem?

- Czy pada? Ależ tak, oczywiście, bardzo często - przytaknął pogodnie Korinaam.

- Czasami wiele dni bez przerwy. Nazywa się to "wilczym latem". Zaspy sięgają nad głowę Skandara, wygłodzone stitmoje wędrują na południe, napadając na stada farmerów gospodarujących u stóp tego górskiego łańcucha...

- Na Panią! Skoro tak jest latem, jak wyglądają zimy?

- Jeśli jesteś człowiekiem wierzącym, książę, powinieneś pomodlić się do Bogini, by nie obdarzyła cię łaską doświadczenia tego na własnej skórze. Ruszamy. Przed nami przełęcz.

Zmarszczywszy brwi, Harpirias niepewnie przyglądał się poszarpanym górskim szczytom. Nieprzyjazne, sine niebo wisiało nisko, tuż nad głową. Kolejny gwałtowny podmuch wiatru rzucił mu w twarz doprowadzające do szaleństwa, ostre lodowe okruchy.

Wędrować w góry, wprost w paszczę burzy, wydawało się zwykłym szaleństwem. Spod zmarszczonych brwi książę przyjrzał się Korinaamowi. Zmieniokształtny obojętnie przyjmował rodzącą się furię niebios. Delikatne, kanciaste ciało okrywało jedynie przewiązane w talii pasmo żółtej tkaniny. Zielonkawy, sprawiający wrażenie gumowego tors wydawał się

nie tknięty nagłym lodowatym podmuchem, a z twarzy, dosłownie pozbawionej rysów - maleńkie nozdrza, cienkie usta bez warg, wąskie, skośne oczy pod ciężkimi powiekami - nie sposób było odczytać niczego.

- Czyś pewien, że mądrze jest wyruszać na przełęcz podczas zamieci?

- Znacznie mądrzej niż czekać na lawiny i powodzie, które spowoduje - oznajmił

Metamorf. Powieki cofnęły się na moment; w czarnych oczach błysnęła stanowczość. - Jeśli wędruje się górkimi ścieżkami wilczym latem, książę, należy stosować się do zasady: "Im wyżej tym lepiej". Właściwa zamieć jeszcze nie nadeszła. Lód niesiony pierwszymi podmuchami wiatru jest wyłącznie jej zwiastunem. Powinniśmy ruszyć, nim pogoda naprawdę się pogorszy.

Nie czekając na odpowiedź, Korinaam wskoczył do ślizgacza, który dzielił z księciem.

Na wąskiej górskiej drodze stało osiem tego rodzaju maszyn; jechało nimi dwudziestu czterech członków ekspedycji prowadzonej - bez entuzjazmu i wbrew jego woli - przez Harpiriasa oraz ekwipunek konieczny do przetrwania podczas wędrówki po nieprzyjaznej, nie zamieszkaney krainie. Sam Harpirias przez chwilę trwał jeszcze nieruchomo; stał obok otwartego wjazdu i ze zdumieniem oraz niedowierzaniem wpatrywał się w niebo.

Śnieg! Padał śnieg!

Wiedział, oczywiście, co to takiego śnieg, jako dziecko czytał o nim bajki. Śnieg to zamrznięta woda, którą niezmiernie niska temperatura zmienia w dziwną, miękką substancję. Kiedy był dzieckiem, miało to dla niego urok magii: piękny biały pył, surowy i czysty, zimny ponad zdolność pojmwania, lecz topniejący pod dotykiem palca. Magiczny pył.

Nieprawdziwy, baśniowy, czarodziejski... przecież na całym, wielkim Majipoorze niemal nigdzie nie spotykało się temperatur wystarczająco niskich, by zamarzała woda. A już z pewnością śnieg nie padał na słonecznych zboczach Góry Zamkowej, gdzie Harpirias spędził

dzieciństwo i młodość wśród rycerzy i książąt dworu Koronala, i gdzie wielkie maszyny, zbudowane w czasach antycznych, rozciągały nad Pięćdziesięcioma Miastami atmosferę wiecznej, łagodnej wiosny.

Opowiadano wprawdzie, że podczas szczególnie ostrych zim śnieg pada na najwyższych szczytach niektórych gór, na przykład góry Zygnor w północnym Alhanroelu czy w łańcuchu Gonghar przecinającym Zimroel, lecz Harpiriasowi jeszcze nigdy nie udało się zbliżyć na odległość choćby tysiąca mil od Zygnor i pięciu tysięcy mil od Gonghar. W ogóle nigdy przedtem nie dotarł tam, gdzie istniałaby choćby możliwość zobaczenia śniegu... aż nagle i niespodziewanie los postawił go na czele misji kierującej się ku najdalszej północy Zimroelu, na leżącą wysoko, otoczoną górkami szczytami równinę znaną jako wyżyna Khyntor.

Wyżyna Khyntor uchodzić mogła za śnieżny raj. Znana jako ojczyzna mroźnych, huraganowych wichrów słynęła z otaczających ją, pokrytych wiecznym lodem górskich szczytów. Z całego Majipooru tylko tu panowała prawdziwa zima, kryła się za łańcuchem znanym jako Dziewięć Sióstr, odcinającym półwysep od reszty świata, skazując go na jedyny w swoim rodzaju nieludzki klimat.

Lecz przecież wyprawa wędrowała po Khyntor latem, więc mimo wszystko Harpirias nie spodziewał się zobaczyć śniegu, może z wyjątkiem jakiś resztek na zboczach najwyższych szczytów, które zresztą dostrzegł wcześniej. Zaledwie kilkaset mil dzieliło ich od Ni-moya i otaczających miasto łagodnych, zielonych wzgórz, gdy krajobraz zaczął się zmieniać, gęsta roślinność ustąpiła miejsca stojącym z rzadka drzewom o żółtych pniach i nagle byli już u stóp wyżyny. Wspinali się, pracowicie deptając ziemię przykrytą wielkimi granitowymi płytami, poprzecinanymi bystrymi potokami i wreszcie przed ich oczami pojawiła się pierwsza z Sióstr: Threilikor, Siostra Płacząca; o tej porze roku na jej zboczach nie było jednak śniegu

zmienionego w strumienie, rzeczki i wodospady, którym Threilikor zawdzięczała swą nazwę. Następna na trasie ich wędrówki była Javnikor, Siostra Czarna; droga prowadziła wokół jej północnego zbocza i tam, w pobliżu szczytu, czarne skały pokryte już były białymi plamami jak oznakami jakiejś złowrogiej choroby. Nieco dalej na północ, na skałach Cuculimaive, Siostry Pięknej, symetrycznej góry różowego kamienia zdobnej w strzeliste skalne wieżyczki, parapety i szczeliny wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów, Harpirias dostrzegł coś jeszcze bardziej zdumiewającego: długie, szarobiałe języki lodu spływające ku dolinom; Korinaam nazwał je "lodowcami".

- To zamrożone rzeki - wyjaśnił. - Zamrożone rzeki spływające w dół, ale powoli, bardzo powoli, zaledwie kilka stóp na rok.

Zamrożone rzeki. Rzeki lodu? Jak to możliwe?

A teraz znalazły się przed nimi Siostry Bliźniacze, Shelvokor i Malvokor, których nie można było ominąć. By dotrzeć do celu, należało się na nie wspiąć. Dwa wielkie, regularne skalne bloki stały tuż obok siebie, wręcz przerażająco ogromne i tak wysokie, że nie można było określić nawet ich wysokości. Szczyty przykrywał biały całun nawet od południowej strony i kiedy patrzyło się na nie w słoneczny dzień, po prostu oślepiały. Dzieliła je stroma, wąska przełęcz, którą zdaniem Korinaama powinni pokonać już, od razu: z przełęczy wiał wiatr, zmiatał wszystko na swej drodze, nie przypominał niczego, co Harpirias na ogół nazywał wiatrem: mroźny, złowrogi, przenikliwy, niosący oznaki gwałtownej burzy śnieżnej. Burzy śnieżnej w lecie!

- I co? - spytał Korinaam.

- Czy naprawdę sądzisz, że powinniśmy ryzykować?

- Nie mamy wyboru.

Na te słowa Harpirias wzruszył ramionami i wpełzł za Metamorfem do ślizgacza.

Korinnam dotknął kontrolek; pojazd ruszył, a za nim podążyły inne.

Przez pewien czas wspinaczka wydawała się czymś równie niecodziennym co pięknym.

Śnieg padał lśniącymi, niesionymi wichrem pasmami, tańczącymi i wirującymi szaleńczo w tempie narzuconym przez porywisty wiatr, powietrze lśniło blaskiem jego płatków. Miękki biały płaszcz otulił czarne ściany przełęczy.

Lecz po pewnym czasie zamieć się nasiliła, a biały płaszcz zaciskał się wokół nich coraz ciasniej i ciasniej. Harpirias nie widział już niczego oprócz bieli, ani po lewej, ani po prawej stronie, ani przed sobą, ani za sobą, ani u góry, ani u dołu... istniał tylko śnieg, wyłącznie śnieg, ciasna opończa śniegu.

Drogę trudno było dostrzec. Na cud zakrawało, że Korinaan w ogóle coś widzi, już nie wspominając o tym, że udaje mu się przeprowadzać ślizgacz przez kolejne ostre zakręty.

Choć wewnątrz pojazdu było dość ciepło, Harpirias zadrżał... i nie umiał już powstrzymać dreszczy. Z dołu widział przecież fragmenty drogi przez przełęcz i wiedział, że jest ona kręta, zdradziecka, że wspinając się między dwiema gigantycznymi górami wiedzie od jednej niezgłębionej przepaści do drugiej - nawet jeśli ślizgacz nie spadnie w jedną z nich na którymś z ostrzejszych zakrętów, istniały duże szanse, że wiatr porwie go i rzuci na zbocze.

Siedział nieruchomo, nic nie mówiąc, zaciskając usta, by powstrzymać szczykanie zębów. Wiedział, jak dalece niewłaściwe byłoby okazanie strachu. Był w końcu rycerzem na dworze Koronała, z powodzeniem ukończył trudny trening poprzedzający nadanie tego tytułu, a i jego przodkowie nie zaliczali się do tchórzy. Tysiąc lat temu najwybitniejszy z nich, Prestimion, w chwale rządził Majipoorem, dokonując wielkich czynów najpierw jako Koronał, potem jako Pontifex. Czy spadkobierca tradycji Prestimiona może pozwolić sobie na okazanie strachu przed Zmiennokształtnym?

Nie. Z całą pewnością nie.

A jednak... ten wicher.... ta stroma, kręta droga... ta coraz grubsza zasłona oślepiająco białego śniegu...

Korinaam zwrócił się do niego, mówiąc na pozór obojętnie:

- Istnieje opowieść o wielkiej bestii Naamaaliilaa, która wędrowała samotnie tu, po górach, kiedyś, gdy była jedynym stworzeniem na świecie. Podczas podobnej burzy chuchnęła na kolumnę lodu, a potem polizała to miejsce, i spod jej jęzora wyszła postać, Saabaataana, Ślepego Giganta, pierwszego mężczyzny naszej rasy. Potem Naamaaliilaa chuchnęła raz jeszcze i jeszcze raz polizała lód, tworząc Siifiinaatuur, Czerwoną Kobietę, matkę nas wszystkich. Saabaataan i Siifiinaatuur zeszli z gór w zielone doliny Zimroelu, byli płodni i mnożyli się szczęśliwie, podbijając świat, i w ten sposób powstała rasa Piurivarów. Ta ziemia jest więc dla nas święta, książę. Tu, wśród mrozów i zamieci, narodziła się nasza rasa.

W odpowiedzi Harpirias tylko chrząknął. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach raczej średnio interesował się mitami o początku rasy Metamorfów, a obecnych okoliczności nie sposób było uznać za sprzyjające.

Wiatr uderzył w ślizgacz jak pięść giganta. Ugodzony jego ciosem pojazd zatoczył się po drodze niczym pijak na wicherze, zakręcił i ruszył ku przepaści. Korinaam najspokojniej w świecie skorygował kurs jednym delikatnym dotknięciem długiego palca o wielu stawach.

Harpirias wysyczał przez zaciśnięte zęby:

- Potrafisz powiedzieć, jak daleko jesteśmy od Othinoru?

- Jeszcze tylko dwie przełęcze i trzy doliny.

- Ach, tylko? A kiedy twoim zdaniem tam dotrzemy? Korinaam uśmiechnął się obojętnie.

- Może za tydzień. Może za dwa. Być może nigdy.

Harpirias nie planował wycieczki w ponurą, mroźną pustkę wyżyny Khyntor, ani o niej nie marzył. Jako potomek jednego z wielkich pontyfikalnych rodów, rodu Prestimionów z Muldemar, całkiem rozsądnie oczekiwał komfortowego życia na Górze Zamkowej w służbie Koronala Lorda Ambinole'a oraz - z czasem - awansu na stanowisko jego doradcy lub wysoką pozycję ministerialną; miał nawet prawo spodziewać się otrzymania w lenno jednego z Pięćdziesięciu Miast!

Na tej komfortowej drodze życia pojawiła się jednak przeszkoda nie do przebycia, przeszkoda rzucona na nią przez bezmyślny, okrutny przypadek.

W swe dwudzieste piąte urodziny - dzień w jego życiu wyjątkowo pechowy - Harpirias wraz z grupą sześciu przyjaciół wyjechał z Zamku, by zapolować w leśnej posiadłości wiejskiej położonej niedaleko miasta Halanx. Rodzina jego przyjaciela, Tembidata, od pokoleń utrzymywała tam park myśliwski. Wyprawa na polowanie była zresztą pomysłem Tembidata, prezentem na urodziny przyjaciela, łowy były bowiem ulubioną rozrywką Harpiriasa - niewysokiego jak większość mężczyzn z rodziny Prestimiona, lecz zręcznego, szerokiego w ramionach, silnego, serdecznego, towarzyskiego i atletycznie zbudowanego młodego człowieka. Harpirias kochał każdy etap polowania: tropienie i podchodzenie zwierzyny, pościg, podczas którego czuło się na policzkach ciepły wiatr, moment zatrzymania przed strzałem, kiedy trzeba było błyskawicznie wycelować oraz - oczywiście - sam strzał i zabicie ofiary. Nie znał lepszego sposobu na spędzenie dnia urodzin niż zgrabne, zgodne z wymaganiami sztuki myśliwskiej zarżnięcie kilku bilantoonów lub tuamiroków o ostrych kłach i przygotowanie z ich mięsa wieczornej uczyty, a z łbów i skór trofeów do zawieszenia na ścianie.

Tak więc dzień urodzin Harpirias spędził z przyjaciółmi, polując... i to polując z

powodzeniem; zabili nie tylko kilkanaście bilantoonów i dwa tuamiroki, lecz także tłustego, smacznego vandara, zgrabnego, szybkiego onathaila i pod koniec dnia także wspaniały okaz sinileese o lśniącej białej sierści i potężnym, rozgałęzionym, szkarłatnym porożu. Tego ostatniego Harpirias upolował własnoręcznie, jednym strzałem ze zdumiewająco dużej odległości - strzałem, który napełnił go zasłużoną dumą z własnych umiejętności.

- Nie miałem pojęcia, że wasza rodzina trzyma w parku tak rzadkie stworzenie - powiedział do Tembidata, stojąc nad tuszą, którą mieli zamiar zabrać ze sobą na zamek.

- Ja także nie miałem o tym pojęcia. - Głos, jakim wypowiedział te słowa Tembidat, głuchy i niepewny, powinien posłużyć mu za przestrożę przed tym, co miało się zdarzyć za chwilę, ale Harpirias aż wzbijał się w dumę i na nic nie zwracał uwagi. - Muszę przyznać, że byłem z lekka zaskoczony, kiedy dostrzegłem go tam, między drzewami. Biały sinileese to rzadkość... nigdy przedtem nie widziałem tego wspaniałego stworzenia... a ty?

- Więc być może powinienem pozwolić mu żyć? Może to ukochane zwierzę twojego ojca... może miał do niego szczególny stosunek...

- I nigdy o nim nie wspomniał? Ani słowem? Nie, Harpiriasie! - Tembidat potrząsnął głową, lecz trochę zbyt energicznie, jakby chciał sam siebie o czymś przekonać. - Z pewnością albo w ogóle o nim nie wiedział, albo nic go to nie obchodziło, inaczej nie wypuściłby go na wolność ot tak, w parku myśliwskim. Znajdujemy się w rodzinnej posiadłości, gdzie wolno nam polować na wszystko, co znajdziemy, więc ten sinileese jest moim prezentem dla ciebie, a ojciec będzie się tylko cieszył, wiedząc, że padł on z twej ręki, na polowaniu w dzień twoich urodzin.

- A kim są ci mężczyźni, Tembidacie? - spytał jeden z uczestników polowania. - To gajowi twego ojca, prawda?

Harpirias podniósł wzrok na trzech potężnych, ponurych mężczyzn ubranych w

szkarłatno-fioletowe liberie, wychodzących właśnie z lasu na przesiekę, na której leżał sinileese.

- Nie - odparł Tembdat, a jego głos znów zabrzmiał dziwnie głucho. - To nie gajowi mojego ojca, lecz naszego sąsiada, księcia Lubovine.

- Waszego... waszego sąsiada? - zająknął się zdumiony Harpirias i poczuł obawę, która nasiliła się, w miarę jak w pełni uświadomił sobie, z jakiej odległości położył sinileese. Po prostu musiał spytać sam siebie, czyje właściwie upolował zwierzę.

Najpotężniejszy i najbardziej ponury z mężczyzn pozdrowił ich wyjątkowo niedbałym salutem.

- Czy szlachetni panowie widzieliście przypadkiem... ach, owszem, widzieliście... - nie dokończył zdania, a jego głos ucichł w złowieszczym warknięciu.

- ...białego sinileese ze szkarłatnymi rogami - dokończył ostro jeden z jego towarzyszy.

Przez krótką, lecz wyjątkowo nieprzyjemną chwilę nad przesieką zapadła pulsująca wrogością cisza. Trzej gajowi ponuro wpatrywali się w ciało zwierzęcia, nad którym klęczał Harpirias, a Harpirias, odłożywszy już wcześniej nóż, którym nacinał skórę ofiary, wpatrywał się we własne zakrwawione dłonie. W uszach słyszał szum, jakby wzburzona rzeka płynęła mu przez czaszkę.

Milczenie przerwał wreszcie Tembdat, a w jego głosie wyraźnie brzmiała arogancja, maskująca niepewność.

- Z pewnością wiecie, że znajdujecie się na terenie parku myśliwskiego księcia Kestira z Halanx, którego jestem synem. Jeśli wasze zwierzę przekroczyło granice naszej ziemi, to choć żałujemy, iż zginęło, musimy stwierdzić, że mieliśmy prawo je zabić. O czym z pewnością wiecie.

- Jeśli nasze zwierzę wkroczyło na waszą ziemię, tak - odezwał się największy z

gajowych. - Lecz jeśli ten sinileese, którego ścigamy przez całe popołudnie, od kiedy uciekł z klatki, zabity został na ziemi należącej do naszego księcia!

- Na ziemi... waszego... waszego księcia... - wykrztusił Tembidat.

- Oczywiście. Widzisz nacięcie tam, na drzewie pingla? Plama krwi znajduje się ładny kawałek za granicą waszej posiadłości, my dotarliśmy tu właśnie śladem krwi. Przenieśliście ciało na ziemię księcia Kestira, oczywiście, ale nie zmienia to faktu, że zwierzę zginęło na ziemi księcia Lubovine'a.

- Czy to prawda? - spytał Harpirias, a w jego głosie wyraźnie dźwięczał strach. - Czy to granica ziemi twego ojca?

- Rzeczywiście... no tak... - mruknął niemal niesłyszalnie Tembidat.

- Ten sinileese był ostatnim okazem swego gatunku i należał do pereł kolekcji naszego księcia - dodał jeszcze gajowy. - Zabierzemy jego mięso i skórę, lecz ów akt bezsensownego kłusownictwa będzie was kosztował znacznie więcej, młodzi panowie. Zapamiętajcie sobie me słowa.

Gajowi zabrali zwierzę i oddalili się bez słowa.

Harpirias stał oszołomiony rozmiarem nieszczęścia, które właśnie mu się przytrafiło.

Park rzadkich zwierząt księcia Lubovine'a słynął ze swych cudów, sam książę był nie tylko arystokratą o przeogromnym majątku, potędze i wpływach - miał wśród przodków Koronala Lorda Voriaxa, starszego brata Koronala i Pontifexa Lorda Valentine'a panującego w Czasach Niepokojów przed pięciuset laty - lecz także człowiekiem próżnym i mściwym, nie znoszącym nawet wyimaginowanego lekceważenia.

Jakim cudem Tembidat okazał się takim durniem, by doprowadzić myśliwych pod granicę rodzinnej posiadłości? Dlaczego nie powiedział, że granica parku myśliwskiego nie jest ogrodzona? Dlaczego nie ostrzegł przed ryzykiem tak dalekiego strzału?

Tembidat, najwyraźniej świadom rozpaczy przyjaciela, powiedział łagodnie:

- Zadośćuczynimy jego życzeniom, nie wątp w to nawet przez chwilę. Mój ojciec porozmawia z Lubovine'em, bez problemu uświadomimy mu, że nie chciałeś kłusować na jego terenie, że tylko popełniłeś błąd... kupimy mu trzy nowe sinileese, pięć nowych sinileese...

Lecz, oczywiście, okazało się, że wcale nie jest to takie proste.

Złożono szczere, pokorne przeprosiny. Zapłacono odszkodowanie za martwe zwierzę.

Podjęto wszelkie możliwe, lecz niestety bezskuteczne starania, by wściekłemu księciu

Lubovine'owi znaleźć innego białego sinileese. Zajmujący wysokie miejsca w hierarchii dworu

krewni Harpiriasa: Prestimionowie, Dekkeretowie i Kinnikenowie przemówili za nim, prosząc

o pobłażliwość dla człowieka winnego przecież wyłącznie błędu zapalczywej młodości. A

kiedy Harpirias nabrał pewności, że cała ta nieprzyjemna sprawa skończyła się wreszcie i

poszła w niepamięć, przeniesiono go nagle na drugorzędną placówkę dyplomatyczną w

wielkim mieście Ni-moya na drugim i mniej ważnym kontynencie Majipooru, Zimroelu,

oddzielonym od Góry Zamkowej oceanem i tysiącami mil lądu.

Rozkaz przeniesienia spadł mu na kark jak topór kata. W rzeczywistości kładł on

przecież kres marzeniom o jakiegokolwiek karierze na dworze Koronała. Gdy tylko Harpirias

znajdzie się na Zimroelu, na Górze Zamkowej natychmiast o nim zapomną - a opuszcza ją

zapewne na lata, być może nawet dziesiątki lat; być może już nigdy nie wezwą go z powrotem.

W Ni-moya czeka go praca pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia, przekładanie papierów,

wysyłanie nieważnych raportów, pieczętowanie absurdalnych dokumentów, i tak rok za

rokiem, rok za rokiem... tymczasem młodzi lordowie przeskoczą go w hierarchii jeden za

drugim, obejmą po kolei wszystkie dworskie urzędy, które należały się jemu, ze względu na

zdolności i na urodzenie.

- To sprawka Lubovine'a, prawda? - spytał Tembidata, kiedy okazało się, że w kwestii

przeniesienia na Zimroel nic nie da się zrobić. - Tak mści się na mnie za tego swojego cholernego sinileese? Ale przecież to nie w porządku... zrujnować człowiekowi życie za przypadkową śmierć jakiegoś cholernego zwierza, i to na polowaniu...

- Nikt ci nie rujnuje życia, Harpiriasie.

- Co ty powiesz?

- Spędzisz w Ni-moya sześć miesięcy, najwyżej rok. Mój ojciec nie ma co do tego nawet najmniejszych wątpliwości. Lubovine jest człowiekiem potężnym, nalegał na ukaranie cię za czyn, którego się dopuściłeś, więc musisz udać się na coś w rodzaju wygnania. Na trochę. Nie martw się, niedługo wrócisz, Koronał osobiście powiedział to mojemu ojcu.

- Rzeczywiście wierzysz, że tak to będzie wyglądać.

- Bez wątpienia - zapewnił Tembidat. Ale nie tak to, oczywiście, wyglądało.

Harpirias wyjechał do Ni-moya pełen najgorszych przeczuc. Wprawdzie było to miasto wielkie i wspaniałe, liczące sobie ponad trzydzieści milionów mieszkańców, miasto białych wież zbudowanych na przestrzeni setek mil nad potężną rzeką Zimr, lecz jednak mimo wszystkich tych wspaniałości było to miasto Zimroelu. Nikt urodzony i wychowany wśród splendoru Góry Zamkowej nie przywyknie łatwo do pomniejszej chwały drugorzędnego kontynentu.

Tu, w Ni-moya, Harpirias spędzał jeden ponury miesiąc za drugim, urzędując w czymś, co nazywało się Biurem Łącznika Prowincji, nie podlegającym ani urzędowi Koronała, ani urzędowi Pontifexa, lecz należącym raczej do biurokratycznej próżni.

Z utęsknieniem wyczekiwał rozkazu przenoszącego go z powrotem na Górę Zamkową.

Wyczekiwał go z miesiąca na miesiąc.

Z miesiąca na miesiąc...

Z miesiąca...

Kilkakrotnie wypełniał podanie z prośbą o wyznaczenie mu obowiązków na Górze. Na żadne z nich nie otrzymał odpowiedzi. Napisał do Tembidata, przypominając mu o rzekomej obietnicy Koronala, który po pewnym czasie miał podobno pozwolić mu powrócić z wygnania.

Tembidat odpisał, iż jest całkiem pewny, że Koronal ma zamiar dotrzymać danego słowa.

Minęła pierwsza rocznica objęcia przez Harpiriasa urzędu w Ni-moya. Rozpoczął się drugi rok jego wygnania. Mniej więcej w tym czasie przestał już regularnie otrzymywać wiadomości z Góry, czasami tylko dochodził do niego jakiś list, strzęp jakiejś plotki, ale i to coraz rzadziej. Zupełnie jakby ludzie wstydzili się do niego pisać! A więc wszystko działo się dokładnie tak, jak w najgorszych snach. Popadł w zapomnienie. Jego kariera dobiegła kresu; dożyje swych dni jako pomniejszy urzędnik nieważnego, zagubionego w hierarchii władzy biura w wielkim wprawdzie, lecz bez najmniejszych wątpliwości prowincjonalnym mieście drugorzędnego kontynentu Majipooru, na zawsze odcięty od źródła władzy i przywilejów, do których przez całe dotychczasowe życie miał nieograniczony dostęp.

Nawet jego charakter począł się zmieniać. Harpirias, niegdyś otwarty i serdeczny, dziś był człowiekiem zamkniętym w sobie, surowym, małomównym, być może bezpowrotnie zgorzkniałym na skutek wyrządzonej mu krzywdy.

Nagle, pewnego dnia, gdy powoli i beznadziejnie przekopywał się przez dostarczoną z Alhanroelu pocztę dyplomatyczną, znudzony najnowszą dostawą bezsensownych dokumentów, które musi przecież kiedyś przeczytać, a potem coś z nimi zrobić, ze zdumieniem znalazł wśród nich jeden adresowany bezpośrednio do siebie, koperta była ozdobiona insygniami księcia Salteira, Najwyższego Doradcy Koronala Lorda Ambinole'a.

Harpirias nie spodziewał się listu od figury tak dostojnej jak Salteir. Drżącymi palcami złamał pieczęć. Czytał dokument z nadzieją, ba! - z zachwytem.

Transfer! Lubovine ugiął się wreszcie! Droga na Górę Zamkową stoi otworem!

Podczas lektury wszelkie jego nadzieje legły jednak w gruzach. Nikt nie wzywał go do źródła władzy, wręcz przeciwnie, właśnie miał jeszcze bardziej się od niego oddalić. Czyżby pogrzebanie przeciwnika żywcem w Ni-moya nie zadowoliło Lubovine'a? Najwyraźniej, ponieważ niniejszym księżę Harpirias wysłany został nie tylko poza granice Góry i Alhanroelu, lecz nawet poza granice cywilizacji: na śnieżną, mroźną pustynię zagubioną wśród gór Zimroelu, znaną jako wyżyna Khyntor.

Wkrótce Harpirias dowiedział się, o co chodzi. Oto pewna ekspedycja naukowa zabrnęła w ten niegościnnie, nie zamieszkały zakątek Majipooru w poszukiwaniu kopalnych szczątków wymarłego gatunku smoków lądowych, wielkich gadopodobnych stworzeń z poprzednich epok geologicznych, podobno spokrewnionych w jakiś sposób ze smokami morskimi - gigantycznymi, inteligentnymi, do dziś pływającymi w wielkich stadach po niezmiernych oceanach planety.

Niejasne, często wzajemnie sprzeczne legendy o tych stworzeniach były powszechnie spotykanym składnikiem mitologii niektórych ras zamieszkujących Majipoor. Wśród Liimenów, nieszczęsnych biedaków, wędrownych handlarzy kielbaskami i rybaków, ugruntowała się wiara, że wielkie smoki żyły niegdyś na lądzie, że z wyboru pogrążyły się w morzu i kiedyś, w jakiejś apokaliptycznej przyszłości, powrócą, by zbawić świat. Hjortowie i kudłaci, czwororęcy Skandarzy mieli podobne wierzenia, a Metamorfowie, czyli Zmiennokształtni, którzy zawsze zamieszkiwali planetę, uważali, że w złotym wieku tylko oni i smoki żyli na Majipoorze w telepatycznej harmonii, zarówno na lądzie, jak i na morzu. Komuś, kto nie był Metamorfem, trudno jednak przychodziło określić, co myślą i w co wierzą Metamorfowie.

Otrzymane przez Harpiriasa dokumenty potwierdzały, że pewnego szczególnie łaskawego lata grupa traperów polujących na stitmoje zapuściła się głęboko w przykryte zwykle wiecznym śniegiem regiony wyżyny, wśród skał, na szczycie zboczy pewnego kanionu znajdując skamieniałe kości ogromnych rozmiarów.

Przyjąwszy założenie, że mogą to być kości smoków, grupa ośmiu lub dziesięciu naukowców wystąpiła do odpowiednich władz administracyjnych o pozwolenie na znalezienie kanionu i otrzymała je. Korinaam, mieszkaniec Ni-moya, Metamorf, jak wielu jego

współplemieńców zarabiający na życie jako przewodnik wypraw myśliwskich w łatwiej dostępne zakątki strefy arktycznej, zatrudniony został celem doprowadzenia ich na wyżynę.

- Wyruszyli zaraz na początku lata - powiedział Heptil Magloir, Vroon z Biura

Starożytności, urzędnik, który podpisał pozwolenie na wyruszenie wyprawy. - Przez całe miesiące nie dawali znaku życia. Nagle, pod koniec jesieni, tuż przed początkiem okresu burz śnieżnych na wyżynie, Korinaam powrócił do Ni-moya. Sam. Oznajmił, że wyprawa została uwięziona i tylko jemu pozwolono wrócić celem wynegocjowania warunków uwolnienia.

Brwi Harpiriasa uniosły się.

- Uwięziona? Przez kogo? Chyba nie górali z wyżyny? - Wyżynę Khyntor przemierzały szczepy prymitywnych, zaledwie na pół cywilizowanych nomadów, od czasu do czasu schodzących na zamieszkaną nizinę i ofiarujących na sprzedaż futra, skóry i mięso upolowanych przez siebie zwierząt. Górale, choć mogli się wydawać dzicy, nigdy jeszcze nie rzucili wyzwania nieporównanie liczniejszym mieszkańcom miast.

- Nie, nie, nie chodzi o górali - zapewnił Vroon, stwór o wielu mackach, sięgający Harpiriasowi mniej więcej do kolan. - W każdym razie nigdy jeszcze nie mieliśmy do czynienia z takimi góralami. Nasi naukowcy zostali najwyraźniej więźniami poprzednio nam nie znanej rasy brutalnych barbarzyńców zamieszkujących północny kraniec wyżyny.

- Zaginiona rasa? - Harpirias nagle poczuł gwałtowny przyływ ciekawości. - Chodzi o jakiś odłam Zmiennokształtnych, prawda?

- Chodzi o ludzi, zapomnianych potomków grupy handlarzy futer, która przed tysiącami lat zawędrowała na północ i tam została odcięta - czy też może pozwoliła się odciąć - od cywilizacji w małej lodowej dolince, dostępnej dopiero teraz, ostatnio bowiem mieliśmy kilka prawdziwie upalnych lat. Ludzie ci zmienili się w dzikusów nie wiedzących nic o otaczającym ich świecie... nie mają na przykład pojęcia, że Majipoor jest ogromną planetą zamieszkaną

przez miliardy istot! Wierzą, iż cała reszta naszego świata przypomina ich dolinę - ot, kilka plemion żyjących z myślistwa i zbieractwa. Kiedy powiedziano im o Koronalu i Pontifeksie, najwyraźniej wzięli ich za plemiennych wodzów!

- Więc czemu uwięzili naukowców?

- Jak rozumiem, ludzie ci - jeśli wolno mi nazwać ich tak szlachetnym słowem - chcą tylko, by pozostawiono ich w spokoju. Chcą, by pozwolono im żyć, jak żyli od wieków w swej górskiej siedzibie, odcięci od świata śniegiem i lodem, bez żadnej ingerencji z zewnątrz. Takich właśnie gwarancji zażądali od Koronala. Chcą zatrzymać naukowców jako zakładników do momentu podpisania odpowiedniego porozumienia.

Harpirias ponuro skinął głową.

- A mnie mianowano ambasadorem u tych górskich dzikusów, zgadza się?

- Tak, oczywiście.

- Wspaniale. Oznacza to, że mam udać się do nich i wyjaśnić im grzecznie i uprzejmie - założywszy, że w ogóle zdołam się z nimi porozumieć - iż Koronal żałuje nieszczęsnego incydentu, który doprowadził do pogwałcenia ich prywatności, obiecuje respektować święte granice ich plemiennych łowisk oraz przyrzeka, że koloniści nigdy nie zostaną wysłani w tę kupę lodu, którą tamci wybrali oni sobie za ojczyznę. Że jako oficjalny ambasador Koronala Jego Wysokości Lorda Ambinole'a jestem władny podpisać traktat obiecujący im wszystko, o co poproszą, a oni mają po jego podpisaniu zwolnić zakładników. Niczego nie pominąłem?

- Jest tylko jeden problem - rzekł Heptil Magloir.

- Tylko jeden?

- Nie spodziewają się ambasadora, lecz Koronala we własnej osobie.

Harpirias aż sapnął ze zdumienia.

- Chyba nie oczekują, że odwiedzi ich Koronal!?

- Niestety, tego właśnie oczekują. Jak już mówiłem, nie mają najmniejszego pojęcia ani o wielkości Majipooru, ani o wspaniałości i majestacie Koronała, ani o ogromie i doniosłości pełnionych przez niego obowiązków. Są także ludźmi dumnymi, których łatwo urazić. Do ich kraju wkroczyli obcy, czego najwyraźniej nie mają zamiaru tolerować, więc wydaje im się, iż wódz owych obcych powinien teraz pojawić się w ich wiosce i pokornie poprosić o wybaczenie.

- Rozumiem - odezwał się Harpirias. - Chcesz więc, bym udał się do nich i upokorzył przed nimi, udając, że jestem Lordem Ambilone'em, tak?

Cienkie macki Vroona zafalowały gwałtownie.

- Niczego takiego nie powiedziałem - oznajmił cicho.

- A więc kim mam być?

- Kimkolwiek, byle tylko czuli się szczęśliwi. Można im powiedzieć wszystko. Mają uwolnić zakładników.

- Wszystko? Czy i to, że jestem Koronalem?

- Wybór właściwej taktyki zależy od woli wysłannika - podsumował Heptil Magloir.

- Wyłącznie od woli wysłannika. Wysłannik ma wolną rękę. Człowiek waszej zręczności i taktu z pewnością umie stanąć na wysokości zadania.

- Ach, oczywiście. Z pewnością.

Harpirias kilka razy odetchnął głęboko. A więc chcieli, by kłamał. Nie rozkażą mu przecież, by kłamał, ale najwyraźniej nie mają nic przeciw temu... jeśli okłamanie dzikusów doprowadzi do uwolnienia zakładników. Rozzłościło go to i zasmuciło jednocześnie. Choć nie należał do ludzi przesadnie uczciwych, sam pomysł, by wśród barbarzyńców udawać Koronała wydał mu się wręcz niesmaczny. Obrażliwy był nawet fakt, że ośmielono się mu to zasugerować. Za kogo go uważają!? Milczał przez chwilę, a potem odezwał się:

- Czy wolno mi spytać, kiedy mam ruszać w drogę?

- U początku khyntorskiego lata. Tylko latem miejsce, gdzie żyje to plemię, bywa dostępne.

- A więc dopiero za kilka miesięcy?

- Oczywiście.

Harpirias nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że padł ofiarą jakiegoś kiepskiego żartu.

Sama myśl o tej idiotycznej wyprawie w krainę wiecznego lodu napawała go rozpaczą.

- A gdybym nie przyjął stanowiska ambasadora? - spytał po kolejnej, krótkiej chwili milczenia.

- Nie przyjął? Nie przyjął? - Vroon wydawał się po prostu nie rozumieć znaczenia tych dwóch prostych słów.

- W końcu nie mam przecież żadnego doświadczenia w podróżowaniu w tak wyjątkowo niekorzystnych warunkach.

- Przewodnikiem wyprawy będzie Metamorf Korinaam.

- Oczywiście - zgodził się kwaśno Harpirias. - To dla mnie wielka pociecha.

W każdym razie pytanie o możliwość odmowy wykonania polecenia pozostało bez odpowiedzi. Harpirias miał wrażenie, że lepiej nie zadawać go po raz drugi, lecz wiedział też, że jeśli da się wpędzić w odgrywanie roli ambasadora gdzieś na końcu świata, jego los będzie przesądzony. Już sama podróż nie należała najwyraźniej do wygodnych i błyskawicznych, a negocjacje z dumnymi dzikusami z pewnością okażą się długie i żmudne. Kiedy wreszcie - jeśli w ogóle - powróci na południe, z pewnością będzie już za późno, by marzyć o odzyskaniu dawnej pozycji na dworze Lorda Ambinole'a. Przez ten czas jego dawni przyjaciele zdążą oczywiście zająć wszystkie liczące się stanowiska, on zaś, jeśli będzie miał szczęście, pozostanie drobnym, nieważnym urzędniczyzną aż do śmierci; o wiele bardziej prawdopodobne

wydawało się jednak, że przyjdzie mu zginąć podczas tej równie idiotycznej co niebezpiecznej ekspedycji, może w jakiejś wielkiej burzy śnieżnej, może z ręki brutalnych górali, kiedy zorientują się, że nie jest Koronalem, tylko pomniejszym urzędnikiem służby dyplomatycznej.

A wszystko to za jednego białego sinileese. Lubovine, Lubovine, coś ty mi uczynił?

Być może istnieje jednak jakiś sposób, myślał Harpirias, by uwolnić się z pułapki.

Długa górską zimą powinna jeszcze trochę potrwać, co dawało mu pewne pole manewru; nie wyruszał w końcu natychmiast. Ostrożnie zasięgnął opinii kilku starszych kolegów z Biura Łącznika Prowincji co do konieczności przyjęcia nowego stanowiska.

Czy istnieje procedura wewnątrzwydziałowa, na podstawie której mógłby odmówić, powołując się na wagę dotychczas wykonywanych zadań? Koledzy patrzyli na niego, jakby mówił w jakimś obcym języku. Czy można odmówić, powołując się na zagrożenie zdrowia lub życia? Tylko wzruszali ramionami. Jaki efekt dla jego kariery miałyby odmowa? Tu przynajmniej wszyscy byli zgodni - katastrofalny.

Harpirias rozważał nawet możliwość zdania się na łaskę Lubovine'a, ale doszedł do wniosku, że byłoby to głupie.

Może warto odwołać się bezpośrednio do Koronala? - nie, nie, po co zdobyć sobie na dworze opinię kogoś, kto nie wykonuje swych obowiązków tylko dlatego, że wydają mu się trudne, a zwrócenie się za jego plecami do starszego monarchy, Pontifexa Taghina Gawada, zamkniętego w cesarskim Labiryncie... cóż, to wydawało się już prawdziwym szaleństwem, czymś tak głupim, że po prostu nie da się tego opisać słowami.

Harpirias zdobył się na jedno - napisał wyważone i dokładnie przemyślane listy do swych krewnych na dworze... lecz ich nie wysłał.

Mijały tygodnie. W Ni-moya, gdzie przez okrągły rok klimat jest ciepły i przyjazny, zmierzch nadchodził teraz późnym wieczorem. Lato, czy też to, co na wyżynie nazywano

latem, zbliżało się wielkimi krokami. Harpirias z rozpaczą zdał sobie sprawę, że wyprawa na północ staje się powoli tak nieunikniona jak tocząca się już lawina i że nie udało mu się znaleźć sposobu, by zejść jej z drogi.

- Ma pan gościa - oznajmił mu pewnego dnia sekretarz. Gościa? Gościa? Przecież nikt nigdy go tu nie odwiedzał...

- Tembidat! - Młody, długonogi mężczyzna w krzykliwie eleganckim stroju książątka z Góry wszedł do gabinetu Harpiriasa pewnie, dumnie. - Co ty tu robisz?

- Sprawy rodzinne. Niedaleko stąd, na zachodzie, mamy plantacje stajji, która ostatnimi laty była najwyraźniej wręcz fatalnie zarządzana. Namówiłem ojca, żeby mnie tu wysłał na inspekcję, to naprawię błędy. No i przy okazji zobaczę się z pewnym starym przyjacielem.

- Tembidat rozejrzał się dookoła, potrząsnął głową. - A więc to tu pracujesz?

- Cudo, nie?

- Gdybym tylko potrafił wyrazić swój najszczerzy żal, że sprawy tak się właśnie ułożyły! Nie masz pojęcia, jak ciężko pracowałem, by wyrwać cię z tego bagna... - w tym momencie Tembidat uśmiechnął się promiennie - ...no, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy! Jeszcze parę tygodni i pożegnasz się wreszcie z tym okropnym miejscem, prawda, staruszk?

- Wiesz o tej mojej misji?

- Jeszcze pytasz! Pomogłem ją załatwić! -Co?

- No, szczerze mówiąc, najbardziej napracował się nad tym twój kuzyn Vildimuir - wyjaśnił Tembidat, nie przestając uśmiechać się ani na chwilę. - On pierwszy usłyszał o tych idiotach naukowcach, którzy dali się porwać dzikusom z gór, i od razu zaczął opowiadać ludziom Koronala, jakim to byłbyś wspaniałym przywódcą wyprawy ratunkowej.

Wtajemniczył w swój plan mnie, a ja natychmiast pobiegłem do Ministerstwa Spraw

Granicznych, gdzie wszyscy byli oczywiście szalenie przejęci, bo właśnie odkryto prymitywną kulturę wymagającą wyjątkowo delikatnego traktowania, co oczywiście powinno doprowadzić do przyznania im większego budżetu, no i zdołałem przekonać samego Inamona Ghaznavisa, że nikt inny nie potrafi poprowadzić negocjacji z tymi dzikusami, zwłaszcza biorąc pod uwagę twoje wykształcenie w dziedzinie dyplomacji i fakt, że jesteś akurat w Ni-moya, praktycznie na granicy wyżyny...

- Zaraz, chwileczkę! - Harpirias oprzytomniał nieco. - Nie wierzę własnym uszom. Nie wystarczy wam, że skazano mnie na tę żalosną pracę bez żadnych widoków na przyszłość?

Czyżbyście z Vildimurem myśleli, że moja sytuacja poprawi się dzięki ekspedycji do jakiegoś mroźnego pustkowia, gdzie nie dotarł jeszcze cywilizowany człowiek?

- Ależ oczywiście!

- Jak to?

Tembidat spojrział na niego jak na idiotę.

- Posłuchaj mnie, Harpiriasie. Ta wyprawa i tylko ona ocali cię przed przekładaniem do końca życia z miejsca na miejsce idiotycznych rządowych papierów!

- Przysięgałeś, że po paru miesiącach Koronal wybaczy mi i pozwoli wrócić...

- Słuchajże! - przerwał mu Tembidat. - Koronal o tobie zapomniał. Myślisz, że nie ma na głowie innych spraw? Jedyne, z czym kojarzy mu się Harpirias z Muldemar, to to, że ów Harpirias zrobił kiedyś coś, co rozsierdziło Lubovine'a, a Lubovine potrafi być dokuczliwy jak jakiś cholerny wrzód na tyłku, więc Koronal nie chce z nim zadzierać i jeśli ktoś z nas tylko wspomni twe imię, natychmiast zmienia temat. Jeszcze parę miesięcy i w ogóle zapomni, że istniejesz, zapomni, że były kiedyś powody, dla których mieszkałeś na Górze Zamkowej. No, tak. A teraz, powiedzmy, że udajesz się na wyżynę Khyntor, by ocalić grupę naukowców przed dzikim plemieniem bitnych barbarzyńców. Wyprawa ta będzie bez wątpienia długa i trudna,

bez wątpienia będziesz musiał dokonać po drodze wielu bohaterskich czynów...

- Oczywiście - przyznał ponuro Harpirias.

- No przecież! Bądź poważny, przyjacielu!

- Bardzo się staram, ale to wcale nie takie łatwe.

Lecz jego samego zaskoczyło to, jaki podejrzliwy, zgorzkniały i cyniczny stał się tu, w

Ni-moya. Harpirias z Góry Zamkowej był zupełnie innym człowiekiem. Zmienił się tak bardzo, że ostatnimi czasy nie potrafił po prostu sam siebie rozpoznać.

Tembidatowi najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało.

- Twoja podróż okaże się oczywiście wielkim i bohaterskim przedsięwzięciem. Udasz się na północ, wśród najbardziej niesprzyjających okoliczności zachowasz się rozważnie i dzielnie, pokonasz wszelkie piętrzące się na twojej drodze trudności i powrócisz bezpiecznie, mając u swego boku ocalonych zakładników. Koronal, uwielbiający opowieści o bohaterskich czynach i dalekich wyprawach przywołujących na pamięć dawne, bardziej romantyczne czasy, będzie najprawdopodobniej chciał wysłuchać twego sprawozdania osobiście, zostaniesz więc wezwany na Górę Zamkową, by mu o wszystkim opowiedzieć. Lord Ambilone oczywiście zachwyci się twą dramatyczną epopeją dziejącą się wśród zabójczych gór północy. Będzie bezgranicznie zachwycony, Harpiriasie! Opisziesz mu barwnie, jak to bez trwogi zaglądałeś śmierci w oczy, by ocalić genialnych naukowców, jak codziennie dokonywałeś czynów, o których za lat tysiąc będzie się jeszcze śpiewać pieśni, więc ani mu w głowie nie postanie, by wysłać cię z powrotem do idiotycznej urzędniczej pracy w Ni-moya, prawda?

- Prawda, prawda. Chyba że nie przeżyję wszystkich tych czynów, o których za tysiące lat będzie się śpiewać pieśni. Chyba że pierwszego dnia przysypie mnie lawina albo któregoś następnego dzikusy zjedzą mnie na kolację.

- Jeśli chce się być bohaterem opiewanym w pieśniach, trzeba przystać na pewne

ryzyko. Ale przecież nie ma powodu, dla którego...

- Nie rozumiesz mnie. Nie chcę być bohaterem opiewanym w pieśniach! Chcę tylko uciec z tego straszego biura na Górę Zamkową, gdzie moje miejsce.

- Doskonale. To twoja jedyna szansa na spełnienie tego marzenia.

- Mam popełnić szaleństwo - westchnął Harpiras. - Mam ryzykować wszystko dla zysku, w najlepszym razie hipotetycznego.

- Zgoda.

- Więc jak możesz się spodziewać, że z ochotą... Teraz z kolei westchnął Tembidad.

- Nie masz po prostu innego wyjścia, Harpiriasie. To twoja jedyna, ostatnia szansa.

Zrozum, Vildimuir, twój wysoko postawiony kuzyn, niemal wyszedł ze skóry, by załatwić ci tę ekspedycję. Apelował co najmniej do kilku ministerstw, ryzykował gniew ludzi, nad których głowami załatwiał sprawy, a w dodatku musiał jeszcze powstrzymywać konkurentów, których wcale nie brakowało. Mówię tu o twych starych przyjaciółach Sinnimie i Grainiwainie, a przede wszystkim Noridathu. Ich zdaniem podróż na wyżynę byłaby emocjonująca! Rozumiesz jeszcze, co znaczy to słowo, Harpiriasie? Wspaniałe widoki, wędrówka po nieznannej, niebezpiecznej krainie, negocjacje z walecznymi barbarzyńcami... bardzo się na to szykowali, wierz mi - i nie tylko oni. Vildimuir miał ogromne kłopoty z załatwieniem ci dowództwa. Jeśli teraz zawstydzisz Vildimuir, nie przyjmując go, to założę się, że w przyszłości nie będzie się bardzo starał, by wyciągnąć cię z Ni-moya. Pojmujesz? Albo jedziesz Harpiriasie, albo decydujesz się zostać do końca życia w tej dziurze, siedzieć za biurkiem, przekładać papiery - więc lepiej już zacznij uczyć się, jak to pokochać. Nic innego ci nie pozostaje.

- Rozumiem. - Harpirias odwrócił się, by przyjaciel nie dostrzegł malującego się na jego twarzy bólu. - Więc wszystko już skończone, tak? Tylko dlatego, że jednym strzałem położyłem rzadkie zwierzę o czerwonych rogach?

- Nie bądź pesymistą, staruszk. Co się z tobą dzieje? Zapomniałeś już, czym jest przygoda? Zrobisz sobie wycieczkę na północ, osiągniesz wszystko, co masz osiągnąć, powrócisz jako bohater i kariera sama będzie cię szukać. Nie zmarnuj szansy, Harpiriasie! De okazji do takiej zabawy zdarza się człowiekowi w życiu? Gdybym mógł, chętnie sam bym się tak zabawiał?

- Naprawdę? A co cię powstrzymuje? Tembidał zaczerwienił się.

- Przyjechałem tu załatwić trudną rodzinną sprawę, co może zająć mi wiele miesięcy; inaczej nie zmarnowałbym przecież takiej szansy, prawda? Ale nie o to chodzi, Harpiriasie.

Możesz nie przyjąć tego stanowiska, jeśli rzeczywiście nie masz ochoty. Powiem Vildimuirowi, że z całego serca dziękujesz mu za jego pomoc, lecz dokładnie sobie wszystko przemyślałeś i zdecydowałeś, że wolisz bezpieczną, spokojną pracę za biurkiem...

- Nie bądź idiotą! Przecież to oczywiste, że nie zrezygnuję z takiej okazji!

- Naprawdę?

Harpirias uśmiechnął się. Kosztowało go to sporo wysiłku.

- Czyżbyś rzeczywiście choć przez chwilę podejrzewał, że odmówię?

Mijały godziny, a śnieżycą wciąż szalała. Harpirias przyjął już do wiadomości, że świat może składać się wyłącznie z bieli i wcale się temu nie dziwił. Ten inny świat, w którym żył niegdyś, świat kolorów, zielonych drzew, czerwonych kwiatów, błękitnych rzek i turkusowego nieba był już tylko snem, a jedyna rzeczywistość składała się z nieskończonej ilości niesionych niezmordowanym wiatrem małych białych płatków, odbijających się nieustannie od przedniego ekranu ślizgacza oraz płaszcza nieskazitelnej bieli otaczającej ich ze wszystkich stron: z przodu i z tyłu, z góry i z dołu, zacierającej ślady tego, co mogło tu jeszcze istnieć oprócz niej.

Harpirias milczał. Nie zadawał pytań, niczemu się nie dziwił. Siedział nieruchomo niczym drewniana rzeźba, a obok niego Korinaam z niemal arogancką pewnością siebie sterował pojazdem wśród huraganowego wichru.

Jak długo trwają burze wilczego lata? He! czasu upłynie, nim przekroczą wreszcie tę przełęcz? Czy wszystkie ślizgacze znajdują się jeszcze za nimi? Harpirias nie potrafił opędzić się przed tego rodzaju pytaniami; wypływały jak wyniesione falą odpady, przez moment dryfowały na powierzchni wody, po czym znów zanurzały się w głębiny. Niezmordowanie padający śnieg hipnotyzował, wpędzał w sen na jawie, przynosił duszy miłe otępienie. Lecz w końcu wiatr zaczął słabnąć. Powietrze powoli oczyszczało się ze śniegu. Ostre kryształki lodu przestały uderzać w ślizgacz, słaby wiatr niósł tylko pojedyncze płatki. Pokrywa chmur na niebie powoli stawała się coraz cieńsza, aż wreszcie przedarło się przez nią wspaniałe, wielkie złotozielone słońce, a zaraz potem z wszechobecnej bieli zaczęły się wyłaniać kształty: ostre kły czarnych skał stojących po obu stronach drogi, kanciaste gigantyczne drzewo wyrastające niemal poziomo z górskiego zbocza, sine chmury na jasnym tle nieba. Z zasp sykiego śniegu niemal natychmiast popłynęły strumyki.

Przebudzony z transu Harpirias dostrzegł, że droga w tym miejscu jest szersza i że prowadzi w dół po łagodnym zboczu. Przed nimi widać było dolinę. Przekroczyli przełęcz między dwoma potężnymi szczytami i właśnie zjeżdżali na równinę zasłaną nagimi granitowymi głazami, między którymi rosła rzadka ciemna trawa na płaskowyżu, za którym, daleko, z szarej mgły wyrastał kolejny górski łańcuch.

Obejrzał się. Drugi pojazd praktycznie deptał im po piętach, dalej widać było jeszcze kilka.

- Ile ich jest? - spytał Korinaam.

Harpirias osłonił oczy przed ostrymi promieniami słońca odbijającymi się od resztek śniegu. Liczył pojazdy, w miarę jak wyłaniały się zza ostatniego ostrego zakrętu na szczycie przełęczy.

- Sześć, siedem, osiem...

- Doskonale - stwierdził Metamorf. - Na nikogo nie musimy czekać.

Harpiriasa zdumiał fakt, że wszystkie pojazdy bezpiecznie przejechały przez groźną przełęcz... i to w czasie gwałtownej burzy śnieżnej. Ale przecież jeszcze w Ni-moya zapewniano go, że przydzielona mu małeńka armia składa się z najlepszych żołnierzy. Było ich dwudziestu kilku - wyłącznie nieľudzi. Przeważali Skandarzy, potężne, czterorękie istoty o wielkiej sile i wspaniałej koordynacji ruchów, których przodkowie przybyli w dawnych czasach z planety, gdzie mróz i lód musiały być czymś najzupełniej zwyczajnym. Oprócz nich Harpirias miał pod komendą także kilku Ghayrogów, łuskowatych, zielonokich, nieco gadzich z ich rozwidłonymi, ruchliwymi językami i wijącymi się na głowach grubymi "włosami"; jednak niemal pod każdym względem Ghayrogi były ssakami. Miał wrażenie, że są to siły raczej szczupłe - zwłaszcza jeśli miałyby z ich pomocą rozprawić się z plemieniem wojowniczych górali, i to na ich własnej ziemi, Korinaam jednak przekonywał, że zabranie ze

sobą większego oddziału byłoby poważnym błędem.

- Te górskie drogi są wyjątkowo trudne do przebycia - tłumaczył. - Przejście nimi z większymi siłami byłoby bardzo skomplikowane. A poza tym dla górali widok zbliżającej się armii oznaczałby raczej inwazję niż misję dyplomatyczną. Niemal na pewno zaatakowałiby z zasadzki, ze strategicznie rozlokowanych punktów wysoko nad drogą. Przeciw tego rodzaju taktyce partyzanckiej nie mielibyśmy szans niezależnie od tego, ilu broniłoby nas żołnierzy.

Teraz, przebywszy pierwszą z kilku oczekujących ich przełęczy, Harpirias zrozumiał, że Metamorf miał całkowitą rację. Nawet bez dodatkowych atrakcji w rodzaju burzy, i tak na tym terenie obrona przeciw tubylcom wydawała się niepodobieństwem. Rzeczywiście, lepiej wywołać wrażenie, że przybywa się w pokojowych zamiarach i zdać się na tyle dobrej woli barbarzyńców, ile będą w stanie z siebie wykrzesać, niż przeprowadzić demonstrację siły w sytuacji, gdy żadna siła nie byłaby w stanie odeprzeć ataku znających teren wojowników.

Letnie słońce, ciepłe i jasno świecące, pochłonęło już resztki śniegu. Białe zaspasy zmieniły się w bezkształtne, szare kupki, te z kolei w bystre strumyki; ogromne połacie śniegu leżące na płaskich skałach ześlizgiwały się z nich, spadały na ziemię i rozpryskiwały z cichym pacnięciem, wszędzie, pozornie znikąd, pojawiały się głębokie jeziorka, droga rozmiękła w lepkie błoto, nad którym ślizgacze unosiły się nieco wyżej niż zazwyczaj - kierowcy musieli wznieść je o dodatkowe dwie, trzy stopy, by nie wzburzyć błotnistych kałuż. Powietrze było zdumiewające, chłodne i przezroczyste; takiej krystalicznej czystości nie obserwuje się w niższych partiach gór. Niezwykle kolorowo upierzone ptaki: jaskrawoczerwone, trawiastozielone i ciemnoniebieskie pojawiły się pozornie znikąd i przecinały powietrze w liczbie przywodzącej raczej na myśl chmarę owadów. Nie sposób uwierzyć, że zaledwie przed godziną szalała tu śnieżycy.

- O! - odezwał się Korinaam. - Haigusy. Po burzy wychodzą polować na nieostrożne

zwierzęta. Są dość okropne.

Harpirias powiódł wzrokiem za wyciągniętą ręką Metamorfa. Dwadzieścia, może nawet trzydzieści niewielkich zwierząt o bardzo gęstym futrze wybiegło z jam znajdujących się mniej więcej w połowie zboczy ciągnących się po obu stronach drogi. Schodziły teraz, nieprawdopodobnie zręcznie przebiegając od głazu do głazu. Futro większości z nich miało odcień czerwony, kilka było czarnych, wszystkie patrzyły jednak na świat wielkimi, błyszczącymi furją krwistoczerwonymi ślepiami i wszystkie uzbrojone były w trzy ostre jak igły rogi wyrastające szerokim łukiem z płaskich, wysokich czoł.

Haigusy polowały w stadzie, osaczając mniejsze zwierzęta i wypędzając na otwartą przestrzeń, gdzie przebijały je rogami i błyskawicznie pożerały. Harpirias aż drgnął. Ich skuteczność i najwyraźniej nienasycony apetyt były równie godne podziwu co przerażające.

- Każdego z nas zaatakowałyby w ten sam sposób - zauważył Korinaam. - W osiem, dziesięć zdolne są pokonać nawet Skandara. Skaczą w górę jak pchły, uderzają w brzuch, oblażą człowieka niczym mrówki. Górale z wyżyny polują na nie dla futra. Przeważnie na te czarne, bo są rzadsze, a więc cenniejsze.

- Powinny być jeszcze rzadsze, jeśli one przede wszystkim są obiektem polowań.

- Czarnego haigusa wcale nie tak łatwo zabić. Są sprytniejsze i szybsze od czerwonych; to rasa wyższa pod każdym względem. Tylko najwięksi myśliwi noszą płaszcze z czarnego futra. No i taki płaszcz ma też oczywiście król Othinoru.

- Rozumiem, że i ja powinienem mieć podobny - zauważył Harpirias. - By pokazać mu, jaki jestem ważny. A jeśli już nie cały płaszcz, to przynajmniej stułę. Sam jestem dość zręcznym myśliwym i...

- Zostaw haigusy tym, którzy na nie polują, przyjacielu. Już oni dobrze wiedzą, jak się do tego zabrać. Lepiej, byś nie zbliżał się do tych wstrętnych stworzeń, niezależnie od tego,

jakim wspomniałbym jesteś myśliwym. Bezpieczniejszym sposobem przekonania króla Toikelli będzie zachowanie się w jego obecności z właściwą władcom dostojnością i majestatem - jakbyś był Koronalem.

- Jakbym był Koronalem - powtórzył Harpirias. - Cóż, czemu nie? Z pewnością nie przekracza to moich możliwości. W końcu miałem w rodzinie Koronala.

- Doprawdy? - spytał Metamorf, którego najwyraźniej nieszczególnie to zainteresowało.

- Prestimiona, Koronala przy wielkim Pontifeksie Konfalumie. Kiedy sam zostałem Pontifexem, jego Koronalem był Lord Dekkeret. Od tego czasu upłynęło przeszło tysiąc lat.

- Aha - zgodził się bez oporu Korinaam. - Moja wiedza o historii waszej rasy jest nieco powierzchowna. Lecz jeśli masz w żyłach krew Koronarów, z pewnością potrafisz zachować się tak, jakbyś był jednym z nich.

- Jakbym był, zgoda. Ale nie mam zamiaru udawać Koronala.

- Nie bardzo rozumiem?

- Vroon z Departamentu Starożytności, który zlecił mi to poselstwo - nazywa się Heptil Magloir - zasugerował, że negocjacje potoczyłyby się łatwiej, gdybym powiedział wodzowi tych ludzi, że jestem Koronalem.

- Och, doprawdy? - Korinaam zachichotał. - To wcale nie taki głupi pomysł, kiedy mu się lepiej przyjrzeć. Wiesz przecież, że spodziewają się właśnie Koronala. Powiedzieli ci o tym, prawda?

- Owszem. Nie dostałem jednak instrukcji upoważniających mnie do udawania Lorda Ambinole'a. I nie mam zamiaru go udawać.

- Nawet w celu ułatwienia i przyspieszenia negocjacji?

- Nawet w tym celu - odparł ostro Harpirias. - W ogóle nie wchodzi to w rachubę.

- Doskonale, księżę. - W głosie Korinaama pobrzmiwała nutka rozbawienia, być może nawet kpiny. -A więc w ogóle nie wchodzi to w rachubę. Skoro tak twierdzisz.

- Owszem, twierdę.

Zmiennokształtny zachichotał cichutko, co strasznie zdenerwowało Harpiriasa. Od dawna nikt nie potraktował go tak z góry. Jakież to dla nich typowe, tych Metamorfów - pomyślał - tak naśmiewać się z ludzi.

Wieki minęły od czasu, gdy Piurivarzy - Metamorfowie, Zmiennokształtni - istoty o tylu nazwach i postaciach - zdobyli te same prawa co inne zamieszkujące Majipoor rasy, lecz jak wielu młodych arystokratów z Góry, Harpirias traktował ich z wrodzoną nieufnością.

Wierzył i zapewne nie całkiem bezpodstawnie, że Zmiennokształtni, podstępni, niegodni zaufania, to rasa intrygantów, istot nieprzewidywalnych, śliskich, które nigdy nie pogodziły się z okupacją ich planety przez miliardy ludzi i stworzeń innych gatunków, przybyłych na

Majipoor przed piętnastu tysiącami lat. Całe wieki temu, za rządów Pontifexa Valentine'a,

Piurivarzy spróbowali wygnać "najeźdźców" lecz ich powstanie zakończyło się łatwą do

przewidzenia klęską, wypracowano porozumienie między nielicznymi tubylcami i przy-

tlaczającą większością kolonistów; porozumienie zadawałające obie strony, lecz... lecz...

Harpirias wierzył, że Metamorfom po prostu nie można ufać. Niezależnie od tego, jak

wydawali się szczerzy i skłonni do pomocy, nie należało brać tego za dobrą monetę, ponieważ

w ich myślach zawsze kryła się zdrada, a w słowach czaiło oszustwo. To oczywiste, że

Korinaam nie widział nic złego w tym, by Harpirias udawał przed góralami Lorda Ambilone'a.

Metamorf, przez naturę obdarowany możliwością przybrania każdego kształtu, jaki tylko mu

się zamarzył, nie miałby żadnego problemu z tego rodzaju łatwą, choć z gruntu niemoralną

maskaradą.

Karawana parła przed siebie. Z opanowanego przez haigusy szczytu przełęczy zjechała

w dolinę. Minęło południe, pogoda była piękna, powietrze czyste; jechali pod bezchmurnym, rozświetlonym promieniami słońca niebem. Po burzy, która przetoczyła się nad nimi, nie było już niemal żadnego śladu. Wiatr ustał, słońce jasno świeciło, po padającym tak gwałtownie śniegu pozostały tylko niknące błyskawicznie czarne plamy wilgoci.

Przed nimi, daleko, czarnosina na tle niebieskiego nieba, stała ogromna, trójkątna góra przypominająca ząb giganta. Po obu stronach drogi wznosiły się kamieniste wzgórza o ostrych konturach, pokryte wyłącznie rzadkimi zagajnikami niskich krzaczastych drzewek i kępami niebieskawej trawy. Od czasu do czasu Korinaam wskazywał zwierzęta: wspaniałe białe stitmoje stojące na krawędzi głębokiej szczeliny, stado wdzięcznych mazigotivelów, przeskakujących od jednej kępy trawy do drugiej w poszukiwaniu pożywienia, bystrookiego górskiego jastrzębia zataczającego ciasne kręgi wysoko na niebie.

Harpirias miał wrażenie, że wyżyna to miejsce stale i cierpliwie oczekujące na jakieś wielkie wydarzenie. Cisza, niezmierna przestrzeń, przezrocyste, wręcz jaskrawe powietrze, skały i rośliny nie spotykanych nigdzie indziej kształtów, niemal całkowity brak ludzi - wszystko to tylko podkreślało i potęgowało wrażenie, które na pierwszy rzut oka miejsce to wywierało, budziło zachwyt i trwogę. Mimo gniewu i splotu nieszczęśliwych wypadków, który go tu przywiódł, Harpirias nie potrafił wzbudzić w sobie żalu, że trafił w góry. Nie wątpił też, że nie zapomni ich wspaniałości, choćby przyszło mu żyć tysiąc lat.

O tej porze roku i na tej szerokości geograficznej słońce pozostawało na niebie do późnych godzin nocnych. Dzień nie chciał się skończyć, Korinaam niezmordowanie parł przed siebie, jakby zamierzał jechać tak do północy, a może jeszcze dłużej. Gdy jednak Harpirias poczuł właśnie pierwsze ukłucie głodu, Korinaam poprosił go o wydanie rozkazu skrętu w lewo, w jedną z bocznych dolinek.

- Górale z wyżyny mają tam swój obóz - wyjaśnił. - Spędzają w nim całe lato. Widzisz,

książę, czarny dym z ogniska, prawda? Sprzedadzą nam mięso na kolację.

Tubylcy wylegli im na powitanie, nim jeszcze karawana miała szansę zbliżyć się do ich obozowiska. Najwyraźniej znali Korinaama i handlowali z nim wielokrotnie, powitali go bowiem serdecznie, wymieniając kwieciste komplementy w szorstkim, przypominającym raczej szczekanie dialekcie, z którego Harpirias rozumiał wyłącznie pojedyncze słowa.

Było to jego pierwsze spotkanie z nomadami z wyżyny. Spodziewał się spotkać raczej zwierzęta w kształcie ludzi niż ludzi i rzeczywiście - górale nosili niedbale pozszywane i w dodatku niezbyt pięknie pachnące skóry, najwyraźniej także żaden z nich ostatnio się nie kąpał; nawet na pierwszy rzut oka nikt nie pomyliłby ich z mieszkańcami Ni-moya. Po bliższym przyjrzeniu się im Harpirias dostrzegł jednak, że są znacznie mniej dzicy, niż mogłoby się wydawać. W rzeczywistości byli to po prostu zdrowi, energiczni, żywotni, całkiem inteligentni ludzie o błyszczących, bystrych oczach, uśmiechający się chętnie i często - tak naprawdę nie mieli w sobie nic prymitywnego, obcego. Gdyby ich wykapać, ostrzyc i odpowiednio ubrać, nie rzucaliby się w oczy na ulicy Ni-moya. Skandarzy, potężni, czwororęcy, z ciałami pokrytymi szorstkim futrem, wydawali się znacznie bardziej barbarzyńscy i dzicy.

Mieszkańcy obozu tłoczyli się ze śmiechem przy ślizgaczach, ofiarując na sprzedaż kościane drobiazgi i prymitywne skórzane sandały. Harpirias kupił nawet to i owo - na pamiątkę z podróży. Niektórzy, mówiący nieco zrozumialej, bombardowali go pytaniami o Ni-moya i inne zakątki Zimroelu, a kiedy powiedział im, że pochodzi z Góry Zamkowej i że w mieście przebywa od niedawna, ożywili się jeszcze bardziej. Zaczęli go wypytywać, czy to prawda, że pałac Koronala ma czterdzieści tysięcy sal, chcieli wiedzieć jakim człowiekiem jest Lord Ambinole i czy ich nieoczekiwany gość sam mieszka w zamku z mnóstwem służby. Potem zapragnęli dowiedzieć się wszystkiego o najwyższym władcy, Pontifeksie Taghinie Gawadzie, postaci jeszcze bardziej dla nich tajemniczej, nigdy bowiem Pontifex nie opuszczał

swej siedziby w podziemnym Labiryncie na Alhanroelu. Pytali, czy rzeczywiście istnieje, czy może jest wyłącznie postacią mityczną, a jeśli istnieje, to czemu nie wybrał na Koronala swego syna zamiast nie spokrewnionego z nim Ambinole'a? I w ogóle dlaczego świat ma dwóch władców, młodszego i starszego, zamiast jednego?

Oczywiście, byli to ludzie prości, lecz - choć przyzwyczajeni do surowego życia - znali też luksusy miasta. Wielu z nich więcej niż raz schodziło w cywilizowane regiony Zimroelu, kilku najwyraźniej przez dłuższy czas żyło w tym czy innym mieście. Odrzucili jednak ten styl życia - po prostu woleli góry. Mimo wszystko nie odcięli się całkiem od wielkiego świata, którego wysunięty najbardziej na północ kraniec przyszło im zamieszkiwać. Owszem, okazali się prości, nieskomplikowani, ale trudno byłoby nazwać ich dzikusami.

- Jeszcze poznacie prawdziwych dzikusów - rzucił Korinaam. - Tylko zaczekajcie, aż dotrzemy do Othinoru.

Tego wieczoru kolacja Harpiriasa składała się z kawałków smażonego na węglach mięsa jakiegoś nie znanego mu zwierzęcia i kilku kufli cienkiego, kwaśnego, zielonego piwa, które wydawało się słabe, ale wcale takie nie było. Słońce wisiało nad krawędzią uskoku do późnej nocy, a kiedy wreszcie się za nią skryło, niebo pozostało przedziwnie jasne. Harpirias spał w ślizgaczu, a właściwie leżał w nim, przewracając się z boku na bok; przysypiał, śnił koszmary i budził się, wreszcie rano wstał, czując w ustach kwaśny smak. No i oczywiście głowa pulsowała mu tępym bólem.

Wkrótce karawana ruszyła równiną na północ. Dzień był pogodny i zimny, nic nie zwiastowało kolejnej zamieci, tylko krajobraz stawał się coraz surowszy. Teren wznosił się z każdą milą, niezbyt gwałtownie wprawdzie, lecz wyraźnie i gdy Harpirias odwracał się, widział leżącą w dole drogę, którą dopiero co przebyli.

Na tej wysokości nawet w południe było chłodno. Nie rosły tu już drzewa, praktycznie nic tu już nie rosło, z wyjątkiem kilku krzaczków niemal całkowicie pozbawionych liści i rozsianych z rzadka kępek niskiej trawy. Nie brakowało tylko nagich skalistych wzgórz pokrytych skorupą starego, szarego lodu, na którym leżała cienka warstwa śnieżnego puchu - pozostałość po wczorajszej burzy, zaledwie nadtopiona. Na horyzoncie czarne dymy kilku ognisk świadczyły, że znajdują się tu także inne obozowiska górali z wyżyny, samych górali już jednak nie spotkali.

Znaleźli się w końcu u stóp trójkątnej góry, którą widzieli przed sobą od czasu, kiedy zjechali z przełęczy. Była to Elminan, Siostra Wierna. Dopiero teraz Harpirias zdał sobie sprawę z jej prawdziwych rozmiarów, dopiero teraz zobaczył, że tkwi ona w ziemi jak gigantyczny znak zapytania, bezlitosna niczym problem, którego nie sposób rozwiązać.

- Nie da się jej sforsować - oznajmił Korinaam. - To znaczy, można wspiąć się na nią od

tej strony, z przeciwnej nie ma jednak zejścia. Możemy tylko objechać ją dookoła.

Tak też uczynili. Zabrało im to ładnych kilka dni; a była to podróż po ziemi surowej, odpychającej, podróż trudna ze względu na ciągnące się całymi milami, twarde jak skała lodowe grzbiety.

W krainie tej grasowały dzikie, wygłodzone zwierzęta, polujące, by przeżyć. Pewnego ranka stado dziesięciu lub dwunastu potężnych bestii, większych nawet od Skandara, podeszło do ich ślizgacza. Stworzenia otoczyły pojazd i zaczęły nim energicznie potrząsać, jakby spodziewały się, że jeśli go przewrócą, zdołają się do łupu dostać od spodu. Harpirias słyszał huk, to jedno z nich waliło pięścią w dach niczym ogromnym młotem.

- Khulpoiny - oznajmił Korinaam. - Obrzydliwe potwory. Harpirias zdjął miotacz ze stelaża.

- Strzelę w powietrze - powiedział. - Może to je wystraszy?

- Bez sensu. One się niczego nie boją. Dajcie mi miotacz. Niechętnie, z wahaniem, Harpirias oddał broń Metamorfowi. Ten uchylił lekko właz i wystawił przezeń szeroką lufę. Błysnęły dzikie ślepie, wyszczerzony pysk, kły jak poźółkłe ostrza sierpów. Korinaam wycelował spokojnie i strzelił. Rozległ się przeraźliwy ryk bólu i khulpoin odskoczył od ślizgacza; z dziury w tułowiu, przy łapie, tryskała obficie fioletowa krew.

- Zraniłeś go tylko. - W głosie Harpiriasa brzmiała pogarda.

- No właśnie. Jak najwięcej krwi, o to chodzi. Patrzcie, co się będzie działo.

Ranny, ryczący khulpoin uciekał pochylony, przeskakiwał lodowe grzbiety, zataczał się, pozostawiał na ziemi ślad fioletowej krwi i gryzł krwawiącą ranę. Jego towarzysze natychmiast zaprzestali ataku i rzucili się za nim w pościg. Dognali go po stu jardach, otoczyli i powalili ciosami łap, niektórzy skakali po zwalonym cielsku. Nawet z tej odległości pomruki zadowolenia rozbrzmiewały wewnątrz pojazdu ze zdumiewającą siłą.

- Nie będziemy przeszkadzać im w posiłku - stwierdził Korinaam i ruszył pełnym gazem. Harpirias obejrzał się za siebie tylko raz; to, co zobaczył, przyprawiło go o drżenie. Jeszcze jeden dzień i jedna noc. I jeszcze jeden dzień. I jeszcze jedna noc... a przez cały ten czas fioletowa Elminan zagradzała im drogę niczym pełen pogardy strażnik; wreszcie dotarli do zachodniego zbocza i zaczęli ją okrążyć. Zabrało im to kolejne półtora dnia, lecz nareszcie Harpirias mógł spojrzeć na północne zbocze, przerażającą, pionową skałę nieprzerwaną szczeliną lub półką aż do samego wierzchołka, przy ziemi zaś kończącą się piargiem potężnych głazów. Oczywiście z tej góry nie dałoby się zejść, można ją było jedynie okrążyć. Znaleźli się teraz w krainie nagiej i suchej niczym pustynia. Podczas przeprawy kilkakrotnie widzieli, jak z czystego nieba bez ostrzeżenia i najwyraźniej w zupełnie przypadkowych miejscach waliły w ziemię błyskawice niczym pięści gniewnych bogów, odbijając się od niej iskrami jaskrawego ognia. Miejsce to chyba przygnębiało nawet Korinaama. Przebyli je najszybciej, jak mogli.

Widzieli już na horyzoncie ostatnie z dziewięciu wielkich masywów wyżyny. Dwa - Thail i Samarii, Siostry Mądra i Okrutna - leżały na wschodzie, na zachodzie zaś, tak daleko, że wyglądała jak czarna kropka na niebie, stała Kantaviroka o trzech szczytach, Siostra Najstarsza. Korinaam prowadził ich jednak prosto na północ, zawsze na północ, za ostatnie obozowisko górali, za granicę poznanej ziemi, głęboko w lodową pustkę wiecznej zimy, cichą jakby związaną uroczystą przysięgą milczenia. Harpirias miał wrażenie, że wkrótce znajdą się na dachu świata.

Czy w całej historii Majipooru ktoś tu kiedykolwiek dotarł? Ależ tak, oczywiście, Korinaam najwyraźniej znał drogę i dobrze wiedział, dokąd ich prowadzi. Niemniej jednak miejsce to sprawiało na Harpiriasie wrażenie dziewiczego, nieznanego i nieskalanego. Znajome miasta Majipooru, które pozostawił za sobą, grzejące się w ciepłych, przyjaznych

promieniach letniego słońca, przestały już być dla niego rzeczywistością, zmieniając się w sen, w mit, wyrosły na żyznej glebie wyobraźni, lecz nie mający najprawdopodobniej żadnego odpowiednika w prawdziwym świecie. Niewyobrażalnie gigantyczna planeta, rozciągająca się z miejsca, gdzie stał, aż do bieguna południowego, była dla Harpiriasa trochę nierealna. Realne było tylko to, co go otaczało: surowy świat lodów, mgły, błyszczących skał. Czy ta jego podróż skończy się kiedykolwiek? Nie, nie, nie - los skazał go na to, by wędrował po kres swych dni, zagłębiając się nieustannie w jednostajny, biały świat, wiedziony niezmiennie przez zagadkowego, ponurego Metamorfa. I tak aż do kresu przestrzeni i czasu.

Lecz każda podróż kiedyś się kończy. Nawet ta.

Pewnego ranka Korinaam wskazał ciemną linię, ciągnącą się na horyzoncie ze wschodu na zachód, pionową skalną ścianę stukrotnie wyższą od dorosłego mężczyzny, nieprzerwaną, broniącą im dalszej drogi.

- Królestwo Othinoru - oznajmił. Zaskoczony Harpirias rozejrzał się dookoła.

- Gdzie?

- Za tym łańcuchem.

- Przecież tu nie ma żadnego przejścia!

- Ależ jest, książę. Jedno. Tylko jedno.

I rzeczywiście, istniało, wbijało się klinem w skalną ścianę, niewiele węższe od ślizgacza. Znalezienie go zajęło Korinaamowi dwa dni, podczas których Harpirias kilkakrotnie utwierdzał się w przekonaniu, że Zmiennokształtny tak naprawdę nie ma pojęcia, gdzie powinien szukać; w końcu jednak na nie trafił. Metamorf zatrzymał pojazd, otworzył właz, gestem polecił Harpiriasowi wysiąść.

- Możemy tam udać się tylko pieszo - oznajmił. - Nie ma innej możliwości. Idźcie za mną.

Harpiriasowi nie podobało się, że musi zostawić ślizgacze, ale najwyraźniej nie było innej możliwości; pojazdy po prostu nie zmieściłyby się w szczelinie. Ustawił żołnierzy w dwuszereg, z największymi i najgroźniej wyglądającymi Skandarami z przodu, wraz z Korinaamem zajął pozycję na czele kolumny... i tak wkroczyli do królestwa Othinoru. Znaleźli się w tajemnym świecie niezwyklej, nieludzkiej urody.

Wysoka, skalna, ukoronowana czapą śniegu palisada, kryjąca to miejsce przed ciekawością obcych, biegła w prawo i w lewo, wyginając się łukiem sugerującym, że tworzy okrąg zamykający się gdzieś niedaleko stąd, na północy. Za nią znajdowała się eliptycznego kształtu równina, całkowicie zamknięta skalną ścianą, pokryta błyszczącym w świetle słońca polem śniegu, a naprzeciw “wejścia”, przytulone do skał, stało lodowe miasto: skupisko przysadzistych, dwu-, a nawet trzykondygnacyjnych budynków zbudowanych z bloków lodu obrobionych z imponującą precyzją i rzeźbionych w fantazyjne parapety i wieżyczki. Od stykających się lodowych płaszczyzn odbijały się promienie słońca, sprawiając wrażenie, jakby w powietrzu unosiły się roje diamentów.

Harpirias bez problemu zorientował się, że słońce zagląda tu najwyraźniej tylko podczas kilku dni lata, a i to wyłącznie na parę godzin; stroma skalna ściana otaczająca Othinor nie dopuszczała do środka jego promieni przez resztę roku. W gruncie rzeczy było to miejsce ponure i klaustrofobiczne, tajemnicze i mroczne, w tej jednak chwili wydawało się pogodne i piękne.

Kiedy tak stał, oszołomiony urodą niewielkiego mroźnego górskiego księstwa, z lodowych domów wybiegli ludzie i ruszyli ku nim biegiem.

- Othinorczycy - oznajmił Korinaam. - Zachowajcie zimną krew i nie wykonujcie żadnych groźnych gestów.

Othinorczycy sprawiali wrażenie demonów. Metamorf wyjaśnił, że słowo “Othinor”

oznacza w języku tubylców "Ukryci" lub "Święci", a które tłumaczenie należało uznać za lepsze, pozostało sprawą nie rozstrzygniętą. W biegnących ku nim postaciach trudno się było jednak dopatrzeć świętości. Nadciągało około dwudziestu szczerzących zęby, włochatych, groźnie wyglądających mężczyzn, ubranych w niedbale pozszywane kawałki futra, o twarzach i ramionach krzykliwie pomalowanych. Choć uzbrojeni wyłącznie we włócznie i prymitywne miecze, najwyraźniej byli gotowi - a nawet chętni - do natychmiastowego ataku.

Harpirias obejrzał się. Niektórzy z jego Skandarów poruszyli się niepewnie, rozległy się pojedyncze trzaski odbezpieczanych miotaczy.

- Nie strzelać - rozkazał ostro. - Stać nieruchomo, broni użyć tylko w razie bezpośredniego ataku.

Choć na takowy na razie się nie zanosilo, żołnierzom trudno było patrzeć spokojnie na biegnących ku nim, wyjątych przeraźliwie ludzi. Harpirias zerknął niepewnie na Korinaama, ten jednak tylko uśmiechnął się i powiedział:

- Nie robią nam krzywdy. Wiedzą, kim jestem, i wiedzą, że wróciłem, przynosząc dobre nowiny.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Wyciągnijcie ręce na boki, dłonie trzymajcie wierzchem do przodu - to oznaka pokojowych intencji. Sprawiajcie najgodniejsze i najbardziej dostojne wrażenie, na jakie was stać. Nie odzywajcie się ani słowem.

Harpirias przyjął wymaganą pozycję, czując się przy tym straszliwie głupio. W następnej chwili Othinorczycy otoczyli ich, drepcząc i tańcząc w niemal komicznym pokazie barbarzyńskiej siły, wrzeszcząc, wywalając języki, wymachując im przed oczami mieczami i włóczniami z teatralnym wręcz rozmachem.

Być może chodzi właśnie o to, pomyślał Harpirias. Być może to właśnie teatr,

demonstracja siły. Sposób na uświadomienie przybyszom, że lud Othinoru niełatwo jest przerazić.

Korinaam już przemawiał: głośno, powoli, wyraźnie, wypowiadając słowa brzmiące szorstko i sprawiające wrażenie bełkotu, choć niektóre wydawały się niemal zrozumiałe. Jeden z Othinorczyków, wysoki, o chudej twarzy, ubrany i wymalowany nieco staranniej od swych towarzyszy, odpowiedział coś szybko, zdecydowanie, nastąpiła przerwa, a po chwili Korinaam znów zaczął mówić, najwyraźniej powtarzając swą poprzednią deklarację. I tak się to toczyło przez kilka minut - najpierw niepojęty bełkot z jednej strony, później niepojęty bełkot z drugiej. Harpirias powoli uświadamiał sobie, że język tych ludzi jest jakoś spokrewniony z językiem używanym na całym Majipoorze. Podobnie jak dialekt górali, i on uległ daleko idącym zmianom, tyle że zmiany te poszły znacznie dalej niż w przypadku mieszkańców wyżyny. Górale posługiwali się w zasadzie uproszczoną wersją języka standardowego, mowa Othinorczyków, wytworzona podczas tysięcy lat całkowitej izolacji, wydawała się zupełnie inna i pozbawiona korzeni. Harpirias był ciekaw, w jakim właściwie stopniu Korinaam rzeczywiście nią włada.

Najwyraźniej w wystarczającym. Othinorczyki zaprzestali groźnych tańców; stali w milczeniu, nieruchomo, wpatrując się w gości. Czy ten, który odpowiedział na pierwsze słowa Matemorfa, jest królem? - zastanawiał się Harpirias. Nie, chyba raczej kimś w rodzaju kapłana. Nadal rozmawiał ze Zmienno-kształtnym, ale wymiana zdań przebiegała raczej normalnie, nie przypominała już przemowy z obydwu stron. Tymczasem reszta tubylców, nasyciwszy się z pewnej odległości zdumiewającym widokiem Skandarów i Ghayrogów, postanowiła przyjrzeć się im z bliska.

Jeden z Othinorczyków z wahaniem dotknął palcami gładkich, twardych łusek Mizguun Troyzta, GhaVroga, technika zajmującego się ślizgaczami, i delikatnie je potarł. Choć zimne,

nie mrugające oczy Troyzta pozostały bez wyrazu, włosy mu się poruszyły, zdradzając wyraźną niechęć. Cofnął się odrobinę, ale Othinorczyk po prostu dalej wyciągnął rękę.

- Nie chcę, żeby mnie tak dotykali - wysyczał Ghayrog przez zaciśnięte zęby.

- Ja też - dodał Eskenazo Marabaud, kapitan Skandarów. Jeden z tubylców, wspiąwszy się na palce, najpierw szarpał jego rudawe futro porastające szeroką pierś, a potem złapał go za dolną parę ramion i zaczął je szarpać, jakby chciał się przekonać, czy rzeczywiście wyrastają z ciała.

Harpirias z trudem hamował wesołość. Niestety, reszta Othinorczyków z entuzjazmem zabrała się do szczegółowego badania tak dziwnych stworzeń i - zerknąwszy na swych ludzi

-Harpirias zorientował się, że lada chwila może dojść do jakiegoś incydentu.

- Lepiej, żebyś natychmiast położył temu kres - poinstruował Korinaama.

- Nic się nie da zrobić - odparł Zmiennokształtny. - Wyrażają tylko naturalną dla nich ciekawość. Twoi żołnierze będą po prostu musieli się do tego przyzwyczać.

- A jak długo jeszcze mam stać z tak głupio rozłożonymi rękami?

- Możecie je już opuścić. Zostaliśmy oficjalnie zaproszeni do wioski. Kapłan właśnie oznajmił mi, że król Toikella z niecierpliwością czeka, aby nas poznać. Tak więc, książę, w drogę do pałacu Jego Wysokości!

Pałac władcy Othinoru był, oczywiście, największym budynkiem w wiosce, trzypiętrową budowlą wzniesioną na jej wschodnim krańcu. Fasadę wprawdzie pokrywały wały wyrzeźbione w lodzie, skomplikowane, fantastyczne ornamenty, w środku jednak znajdowała się tylko jedna, wielka i przypominająca jaskinię sala, wysoka, szeroka i długa, choć pozbawiona podpierających strop kolumn. Harpirias pomyślał, że tego rodzaju konstrukcja z pewnością bardzo obciąża kruche bryły lodu, z których zbudowano ściany, nie pozostawiając żadnego marginesu bezpieczeństwa.

Sala okazała się mroczna, zadymiona i cuchnąca. Powietrze było tu zdumiewająco wilgotne i ciepłe, a na dodatek śmierdziało gnijącą rybą. Ze ścian zwisały ciężkie tkaniny, podłoga pokryta była wyschłym sitowiem, nieprzyjemnie trzeszczącym pod stopami. Jedynym źródłem światła był duży skórzany zbiornik, stojący w wielkiej jamie wygrzebanej w samym środku pomieszczenia, w którym, pobłyskując niebieskawo, płonął powoli jakiś nie znany przybyszom olej. Tuż za jamą król Toikella siedział na przedziwnym, wielkim płaskim tronie, zbudowanym w całości z pomysłowo połączonych ze sobą gigantycznych gnatów: żeber, kości udowych, wielkich krzywych kłów, łopatek, szczęk i innych pozostałości bestii zamieszkujących tę lodową krainę, oczywiście tych, które uznano za godne, by ich szczątki stanowiły miejsce odpoczynku króla.

Sam władca z pewnością pasował do swego tronu: wielki, brzuchaty, całkiem łysy i wyjątkowo wręcz brzydki gigant, nagi z wyjątkiem skórzanej przepaski na biodrach oraz naszyjnika z kości i pożółkłych kłów, z twarzą, plecami i ramionami pokrytymi plamami jaskrawej farby. W lewej ręce Toikella trzymał wielki, krwawy, tłusty i obrzydliwy kawał mięsa, z jednej strony spalony na węgiel, poza tym właściwie surowy, którym pożywiał się, gdy Harpirias i Korinaam wchodzili do jego pałacu. Kilka półnagich kobiet, w większości równie

tlustych i odpychających jak on sam - czy były to żony, czy może nałożnice lub księżniczki? -
siedziało u stóp tronu.

Metamorf zrobił krok, przyjął pozycję najwyraźniej sygnalizującą poddanie - szeroko rozłożone ręce, wnętrza dłoni zwrócone ku przodowi - po czym wygłosił długą przemowę, całkowicie dla Harpiriasa niepojętą. Kiedy skończył, przez chwilę panowała cisza. Król nie odpowiedział mu od razu, oddał tylko kawałek mięsa i zaczął go w zamyśleniu przeżuwać. Następnie dokładnie obejrzał posła, a potem powoli i uroczyście wstał, wyprostował się na całą swą imponującą wysokość i z pełnymi ustami przemawiał przez dłuższą chwilę najniższym basem, jaki zdarzyło się Harpiriasowi słyszeć, basem przypominającym raczej warkot Skandara.

Kiedy skończył, oderwał z trzymanej w dłoni porcji kolejny kawałek i niedbale cisnął go posłowi. Harpirias złapał go odruchowo, zdumiony.

- Król cię wita - szepnął Zmiennokształtny.

- Powiedz, że dziękuję mu za uprzejmość.

- Za chwilę. Na razie zjedz mięso.

- Żartujesz!

- Ależ skąd. Zjedz mięso, książę.

Harpirias przyglądał się poczęstunkowi niezbyt uszczęśliwiony. Śmierdział ostro, kwaśno, a i wygląd miał niezbyt zachęcający. Z jednej strony wydawał się osmalony, w innych miejscach lśniła krew, tylko przez środek biegł pasek tłuszczu i chrząstek. Obrócił mięso niemal niezauważalnie, szukając robaków.

- Jedz - powtórzył Metamorf. - Nie wolno nie przyjąć kąska z królewskiej porcji.

- Ach, tak! Oczywiście. Oczywiście.

Cała ta scena powoli zaczynała sprawiać wrażenie nierzeczywistej. Spokojny,

cywilizowany Majipoor oddalił się jeszcze bardziej i on, Harpirias, równie dobrze mógł znajdować się w innym wszechświecie albo w ogóle doznawać halucynacji. A może śni? Może Król Snów nagroził go po prostu przesłaniem? Jeśli to sen, to nie widział sposobu, by się przebudzić.

Harpirias powiedział sobie, że zdarzają się na świecie rzeczy straszniejsze niż jedzenie na pół surowego mięsa, dodał także, że obowiązkiem dyplomaty jest dostosowanie się do zwyczajów gospodarzy. Ugryzł kawałek mięsa. Prawdę mówiąc, smakowało lepiej, niż wyglądało. Podczas polowań na Górze Zamkowej zdarzało mu się jadać obrzydliwsze rzeczy. Drugi kęs nie był już tak przyjemny; poczuł w ustach surowy tłuszcz i prawie się nim udławił. Udało mu się nie zwymiotować, wbił więc zęby w mięso raz jeszcze, obserwowany z ciekawością przez króla Tolkiellę.

- Teraz możesz mu już podziękować w moim imieniu - polecił Korinaamowi.

- Nie skończyłeś jeść.

- On też nie. Możemy jeść podczas rozmowy.

- Książę, uważam, że...

- Przekaż mu moje podziękowania. Natychmiast.

Korinaam tylko skinął głową, odwrócił się w stronę siedzącego na tronie wielkoluda i rozpoczął donośną, bardzo kwiecistą orację. Król słuchał jej z widoczną przyjemnością, na zakończenie zamasyście skinął głową i rozpoczął długą odpowiedź, w której Harpirias wychwytywał słowa "Koronal" i "Lord Ambinole" powtarzające się od czasu do czasu wśród chrapliwych powarkiwań. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że wypowiadając je, Toikella patrzy wprost na niego.

Co nasunęło mu na myśl niemiłe podejrzenia.

- Zaraz, zarazi - niemal krzyknął na Metamorfa w chwili, gdy władca Othinoru

najwyraźniej zakończył przemowę i umilkł. - Coś ty zrobił? Nie powiedziałeś mu chyba, że jestem Koronalem Majipooru, prawda? Pamiętasz, że zakazałem ci to mówić?

Zmiennokształtny wykonał przeproszający gest.

- Pamiętam. I nie powiedziałem. Obawiam się jednak, że król sam z siebie doszedł do tego wniosku, książę.

- Więc ma od niego odejść! Wyprowadź go z błędu, natychmiast! Nie mam zamiaru udawać kogoś, kim nie jestem!

Korinaam sprawiał wrażenie zakłopotanego. Jego forma rozmyła się i zafalowała nieco na krawędziach, co u Zmienno-kształtnych jest oczywistą oznaką niepokoju.

- Nie pora na wyjaśnianie mu tego drobnego nieporozumienia. Zmieszalibyśmy go tylko, a może nawet rozgniewali -i to teraz, kiedy wszystko idzie tak gładko. Później znajdziemy wiele lepszych okazji, by wszystko wyjaśnić.

- Powiedziałem “teraz”. Musi zrozumieć, że zaszła pomyłka, że jestem jedynie wysłannikiem Koronala. To rozkaz, Korinaamie. Masz mu wyjaśnić bez niedomówień, że...

Lecz król Toikella zaczął nową przemowę. Gwałtownymi gestami Metamorfa nakazał posłowi ciszę, co tak rozgniewało Harpiriasa, że odgryzł kawałek surowego mięsa, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Nagle uświadomił sobie, że jest całkowicie zależny od Zmiennokształtnego. Nie mogąc samemu porozumieć się z królem Toikella, musiał zdać się na Korinaama, na każdym kroku potrzebował tłumacza. Korinaam może mówić królowi, co mu się żywnie podoba, on zaś i tak nigdy nie dowie się prawdy. Ta niezręczna sytuacja może w przyszłości narobić kłopotów.

A właściwie to już narobiła.

Toikella umilkł. Czekał.

Korinaam spojrzał na Harpiriasa.

- Król mówi, że z radością wita cię u siebie - oznajmił.

- Doskonale. Zapytaj go, czy zakładnicy cieszą się dobrym zdrowiem.

- I znów, książę, muszę cię błagać o cierpliwość. Nadal nie nadeszła pora, by o to pytać.

Harpirias poczuł, jak zalewa go fala gniewu.

- Ja jestem ambasadorem czy ty, Korinaamie? Metamorf wykonał zamaszysty gest poddania.

- W tej kwestii nie może być najmniejszych wątpliwości, książę.

- Wygląda mi jednak na to, że uczyniłeś się sędzią ostatecznym tego, co i kiedy wolno mi powiedzieć. W tym szczególnym wypadku jestem zmuszony nalegać. Informacja na temat stanu zdrowia zakładników wydaje mi się...

- Musimy założyć, że nic złego się im nie dzieje, książę - wtrącił gładko Korinaam - jednak zadawanie takich pytań wprost jest w tym momencie niewłaściwe i przedwczesne. Co więcej, także nieuprzejme.

- Nieuprzejme? Nagi barbarzyńca siedzący na tronie ze zwierzęcych kości, jedzący kawał praktycznie surowego mięsa i zmuszający mnie, bym też je jadł, wygaduje jakieś nonsensy, a ja mam się martwić uprzejmością?

- Uprzejmość jest w dyplomacji bardzo pożytecznym narzędziem. - Metamorf uśmiechnął się, jak zwykle nieco kpiąco. - Cierpliwość również. Błagam, książę, o poważne potraktowanie mej rady. Ja wiem, jacy są ci ludzie. Ty nie.

To prawda, pomyślał Harpirias.

W każdym razie dalsza rozmowa okazała się niemożliwa, Toikella wstał bowiem z tronu i zstąpił z podwyższenia, wykrzykując kierowane do członków swego dworu rozkazy wręcz zdumiewająco donośnym głosem.

- Co mówi? - zainteresował się Harpirias.

- Że mają nas zaprowadzić na kwatery, gdyż pewnie chcielibyśmy przez kilka godzin odpocząć po tak trudnej podróży. I że wieczorem odbędzie się na naszą cześć wielka uczta.

Prawdziwy pokaz gościnności Othinoru.

- Potrafię to sobie wyobrazić. - Harpirias nie sprawiał bynajmniej wrażenia człowieka uszczęśliwionego tą wiadomością.

Gościnni gospodarze oddali im do dyspozycji dwanaście pokoików w niskim lodowym budynku leżącym po przeciwnej stronie wioski. Skandarzy musieli spać po kilku w jednym pomieszczeniu, choć stworzeniom tych rozmiarów z pewnością nie było wygodnie. Czterej Gahyrogowie, najchętniej trzymający się razem, zajęli dwa pokoiki, tylko Korinaam i Harpirias mogli cieszyć się luksusem własnej kwatery.

Ta Harpiriasa okazała się prostokątną, pozbawioną okien celą, oświetloną wyłącznie płomykami kościanych lamp, w których palił się gęsty, ciemny i śmierdzący olej, ten sam co w sali tronowej. Powietrze, mimo płomieni nieruchome, było ciężkie, a przy tym zimne... bardzo zimne. Spanie w tym miejscu będzie przypominało spanie w niewielkiej chłodni, nawet w czterech ścianach oddech chmurą wypływał mu z ust. Wokół dostrzegał tylko lód: lodowa podłoga i sufit, lodowe ściany. Za łóżko służyły rzucone w kąt skóry, tworzyły jedyny widoczny tu mebel.

- Czy to ci wystarczy, książę? - spytał Korinaam. Harpirias przyglądał się swej kwaterze ze zmarszczonymi brwiami.

- A jeśli powiem, że nie?

- Król będzie bardzo zawstydzony.

- Ach, tego byśmy z pewnością nie chcieli! Mimo wszystko lepiej będzie mi tu niż na dworze.

Chociaż niewiele lepiej, dodał w myśli.

- Oczywiście - zgodził się poważnie Zmiennokształtny i pozostawił go w spokoju, by mógł zaznać odpoczynku wśród szorstkich, śmierdzących futer.

Wieczorna uczta odbyła się oczywiście w wielkiej sali królewskiego pałacu. Na prawie całej podłodze rozciągnięto pozszywane ze sobą skóry białych stitmojów, miękkie i nieskazitelnie czyste, a więc wydobywane z ukrycia tylko przy szczególnie uroczystych okazjach.

Masywne stoły z grubych, surowych desek, wsparte na krzyżakach z kości podobnych do tych, jakich użyto do budowy tronu, ugiwały się pod ciężarem różnego rodzaju talerzy, półmisek, misek i waz po brzegi wypełnionych jedzeniem. Kilkanaście smukłych kinkietów z długich kości, umieszczonych na ścianach w podporach o kształcie ramienia, wypełniało salę dymem i słabym światłem.

Przed posiłkiem odbyły się tańce. Król, który siedział na tronie umieszczonym wysoko na platformie, wstał i klasnął w dłonie. Na ten sygnał kilkunastu muzyków zagrało na prostych, choć niecodziennego kształtu instrumentach: bębnach, piszczałkach, gongach i jakiś dziwnych instrumentach strunowych; rozległa się przedziwna, wrzaskliwa, polirytmiczna muzyka, tak przeraźliwie głośna, że przez moment Harpirias oczekiwał, iż nie zniosą tego ściany i sufit runie im na głowy.

Pierwsze zatańczyły kobiety z królewskiego haremu. Grupa nagich tłustych bab o wielkich piersiach, ubranych w przepaski biodrowe i mokasyny z czarnego futra ustawiła się w jednej linii i zaczęła podskakiwać dziko, kopiąc oraz szaleńczo wymachując ramionami - niezdarnie, a jednocześnie komicznie i wzruszająco. Harpirias z wysiłkiem utrzymywał poważny wyraz twarzy, póki nagle nie zdał sobie sprawy, że ten taniec ma być śmieszny; kręcąc się i zderzając, tancerki chichotały, w powietrzu rozbrzmiewało wesołe "u-ha!" patrzących, a najgłośniej i najgrubszym głosem ze wszystkich pokrzykiwał sam król.

Nagle sam Toikella zszedł z tronu i wstąpił między pływające kobiety. Rzeczywiście, był postacią imponującą - dwukrotnie wyższy od najwyższej z nich, jego wygolona głowa górowała nad tancerzami jak jakiś szczyt. Szeroką pierś miał naga, jak podczas audiencji, z okazji uczy przywdział jednak płaszcz z czarnego haigusu, związany pod szyją i luźno opadający na plecy. Haigusów nie pozbawiano rogów i teraz wśród skór błyszcząły czerwone wściekłe ślepka, a trzy rzędy rogów ostrych jak igły kołysały się niebezpiecznie blisko muskularnych barków władcy.

- Eyya! - krzyknął król. - Halga! Shifta skepta gartha blin! Poruszał się pomiędzy kobietami, przestępując z nogi na nogę, wyrzucając ręce wysoko nad głowę, wrzeszcząc i wyjąc, kobiety zaś wirowały wokół niego, już nie komiczne, lecz w przedziwny sposób dostojne, kiedy tak swój taneczny krok dostosowały do pływów władcy. Był to widok imponujący i - choć niedorzeczny - także w jakiś sposób przerażający. W całym swym życiu Harpirias nie widział niczego podobnego. Lecz oto król chyba go wzywa, gdyż się pochylił, spojrzał mu prosto w oczy i pokiwał palcami.

Czy to możliwe? Czy gesty te stanowią wezwanie?

Tak. Było to wezwanie. Harpirias spojrzał pytająco na Korinaama; Metamorf skinął głową.

- Zaprasza cię do tańca - powiedział. - To niespotykany honor. Zaproszenie oznacza, że traktuje cię niemal jak równego sobie.

- Niemal jak równego sobie. Rozumiem.

- Powinieneś zatańczyć.

- Bez wątpienia. Oczywiście, zatańczę.

Harpirias wahał się jeszcze przez chwilę, uważniej niż dotąd obserwując kroki tancerzy,

nasiąkając dziwnym, rwanym rytmem muzyki. Następnie zszedł między tancerki.

Kobiety usunęły się w cień. Pozostał sam na sam z królem, który górował nad nim niczym tytan.

Po nagim, lśniącym ciele Toikelli pot spływał strumieniami. Władca uśmiechał się szeroko - dopiero teraz Harpirias dostrzegł, że w przednie zęby wprawione ma drogie kamienie: rubin, szmaragd i jakiś trzeci, ciemniejszy - i trzykrotnie klasnął w dłonie. Najwyraźniej był to umówiony sygnał, ponieważ muzycy, którzy wcześniej zaprzestali łomotu, pisków i w ogóle czynienia hałasu, zagrali teraz zupełnie inną muzykę - powolną, melodyjną, spokojną; mroczną melodię, dziwną i niesamowitą.

Król, z głową wtuloną w ramiona, trzymając na wysokości oczu obrócone do siebie dłonie i przedziwnie wyginając palce, z nieprawdopodobną lekkością ruszył wokół Harpiriasa; stąpał tak, jakby płynął w powietrzu. Mógł to być taniec myśliwego tropiącego zwierzynę.

Harpirias, nie mając pojęcia, co powinien teraz zrobić, przez chwilę stał w miejscu, obserwując Toikellę jak kogoś wpadającego w trans. Po chwili sam jednak zatańczył, niemal wbrew woli. Wygiął palce, uniósł i opuścił ręce, a w końcu, naśladując nieprawdopodobnie lekki krok króla, zaczął zataczać koło, tyle że w przeciwnym kierunku.

Przez dłuższy czas tropili się wzajemnie, zataczając krąg za kręgiem: Toikella wielki jak góra i jego gość - drobny i niewysoki, muzyka grała coraz szybciej i głośniej, błyskawicznie zbliżając się rytmem do dzikiego tańca kobiet. Harpirias przyspieszył, a wciąż uśmiechnięty król także poruszał się coraz żwawiej. Harpirias wybuchnął śmiechem. Teraz już nie można było tańczyć lekkim, delikatnym krokiem. Podskoczył. Przykucnął, tupnął, klasnął w ręce.

- Eyya! - krzyknął król. - Hałga!

- Eyya! - odpowiedział Harpirias. - Hałga!

- Shifta skepta gartha blin!

- Shifta skepta!

- Gartha blin!

- Shifta skepta gartha blin!

Harpirias odrzucił głowę, gwałtownym gestem wyprostował ręce, podciągnął niemal do piersi najpierw jedno kolano, potem drugie. Wył i ryczał. Tupał i klaskał. Dostrzegł, że inni też ruszają w tan, najpierw niektóre kobiety, później strojnie ubrany mężczyzna o wymalowanej twarzy, który rozmawiał z Korinaamem przy wjeździe do doliny, a za nim inni mężczyźni, także barwnie umalowani, prawdopodobnie najlepsi wojownicy plemienia. W końcu do tańca dołączyło nawet paru Skandarów, tylko Ghayrogowie i Korinaam pozostali na miejscu.

Wszyscy krążyli tak w koło niczym banda szaleńców, czas jakby zatrzymał się w miejscu, aż wreszcie muzyka urwała się w pół tonu, jakby muzykanci w jednej sekundzie padli rażeni gromem, w sali słyszeć już było wyłącznie śmiech i ciężkie oddechy.

Król stojący w tej chwili tuż przy Harpiriasie obrócił się w jego kierunku. W oczach wielkoluda błyszczał absolutny, dziecinny zachwyt. Wielką łapą przyciągnął swego gościa i przytulił do piersi, jakby zamierzał go zmiażdżyć; trzymał go przez dłuższy czas w tym iście niedźwiedzim uścisku, pozwalając mu bez przeszkód wdychać duszący smród potu, zwierzęcego tłuszczu i farb; w końcu go jednak puścił, uśmiechnął się jeszcze szerzej i klepnął się po czole w czymś w rodzaju salutu. Harpirias również uśmiechnął się szeroko i odpowiedział mu podobnym salutem, czuł się teraz, jakby znów był sobą, jakby nie przeżył tych ponurych miesięcy wygnania. Taniec odprężył i uradował wszystkich. Toikella też wywarł na nim sympatyczne wrażenie - był najwyraźniej dobrodusznym, pogodnym starym tyranem. I chyba on też spodobał się Toikelli.

Oczywiście, pomyślał Harpirias, zostaniemy serdecznymi przyjaciółmi, on i ja.

Posiedzimy sobie do nocy, popijemy w pałacu to, co się tutaj pija, i opowiemy sobie nawzajem

historię naszego życia. Przyjaciele, oczywiście, przyjaciele. Najlepsi przyjaciele.

Nadszedł wreszcie czas na ucztę.

Król usługiwał mu osobiście. Najwyraźniej był to zaszczyt ogromny, lecz jednocześnie mocno kłopotliwy, dyplomatyczna uprzejmość nakazywała bowiem Harpiriasowi jeść wszystko, co przed nim postawiono, choć sam dokonywałby chyba bardziej rygorystycznego wyboru, gdyż i wygląd, i zapach pojawiających się przed nim dań sugerowały, że są one po prostu niejadalne. Podano przede wszystkim mięsa: gotowane, pieczone, smażone na rożnach, pokryte gęstymi, bardzo ostrymi sosami, także kilka rodzajów zup - a przynajmniej Harpirias miał nadzieję, że to zupy, a nie nic mniej apetycznego - oraz góry pieczonych orzechów, warzywne puree w dużym wyborze i poskręcane, spalone na węgiel korzenie. Ulubionym trunkiem Othinorczyków okazało się gorzkie, słonawe szaroczarne piwo, wypuszczające w naczyniach obrzydliwe, wielkie bąble.

Harpirias jadł, co mógł przełknąć, kawałek tego, drobny kęs czegoś innego, popijając dania haustami piwa. Mieszkańcy Othinoru lubili chyba wyłącznie mięsa półsurowe i tłuste, a w dodatku niemal każde miało specyficzny posmak dziczyzny, który z trudem znosił nawet tak doświadczony myśliwy jak on. Wszystkie sosy były wyjątkowo ostre, a większość warzyw sprawiała wrażenie nadgniłych bądź sfermentowanych. Trzeba jednak przyznać, że Harpirias się starał. Rozumiał, jakim wyrzeczeniem była ta ucztą dla Othinorczyków, żyjących przecież na ziemi przez większą część roku pokrytej śniegiem, nie znających rolnictwa, wrywających najnędną żywność z zaciśniętych garści Matki Natury.

Król nakładał mu coraz to nowe porcje. Harpirias śmiał się, protestował, każde danie dzielił na jak najmniejsze części i pozwalał służbie usuwać je, gdy tylko władca zerkał w inną stronę.

Uczta ciągnęła się w nieskończoność.

Na salę wkroczyli trzej kłowni, dali długie przedstawienie składające się z niezrozumiałych żartów oraz parodii zonglerki. Król śmiał się do łez. Kobiety znowu tańczyły, a po nich w wir tańca rzucili się mężczyźni. Harpirias poczuł senność, lecz walczył z nią bohatersko. Popijał bulgocące piwo, dochodząc do wniosku, że po pewnym czasie można je prawie polubić. Wreszcie uświadomił sobie, że goście wyslizgują się z sali po dwóch, trzech, że zapanowała niezwykła wręcz cisza. Władca objął kilka kobiet i pociągnął je na futra.

- Idziemy, książę - powiedział cicho Korinaam. - Zabawa się skończyła.

- Czy powinienem pożegnać się z królem.

- Podejrzewam, że nie zwróciłby na was uwagi. - Rzeczywiście, Toikella sprawiał wrażenie bardzo zajętego. Spod futer dobiegały wilgotne, mlaszczące dźwięki. - Sądzę, że możemy po prostu wyjść - dodał Metamorf.

Razem przeszli po lodzie do swych kwater, znajdujących się po przeciwnej stronie wioski. Zrobiło się późno i ciemno. Powietrze letniej nocy było rześkie, czyste, lecz Harpirias wyczuwał w nim chłód nadchodzącej zimy. Gwiazdy prawie nie migotały; małe, nieruchome punkty światła wydawały się też wyjątkowo jaskrawe.

- Doskonale sobie poradziłeś, książę - pochwalił go Korinaam, kiedy wchodzili do budynku. - Nasza misja zaczęła się wielce obiecująco.

Harpirias przytaknął mu zmęczonym skinieniem. Czuł zawroty głowy. Był zbyt podniecony, za wiele wypił piwa, do którego nie był przyzwyczajony, za wiele zjadł niejadalnych potraw, za długo oddychał dusznym, zadymionym powietrzem. Odsunął skórzaną zasłonę i wszedł do swego pokoju. W środku było nawet cieplej niż w sali tronowej, a płonące bez przerwy lampy tak kopały, że zakrztusił się pierwszym oddechem, skulił się i zaczął kaszleć.

A poza tym ktoś tu na niego czekał. Kobieta.

Czego chcesz? - spytał Harpirias.

Kobieta wstała i zrobiła krok w jego kierunku. Uśmiechnęła się, z przodu brakowało jej kilku zębów. Rozpoznał w niej jedną z tych, które widział u stóp tronu Toikelli - najmłodszą i najmniej brzydką z nich wszystkich, względnie szczupłą dziewczynę o prostych, czarnych włosach przyciętych równo na wysokości uszu. Na stopach miała mokasyny, na biodrach przepaskę z czarnego futra - strój tancerek. Prostym, bezpretensjonalnym gestem zrzuciła teraz opaskę i kopnęła ją na bok. Zachęcającym gestem wskazała na futra, dłonią poklepała się po piersi, a potem wyciągnęła do niego ręce.

- Nie! - Harpirias cofnął się. - Nie dziś, dziękuję. Jestem bardzo, bardzo zmęczony.

Marzę wyłącznie o tym, by zasnąć.

Dziewczyna energicznie skinęła głową. Zachichotała. Ponownie wskazała futra.

Harpirias stał jak wrośnięty w ziemię.

- Nie rozumiesz słowa z tego, co powiedziałem, prawda. Nie, oczywiście. Jakim cudem miałabyś cokolwiek rozumieć?

Przez moment zdecydowany był się poddać. Od tak dawna żył w czystości, że już do niej przywykł, co należało oczywiście zmienić przy pierwszej sposobności, lecz przecież nie tu, nie teraz i nie z nią. Dziewczyna wprawdzie wcale nie wydawała mu się odpychająca - miała miłe rysy, błyszczące, kpiące oczy, przyzwoitą figurą i ładne piersi - ale jej dusza była przecież barbarzyńska, a ciało niedomyte. On z kolei rzeczywiście czuł paraliżujące zmęczenie, za to ani śladu podniecenia.

Harpirias przypuszczał, że jej decyzję winien odczytać jako swego rodzaju komplement. Tylko... co powie król, gdy dowie się, że ambasador cywilizowanego świata pozwolił sobie spędzić noc z jedną z kobiet z jego haremu?

- Przykro mi - powiedział łagodnie. - Może innym razem. - Podniósł porzuconą

przepaskę, wcisnął ją w ręce gościa, po czym delikatnie - miał również nadzieję, że nie prowokująco - położył jej dłoń na karku i skierował w stronę wyjścia. Nie pchał, ale zrobił wszystko, by zrozumiała, że właśnie została wyproszona za drzwi.

Dziewczyna obejrzała się i przez dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy. Smutnie?

Gniewnie? Kpiąco? Nie potrafił powiedzieć.

W końcu wyszła.

Z zalem potrząsając głową, Harpirias zrobił, co mógł, by się jakoś oczyścić i przygotować do snu. Miał właśnie wleźć między dwa z leżących na podłodze futer, kiedy z korytarza dobiegł go cichy głos Metamorfa.

- Czy możemy porozmawiać, książę?

Harpirias ziewnął. To wszystko zrobiło się nagle okropnie irytujące. Nie podnosząc skórzanej zasłony, spytał:

- O co chodzi, Korinaamie?

- Jest u mnie dziewczyna, którą... wyrzuciłeś.

- Serdeczne gratulacje. Zażyj z nią jak najwięcej przyjemności.

- Nie zrozumiałeś mnie, książę. Przyszła, by spytać, co złego zrobiła i dlaczego się wam nie spodobała. Zdumieliście ją i obraziliście.

- Naprawdę? Och, jaka szkoda! Nie chciałem przecież urazić jej uczuć, tylko nie mam po prostu ochoty na towarzystwo... ani jej, ani niczyje. Poza tym jestem przekonany, że sypianie z królewskimi żonami pociąga za sobą duże ryzyko.

- Ona nie jest niczyją żoną! Książę, odrzuciłeś względy najmłodszej córki króla

Toikelli. Kiedy król się o tym dowie, wszyscy będziemy mieli kłopoty.

- Córki? Toikella chce, żebym poszedł do łóżka z jego córką?

- To stary othinorski obyczaj - oznajmił Korinaam. - Nie wolno odrzucić zaproszenia.

Wstrząśnięty, Harpirias złapał się za głowę. Może Metamorfbawi się jego kosztem?

Nie, nie, niemożliwe. Przez jedną króciutką chwilę rozważał, czy Zmiennokształtny nie powinien wezwać dziewczyny z powrotem, ale zmęczenie wzięło górę nad ciężarem obowiązków dyplomaty. Musi się przespać. Istnieje przecież granica, poza którą traktat przestaje być sprawą najważniejszą. Nie pójdzie spać ze śmierdzącą barbarzyńską dziewczyną tylko dlatego, że mogłoby to uszczęśliwić króla Othinoru.

Nie, nie, nie. Nie!

Zastanowił się przez chwilę i powiedział Korinaamowi:

- Kiedy wypłynie ta sprawa, powiesz królowi, że świadom jestem wielkiego zaszczytu, którym mnie obdarzył. Niestety, w dniu objęcia urzędu złożyłem ślub czystości i muszę powstrzymać się od cielesnych rozkoszy. Z powodu owego ślubu nie wolno mi dopuścić do siebie kobiety.

- Nie wspomniałeś wcześniej o takim ślubie, książę.

- Wspominam o nim teraz. Ślubowałem czystość. Czy to jasne?

- Tak. Owszem.

- Dziękuję. Dobranoc, Korinaamie.

Harpirias obrócił futro włosami do środka i przykrył się nim z głową. Futro śmierdziało, jakby wyprawiano je w urynie stitmoja. Będzie mi trudniej, niż myślałem, powiedział do siebie.

Gdyby jakimś cudem jego najlepszy przyjaciel Tembdat i ukochany kuzyn Vildimur znaleźli się teraz obok niego, z rozkoszą skrzyłby im karki.

Następny dzień minął Harpiriasowi powoli, w dziwnym rytmie. Kiedy rankiem wyszedł na dwór, prawie wszyscy jeszcze spali, tylko grupka nagich dzieciaków ganiała się u podnóża otaczającej wioskę wysokiej skalnej ściany, a kilka tubylczych kobiet układało paski świeżego mięsa na śniegu, w miejscu, gdzie w głąb doliny wdarł się pojedynczy promień słońca. Najprawdopodobniej suszono je na zimę, która miała nadejść już niedługo.

W końcu, stopniowo, wioska jednak się ożywiła. Dzień okazał się ciepły, niebo było jasne, przejrzyste. Grupa myśliwych zebrała się obok pałacu i powoli, uroczyście ruszyła w stronę skalnej ściany. Kilka starych kobiet wyniosło skóry haigusa, przycupnęło po słonecznej stronie placu i zaczęło czyścić je kościanymi nożami. Kulawy muzyk wyszedł z domu, usiadł na łozie, krzyżując nogi, po czym na kościanej piszczałce przeszło godzinę wygrywał jedną prostą melodię.

W południe kapłan o wąskiej twarzy - w każdym razie Harpirias nazywał go "kapłanem" - opuścił pałac królewski i skierował się w stronę wielkiego, płaskiego czarnego kamienia, który na placu wystawał kilka cali z lodu, mniej więcej w połowie drogi między wejściem do wąwozu a zabudowaniami wioski; w ręku niósł jaskrawo, lecz niedbale pomalowany gliniany dzbanek. Doszedłszy na miejsce, wyjął z dzbana nasiona lub może orzechy i rozrzucił w cztery strony świata. Najprawdopodobniej złożył ofiarę bogom. Król wraz ze swym dworem nie pokazywali się przez cały ranek.

- Nieźle się wyśpi - zauważył Korinaam.

- Zazdroszczę mu - odparł Harpirias. - Sam obudziłem się o świcie, na pół zamarznięty, na pół ugotowany. Jak sądzisz, kiedy rozpoczną się negocjacje?

- Być może jutro. Może pojutrze. A może popojutrze.

- Nie wcześniej?

- Królowi nigdy się nie spieszy.

- Ale mnie, owszem. Chcę się stąd wynieść przed nastaniem zimy.

- Oczywiście - odparł Metamorf. - Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

Najwyraźniej nie było wielkich nadziei na szybkie załatwienie sprawy.

Harpirias pomyślał o ośmiu paleontologach - a może dziesięciu, nikt najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, ilu ich było - więzionych gdzieś, zapewne niedaleko stąd. Oni doskonale wiedzieli przecież, jak wyglądała zima w Othinorze. Spędzili rok, mieszkając gdzieś tu, najpewniej w mroźnych jaskiniach, jedząc jakieś papki i kaszki, tudzież kawałki tłustego mięsa, gorzkie korzonki, orzechy. Najpewniej mieli już szczerze dość tego miejsca. Korinaam twierdził jednak, że król nigdy się nie spieszy. Najpewniej wiedział, co mówi.

Harpirias spróbował więc dopasować się do powolnego rytmu życia wioski. Musiał przyznać, że miejsce to było na swój sposób fascynujące. Przed tysiącami, przed setkami tysięcy lat, w tej niemal mitycznej epoce, kiedy jedyną ojczyzną człowieka była Ziemia, a podróże do gwiazd uchodziły za rozpasaną fantazję, z pewnością tak właśnie żyli ludzie pierwotni. Najprostsze codzienne zdarzenia - polowanie i zbieranie żywności, jej przygotowanie i magazynowanie, nie kończąca się pozornie praca nad prostymi narzędziami, nad prymitywną bronią, rytuały i zwyczaje zdradzające istnienie zabawnych przesądów, zabawy dzieci, nagłe, nieoczekiwane wybuchy śmiechu, śpiewu lub wrzaskliwych kłótni kończących się równie szybko, jak się zaczęły - wszystko to sprawiało na Harpiriasie wrażenie, jakby przeniósł się w czasie, powracając do jakiejś odległej epoki najdawniejszych początków ludzkości. Oczywiście wolałby być teraz na Górze Zamkowej, w towarzystwie przyjaciół pić mocne wino z Muldemar i z ożywieniem dyskutować o najnowszych intrygach na dworze Koronała, musiał jednak przyznać, że to, czego doświadczał tutaj, tylko niewielu mogło przeżyć; być może kiedyś, w dalekiej przyszłości, z radosnym uśmiechem powróci do

wspomnień z tej podróży?

Król wyszedł ze swego pałacu późnym popołudniem. Harpirias grał właśnie na placu w kostki z Eskenazo Marabaudem i kilkoma innymi Skandarami. Ze zdumieniem przyglądał się władcy, który zatrzymał się, obrócił, przez chwilę przyglądał się im tępo bez śladu zainteresowania, po czym ruszył swoją drogą.

- Jakby nas w ogóle nie dostrzegł - mruknął cicho.

- Bo może rzeczywiście nas nie dostrzegł? - powiedział Eskenazo Marabaud. -

Królowie widzą przecież tylko to, co chcą widzieć. Być może dzisiaj nie chciał nas widzieć.

Bardzo trafna uwaga, pomyślał Harpirias. Wczoraj Toikella był wcieleniem grzeczności i serdeczności, dziś potraktował ambasadora i jego żołnierzy jak wędrowne stadko pcheł. Czyżby w ten sposób dawał do zrozumienia gościom z wielkiego świata, że w krainie Othinor wszystko dzieje się w czasie, który on uzna za stosowny?

A może - i była to możliwość znacznie bardziej niebezpieczna - obraził się na jawne, brutalne odrzucenie wdzięków jego córki?

Niezależnie od powodu, w dniu tym nie odbyły się żadne negocjacje, nie doszło nawet do żadnego kontaktu z królem. Przez całe popołudnie członkowie poselstwa oddawali się rozrywkom we własnym gronie. Nikt z nimi nie rozmawiał, a kiedy wędrowali po wiosce, nikt nie zwracał na nich szczególnej uwagi.

Wieczorem trzy Othinorki podały gościom kolację na ciężkich tacach, które niosły przez placyk z widocznym wysiłkiem, składały się na nią: kawał zimnego mięsa, dzban czarnoszarego piwa, które zdążyło tymczasem wypuścić wszystkie bąbelki, góra przeróżnych pieczonych korzeni, innymi słowy: resztki z wczorajszej uczy. Kiepski to był posiłek.

- Moim zdaniem wpadliśmy w tarapaty - powiedział Korinaamowi Harpirias.

- Odrobinę cierpliwości, książę. Przecież to nic niezwykłego. Król po prostu próbuje

nas zmiękczyć.

- To mu się nie uda!

- Co nie znaczy, że nie będzie próbował. W końcu jest królem.

- Jest barbarzyńcą.

- I królem. W swym przekonaniu równy jest Koronalowi i Pontifexowi razem wziętym.

Nie wolno o tym zapomnieć, książę. Będzie z nami rozmawiał, kiedy uzna to za stosowne.

Jesteśmy tu dopiero drugi dzień!

- Stracony dzień wprawia mnie w niepokój.

- Jemu na tym właśnie zależy - stwierdził Korinaam. - W ten sposób zdobywa nad nami przewagę. Cierpliwości, książę. Cierpliwości.

Po kolacji miało miejsce jeszcze jedno bardzo dziwne zdarzenie. Kiedy o zmroku

Harpirias wyszedł ze swego pokoju zaczerpnąć świeżego powietrza, na szczycie kamiennej ściany, a dokładnie w jej najwyższym punkcie po tej samej stronie, po której stał królewski pałac, dostrzegł światelko. Wyglądało to trochę tak, jakby ktoś zapalił tam ognisko.

Pomyślał, że coś takiego zdarza się tu pewnie każdego wieczora. Wysyłają jakiegoś

zwinnego chłopca na szczyt kamiennej ściany, by zapalił pochodnię... ale nie, wcale nie

wyglądało to tak zwyczajnie, na placyku bowiem powoli rósł tłumek, ludzie pokazywali sobie światło palcami i rozprawiali z ożywieniem. Jakaś dziewczynka pobiegła do pałacu wezwać

Toikellę. Król natychmiast wybiegł na dwór, prawie nagi mimo wieczornego chłodu; patrzył w górę, osłaniając oczy przed coraz silniejszym blaskiem księżyców.

Harpirias uważnie wpatrywał się w miejsce, w którym płonął ogień, i po chwili stało się

dla niego jasne, że tuż obok ogniska, tam na górze, widzi drobne ciemne postacie, zmagające

się chyba z jakimś ciężarem, który pragnęły przepchnąć przez skalną ścianę na dół, do wioski -

z czymś ciemnym, dużym, trudnym do udźwignięcia. Po kilku chwilach jednak im się udało;

Harpirias widział, jak to coś spada, dwu-, może trzykrotnie odbijając się od ściany wąwozu, zawisło na moment na występie w kształcie rogu, zsunęło się jednak z niego, by wreszcie z głuchym hukiem wylądować w dolinie, prawie dokładnie przed pałacem.

Było to ciało wielkiego zwierzęcia o grubych łapach, szorstkim futrze i wielkich zakrzywionych zębach, potężnych rozmiarów roślinożercy, być może potomka tej wspaniałej górskiej bestii, która - według mitu Metamorfów - poczęła ich rasę, wylizując pierwszych Piurivarów z bryły lodu.

Zwierzę leżało na ziemi: gigantyczna góra futra, z której sączyła się krew. Król, mówiąc coś do siebie, chodził wokół niego, szturchając je od czasu do czasu lub ciągnąc za kudły. Najwyraźniej coś go mocno niepokoiło. Harpirias zdawał sobie sprawę, że nad cielskiem znęcano się już po śmierci zwierza, że nie tylko poderżnięto mu gardło, lecz poraniono także boki oraz brzuch; cięcia układały się w geometryczne wzory.

Chyba wszyscy mieszkańcy Othinoru zebrali się na placu, by obejrzyć zabitego stwora.

Małe postacie znikły ze szczytu, a ognisko najwyraźniej już się dopalało.

Harpirias spojrzał na Korinaama.

- Czy rozumiesz, co to wszystko znaczy? Zmiennokształtny tylko potrząsnął głową.

- Nie rozumiem, książę. Kiedy byłem tu w zeszłym roku, nie widziałem nic podobnego.

- Oni najwyraźniej też nie. - Harpirias wskazał Toikellę, kapłana i kilku dworaków pochylonych nad cielskiem. - Idź do nich. Zorientuj się, o co chodzi, jeśli to możliwe.

Korinaamowi nie udało się jednak zwrócić na siebie uwagi ani króla, ani nikogo innego.

Wszyscy udawali, że nie słyszą zadawanych przez niego pytań. Metamorf zwrócił się więc do kilku zwykłych mieszkańców wioski, następnie powrócił z informacjami.

- Nazywają to zwierzę "hajbarak" i uważają za święte. Niewielkie stado żyje w okolicy; tylko królowi wolno na nie polować. Jeśli hajbaraka zabije ktoś inny, popełnia świętokradztwo.

Największe kości, z których zbudowano tron, należą do tego zwierzęcia.

- Co właściwie się tu zdarzyło? Jakies wrogie plemię wypowiedziało im wojnę?

- O ile mi wiadomo, nie ma w tych górach innego plemienia, wrogiego czy przyjaznego.

- O ile wiadomo było tobie czy komukolwiek innemu, Othinorczyków też w tych górach nie było - przynajmniej dopóki ktoś ich przypadkiem nie odkrył. Przecież to zwierzę nie spadło ze skał samo!

- Oczywiście, że nie - odparł Korinaam niecierpliwie. - Może zrzuciła je grupa wyrzutek z tego plemienia, a nie członkowie innego plemienia? Nie mam pojęcia. Pierwszy mężczyzna, z którym rozmawiałem, wydawał się zaszokowany do tego stopnia, że nie potrafił mi nic powiedzieć. Drugi ograniczył się do stwierdzenia, że to święte zwierzę i coś takiego nie powinno się zdarzyć. Nikt ci nie przeszkadza w wyciąganiu własnych wniosków, książę. Książę nie wyciągał jednak żadnych wniosków, a i nazajutrz Zmiennokształtny nie dowiedział się niczego nowego. Othinorczyki po prostu nie chcieli mówić o minionych wydarzeniach.

Z punktu widzenia Harpiriasa najgorsze było to, że owo wydarzenie znów opóźniło początek negocjacji. Przez kolejne dwa dni król w ogóle nie wychodził z pałacu. Padlinę usunięto przy akompaniamencie uroczystych chóralnych śpiewów, a miejsce, na które spadła, obmyto z krwi do czysta, na placyku zaś ustawiono strażę, które dniem i nocą wpatrywały się w ściany kanionu, szukając oznak nowych kłopotów.

Na trzeci dzień rano posłaniec przyniósł wiadomość, że król jest gotów do rozmów.

- Po pierwsze, wyjaśnisz królowi, że nie jestem Koronalem Lordem Ambinole'em.

Zaraz na początku negocjacji - zapowiedział Metamorfowi Harpirias, kiedy szli placykiem w kierunku pałacu.

- Nie na początku, książę. Błagam.

- W każdym razie, nim zaczną się właściwe negocjacje.
- Proszę pozwolić mi wybrać odpowiednią chwilę.
- Odpowiednią chwilą była ta, w której zaczęło się to całe zamieszanie.
- Tak. Być może. Lecz przerwanie przemowy władcy wydawało mi się wówczas czymś wyjątkowo niewłaściwym. A teraz...
- Pragnę wyjaśnić to nieporozumienie!
- Oczywiście. Zostanie wyjaśnione, gdy tylko nadejdzie odpowiednia chwila.
- I jeszcze jedno. Od dziś, gdy powiem coś Toikelli, masz dosłownie i dokładnie tłumaczyć moje słowa. Masz także wiernie tłumaczyć mi to, co powiedział król.
- Oczywiście, książę. Oczywiście.
- Wiesz, nie jestem aż tak głupi, jak ci się wydaje, i nauczanie się używanego tu języka nie przekracza moich możliwości intelektualnych. Jeśli odkryję, że nie jesteś absolutnie uczciwym tłumaczem, zabiję cię, Korinaamie, zrozumiałeś?

Brutalne słowa tak zaskoczyły Metamorfa, że przez moment utracił on zdolność utrzymania formy. Kontury jego ciała zamazały się i zadrzały, długie, smukłe członki oraz tułów skurczyły się, grubiejac przy tym; Korinaam jakby zapadł się w sobie, szukając schronienia w innej postaci. Bładozielona skóra zmieniła kolor na ciemniejszy, szaroniebieski, a twarz zwarła się tak, że oczy i usta stały się niemal niewidoczne. Zmienno-kształtny zadrzał nagle, westchnął i przybrał normalny wygląd.

- “Zabiję”, książę?
- Zabiję. Jak zwierzynę w lesie.
- Nie oszukiwałem cię dotąd, panie. I nie mam zamiaru oszukiwać w przyszłości.
- Nawet o tym nie myśl.

Harpirias ze zdziwieniem stwierdził, że król jest w dobrym - więcej, doskonałym

humorze. Dziwne zdarzenie sprzed paru dni jakby nagle poszło w niepamięć. Po chłodzie czy nawet niechęci, z którą potraktował gościa, kiedy jeden jedyny raz spotkali się po ucztach, nie pozostał nawet ślad.

Toikella nie siedział na tronie, lecz dziarskim krokiem przemierzał wielką salę. Jak poprzednio, otaczały go kobiety, a wśród nich, co Harpirias zauważył z lekkim niepokojem, była także księżniczka, której zaloty odrzucił. Król zatrzymywał się od czasu do czasu, by którąś z nich klepnąć mocno, innej zaś szepnąć do ucha - prawdopodobnie jakieś czułe słówko. Kiedy dostrzegł wchodzącego posła, odwrócił się i powitał go radośnie przemową, w której powtarzało się słowo "helmithank" - Harpirias domyślił się z kontekstu, że oznacza ono "panie", "władco" czy coś podobnego - oraz słowa "Koronal" i "Lord Ambinole". Wściekły, zerknął na Korinaama. Zawinione przez niego nieporozumienie trwało i stawało się coraz trudniejsze do wyjaśnienia.

Na razie jednak nic nie można było poradzić. Król, śmiejąc się donośnie, objął Harpiriasa w niedźwiedzim uścisku i przez dłuższą chwilę ryczał mu do ucha coś niezrozumiałego. Po jakimś czasie posłowi udało się mniej lub bardziej taktownie wywinąć z potężnych rąk Toikelli i spojrzeć na Metamorfa.

- Co powiedział?

- Wita was ponownie na swym dworze.

- Mówił więcej. Z pewnością. Kontur ciała Korinaama zadrżał lekko.

- Chcę dokładnego tłumaczenia - rozkazał Harpirias. - Albo... - i palcem szybko przeciągnął po gardle.

Zmiennokształtny przewrócił oczami.

- Mówił też, że zastanawia się, z jakich ludzi składa się plemię Majipoorzan, skoro pozwalają rządzić władcy, który jest babą.

-Co?

- Prosiłeś o dokładny przekład, panie.

- Tak. Oczywiście. Tylko o co mu chodzi z tą “babą”? Mówi o mnie, prawda? Nie o prawdziwym Koronalu Ambinole'u? Z jakiego powodu nabrał przekonania, że ma do czynienia z “babą”?

- Mam wrażenie - powiedział ostrożnie Metamorf - że chodzi mu o oddalenie jego córki.

- Ach! Ach! No, tak... więc... więc przede wszystkim powiedz mu, że nie jestem królem Majipooru, lecz tylko królewskim ambasadorem. Potem podziękuj mu za to, że wysłał mi swą piękną córkę. Następnie wyjaśnij, że nie jestem babą, co udowodnię z łatwością, jeśli zechce zaprosić mnie na polowania do swego parku myśliwskiego. W końcu przypomnij mu także, że ślubowałem czystość, by kobiece ramiona nie przeszkadzały mi w rozmyślaniu o ważkich sprawach.

Korinaam powiedział coś do króla, krótko - zdaniem Harpiriasa o wiele za krótko, biorąc pod uwagę, co miał powiedzieć. Toikella zarżał, radośniej nawet niż poprzednio, i odpowiedział kilkoma prostymi słowami.

-No i...?

- Król twierdzi, że powinienesz uwolnić się od takiego głupiego, szkodliwego ślubu.

- Pojmuję jego stanowisko. Na razie jednak nadal mam zamiar żyć w czystości.

Korinaam przetłumaczył. Król mówił coś przez chwilę.

- Podziwia twoją determinację, książę - wyjaśnił Metamorf. - Twierdzi także, że ślub czystości to dla niego coś równie dziwnego jak śnieg padający w górę. On sam ma jedenaście żon i co noc kocha się przynajmniej z trzema. Ponad setka mieszkańców wioski to jego dzieci.

- Gratuluję mu zarówno wigoru, jak i płodności. - Oczy Harpiriasa zwęziły się nagle. -

Jak zareagował na informację, że nie jestem Koronalem?

Ciało Korinaama tym razem drżało dłużej.

- Nie powiedziałem mu tego, książę.

- Jeśli dobrze pamiętam, kazałem ci tłumaczyć wszystko dokładnie. Pod karą śmierci, Korinaamie!

- Tak. No właśnie. Doskonale to rozumiem, książę. Jak mam ci jednak wytłumaczyć, że nie jest to informacja, którą mogę rzucić, tak ot sobie, podczas rozmowy o innych sprawach? Król spodziewał się, że Koronał odwiedzi go osobiście. Wierzy, że ty jesteś Koronalem. Jeśli poinformuję go, że się myli, negocjacje skończą się, nim się w ogóle zaczęły.

- Korinaamie...! Metamorf uniósł rękę.

- Raz jeszcze proszę cię, książę - powiedział z naciskiem -byś pozwolił mi wybrać chwilę odpowiednią do wyjaśnienia tej sprawy i wstrzymał się na razie z wydaniem rozkazu... rzucaniem gróźb - dodał po przerwie.

Harpirias na chwilę przymknął oczy. Musi znaleźć jakiś sposób na kontrolowanie rozmów z Toikellą albo zginie.

- Powiedz królowi - powiedział stanowczo, choć pan Othinoru przemawiał właśnie grzmiącym głosem - że pragnę porozmawiać z nim o zakładnikach, w szczególności zaś proszę o pozwolenie natychmiastowego odwiedzenia ich; mam zamiar osobiście przekonać się, w jakim są stanie.

- Mój dobry książę...

- Tłumacz!

- Błagani...

Harpirias znów przesunął palcem po gardle. Korinaam spojrzał na niego kwaśno, po czym powiedział coś Toikelli.

Dyskusja króla z Korinaamem trwała jakiś czas. Harpirias rozpaczliwie wyteżał słuch, próbując zapamiętać najczęściej powtarzające się słowa, których znaczenie mógłby poznać później. Zmiennokształtny absolutnie nie zasługiwał na zaufanie, więc jak najszybciej sam musi poznać podstawy języka Othinoru.

W rozmowie pojawiło się w każdym razie nowe słowo, brzmiące trochę jak “goszmar”.

Powtarzało się często; miał nadzieję, że oznacza ono “zakładnik” i że Korinaam przynajmniej raz zrobił dokładnie to, co mu kazano. “Goszmar, goszmar, goszmar...” - powtarzało się podczas długiej, nużącej wymiany zdań, aż w końcu Metamorf oznajmił:

- Nie było to łatwe. Mówiłem, panie, że Toikella nienawidzi poganiania... no, ale w końcu pozwolił ci spotkać się z zakładnikami dziś po południu, kiedy jego ludzie przynoszą im jedzenie.

- Doskonale. Gdzie ich trzyma?

- W lodowej jaskini w zboczu góry, po północnej stronie wioski. Twierdzi, że wspinaczka jest wyjątkowo męcząca i trudna.

- Zwłaszcza dla takiego jak ja królika-baby, prawda? Powiedz mu, że z przyjemnością zażyję trochę ruchu.

- Już mu to rzekłem, książę.

- Doprawdy? Bardzo jesteś łaskawy, Korinaamie.

Jak się okazało, określenie “wyjątkowo męcząca” nie oddawało trudów wspinaczki.

Choć młody i niewątpliwie bardzo silny, Harpirias dotarł podczas niej aż do kresu sił. Ścieżka, wąska, kamienista, szaleńczymi zygzakami pięła się powoli po skalistym zboczu. Groźne ostre głązy sterczały co parę jardów, prawie całkiem ukryte w śniegu; ktoś nieuważny mógł potknąć się w niskiej, wąskiej, lecz głębokiej grocie. Woda z jakiegoś źródła pokryła ściany cienką

warstwą lodu, w migocącym płomieniu pochodni błyszczał przepięknie, niemal na granatowo.

Na widok światła, z wnętrza ruszyły w ich kierunku jakieś niewyraźne postaci, mrugały nieprzytomnie oczami i mamrotały coś pod nosem.

Harpirias oznajmił uroczyście:

- Jestem ambasadorem Jego Wysokości Lorda Ambinole'a, przysłanym, by was uwolnić. Nazywam się Harpirias, księżę Harpirias z Muldemar.

- Dzięki niech będą Bogini! Który rok mamy? Zdumiało go to pytanie.

- Który rok? No... trzynasty pontyfikatu Taghina Gawada. Macie wrażenie, że byliście tu... jak długo?

- Całe lata! Całe lata!

Harpirias znieruchomiał, gapiąc się nieprzytomnie na mężczyznę, z którym rozmawiał: wysokiego, przeraźliwie chudego, bladego jak kartka papieru, z kępkami długich, sztywnych, siwiejących włosów wyrastających z łysiejącej czaszki i rozczochraną brodą zasłaniającą niemal całą twarz. Wśród włosów świeciły małe oczka szaleńca. Mężczyzna miał na sobie podarte szmaty, które w żadnej mierze nie mogły go chronić przed chłodem panującym w jaskini.

- Uwięziono was zaledwie przed rokiem. No, może nieco dawniej, ale niewiele. Na wyżynie jest środek lata. Lato roku trzynastego.

- Zaledwie rok... - powtórzył zdumiony chudzielec. - A wydaje się, że minęło całe życie! Jestem Sahdnor Hesz - przedstawił się po chwili. Harpirias słyszał już wcześniej to nazwisko. Dowódca pechowej wyprawy paleontologicznej.

Za Heszem stała reszta naukowców, podobnie jak on chudych i odzianych w szmaty.

Harpirias policzył ich szybko: sześciu, siedmiu, ośmiu. Tak, ośmiu. Czyżby jednego brakowało?

- To cała wasza grupa?

- Tak, cała.

- Nikt nie wie dokładnie, ilu z was wzięło udział w wyprawie. Niektóre dokumenty mówią, że ośmiu, niektóre - że dziewięciu.

- Było nas dziewięciu - wyjaśnił Salvinor Hesz. - Dwóch zrezygnowało - szczęściarze! - a jeden dołączył w ostatniej chwili.

- To znaczy ja - wtrącił wyjątkowo wysoki i bardzo chudy mężczyzna głosem tak grobowo bezdźwięcznym, jakby wydobywał się z samego dna Wielkiego Morza. - Miałem szczęście dołączyć do ekspedycji, gdy wyruszała już z Ni-moya. Co za okazja do badań, do zrobienia wielkiej kariery! - Wyciągnął drżącą dłoń. - Nazywam się Vinin Salal. Jak długo będą nas tu jeszcze trzymać?

- Dopiero przybyłem do wioski - wyjaśnił Harpirias. - Nim zostaniecie uwolnieni, trzeba wynegocjować z tutejszym władcą osobny traktat. Mam jednak nadzieję, że uda się tego dokonać przed końcem lata. Dokonam tego przed końcem lata - poprawił się. Obejrzał naukowców i zdumiał się, jacy wszyscy są wychudzeni, sama skóra i kości. - Na Panią, oni was głodzili, prawda? Zapłacą mi za to. Powiedzcie, jak jesteście traktowani?

- Jedzenie dostajemy dwa razy dziennie - wyjaśnił Hesz bez gniewu, wskazując na worki, które Othinorczycy rzucili pod ścianą jaskini i które więźniowie przyjęli bez entuzjazmu. - Suszone mięso, orzechy, korzenie - dostawaliśmy to, czym oni się żywią. Nie sposób polubić ich kuchni, ale nie, nie głodzili nas.

- Tak, codziennie rano i po południu - wtrącił ktoś. - Zawsze nam je przynoszą. Czasami słyszymy, jak na dworze szaleje wichura, ale zawsze ktoś się pojawia, niezależnie od pogody. Na tym ich jedzeniu nie można utyć, wiesz przecież, książę... ale nie można powiedzieć, żeby nas głodzili.

- Nie - wtrącił jeszcze ktoś. - Nie głodzili nas.

- Nie. Nie głodzili.

- Wcale nie.

- W rzeczywistości traktowali nas całkiem dobrze.

- Przyzwoici ludzie. Bardzo zacofani, oczywiście, ale biorąc pod uwagę okoliczności, wcale nie okrutni.

Harpiriasa zdumiało to, jak łagodnie, niemal dobrotliwie więźniowie wypowiadali się o swych dzikich ciemężycielach. A przecież sprawiali wrażenie chodzących szkieletów!

Przeszło rok przebywali w ciemnej lodowej jaskini, z dala od domów, od bliskich, z dala od umiłowanej nauki, umierając na raty i ciągle jeszcze żyjąc wyłącznie dzięki obrzydliwym resztkom jedzenia, którym dzielili się z nimi Othinorczycy. Dlaczego się nie złościł? Nie miotali klątw na głowy prześladowców? Czyżby odcięcie od świata do tego stopnia złamało ich wolę, że wdzięczni byli nawet za odpadki, które dostawali z łaski barbarzyńców, co skazali ich na niewolę?

Słyszał, że więźniowie po miesiącach... może latach... zaczynają kochać tych, którzy ich uwięzili, ale trudno mu było to zrozumieć.

- Nie macie żadnych pretensji do Othinorczyków? - spytał. - No... oczywiście oprócz pretensji o to, że zmusili was do pozostania w wiosce wbrew waszej woli?

Odpowiedziała mu cisza. Najwyraźniej więźniowie nie potrafili już jasno myśleć.

Nieszczęście osłabiło z pewnością zarówno ich ciała, jak i umysły, pomyślał Harpirias. Głód, chłód, brak kontaktu ze światem...

- No... zabrali nam nasze okazy - powiedział nagle Salvinor Hesz. - Szczątki. Bardzo nas to przygnębiło. Musicie spróbować je od nich wydostać.

- Szczątki? Więc znaleźliście szkielety smoków lądowych?

- Och tak, oczywiście, oczywiście! Co za odkrycie! Bardzo wyraźne pokrewieństwo ze smokami morskimi... niewątpliwe pokrewieństwo ewolucyjne!

- Doprawdy?

- Udało nam się wydobyć kły zaskakujących rozmiarów, żebra, kręgi i wielkie fragmenty samego kręgosłupa... -Twarz Hesza rozjaśniła się, niemal błyszczała podnieceniem, widocznym mimo gęstej brody. - Bez wątplenia należały one do największego stworzenia, jakie kiedykolwiek zamieszkiwało tę planetę. Bez wątplenia! Z pewnością także są to szczątki przodka smoków morskich... może to jakaś przejściowa forma ewolucyjna... wymagająca oczywiście długoletnich studiów. Kości uszu wskazują na przykład, że zwierzęta te słyszały zarówno w powietrzu, jak i pod wodą. Zapiszemy nieznaną rozdział w badaniach rozwoju życia na Majipoorze! A tam, na zboczu, jest do odkrycia więcej, znacznie więcej! Odsłoniliśmy zaledwie pierwszą warstwę i właśnie zaczęliśmy kopać głębiej, kiedy Othinorczycy nas odkryli i wzięli do niewoli.

- A także skonfiskowali wykopaliska. Dano nam do zrozumienia, że wszystko zakopano z powrotem.

- I to właśnie jest najgorsze! - odezwał się jakiś głos z głębi jaskini. - Dokonać wielkiego odkrycia... takiego odkrycia... i nie móc dostarczyć dowodów cywilizowanemu światu. Nie możemy opuścić Othinoru bez szczątków! Będziesz nalegał na ich zwrot, prawda, książę?

- Zobaczymy, co da się zrobić, ale... tak.

- Musimy dostać także pozwolenie na kontynuowanie prac. Musicie dać im do zrozumienia, że nasze wykopaliska mają wyłącznie cel naukowy, że dla nich wydobyte przez nas okazy nie mają najmniejszej wartości! I że plemienni bogowie... jeśli ci ludzie wierzą w ogóle w jakichś bogów... nie obrażą się z powodu naszych prac. Bo chyba dlatego nas uwięzili.

Prawda, książę?

-No...

- Z pewnością w grę wchodziły kwestie religijne, czyż nie tak? Złamaliśmy jakieś ich tabu?

- Nie wiem, po prostu nie wiem. Przypominam wam, dopiero tu przybyłem, a właściwe negocjacje nawet się jeszcze nie zaczęły. W każdym razie zażądali od nas traktatu gwarantującego im, że na zawsze wyrzekniemy się prób wywierania jakiegokolwiek wpływu na ich życie. Istnieje szansa, że uda mi się odzyskać te wasze kości, nie jestem jednak pewien, czy ci ludzie zgodzą się na jakiegokolwiek dalsze prace na swoich terenach.

Naukowcy zaprotestowali głośnym chórem.

- Poczekajcie! - Harpirias podniósł dłonie gestem nakazującym ciszę. - Posłuchajcie mnie. Zrobię, co tylko możliwe, lecz moim celem jest przede wszystkim wynegocjowanie dla was wolności, a i to zapewne nie będzie najłatwiejsze. Jeśli uda mi się w jakiś sposób odzyskać owoce waszych wysiłków i zyskać dla was obietnice na przyszłość, będzie to coś w rodzaju premii. - Spojrzał na nich groźnie. - Zrozumieliście?

Nikt mu nie odpowiedział.

Harpirias zdecydował się uznać milczenie za oznakę zgody.

- No to doskonale. A teraz mówcie, czy oprócz skonfiskowania szczątków wyrządzono wam jeszcze jakąś krzywdę, o której powinienem wiedzieć?

- No... - zaczął jeden z paleontologów i zawahał się - ...jest jeszcze sprawa kobiet.

Harpirias usłyszał, jak koledzy próbują go uciszyć, widział, jak wymieniają między sobą zażenowane spojrzenia.

- Kobiet? - Rozejrzał się dookoła, zdziwiony. - Jak to, kobiet?

- To wyjątkowo zawstydzające - wtrącił Salvinor Hesz.

- Muszę wiedzieć, o co chodzi z tymi kobietami!

- Przyprawiają nam swoje kobiety - powiedział ktoś cichutko po chwili ciszy, która wydawała się trwać wieczność.

- Do zapłodnienia - dodał ktoś inny.

- I to jest najgorsze - wtrącił trzeci. - Najgorsze.

- Co za wstyd!

- Wstrętne!

- Obrzydliwe!

Teraz, kiedy już zdecydowali się mówić, robili to naraz. Do Harpiriasa docierały strzępki zdań i okrzyki, z których w końcu udało mu się złożyć całą historię.

Othinorczycy być może byli dzikusami, niewątpliwie jednak mieli jakieś takie pojęcie o genetyce. Martwiły ich konsekwencje rozmnażania się wewnątrz niewielkiej grupy społecznej.

Jako małe plemię, w którym wszyscy spokrewnieni byli ze wszystkimi, przez stulecia żyli w

odosobnieniu, niemal w całkowicie niedostępnej górskiej kryjówce i prawdopodobnie już

doświadczali negatywnych skutków ograniczenia puli genów. Pojawienie się dziewięciu

paleontologów zdecydowali się uznać za dar niebios - całkiem nowy materiał genetyczny.

Przez cały czas niewoli więźniom podsuwano więc kobiety celem zapłodnienia. Zdaniem

paleontologów pierwsze ich dzieci już się urodziły, a dalsze urodzą się w bliższej i dalszej przyszłości.

Harpirias słuchał tego wszystkiego niemal nieprzytomny z gniewu i bardzo

zaniepokojony. Nareszcie w pełni zrozumiał, dlaczego w noc uczy córka Toikelli czekała na niego w kwaterze.

- I działo się tak od samego początku? - zapytał.

- Oczywiście, od samego początku - odparł Sahdnor Hesz.

- Co parę dni wraz z żywnością ci ludzie przyprowadzają nam kilka kobiet i zostawiają je na noc. Najwyraźniej oczekują, że je... obsłużymy.

- Czy widziałeś te ich kobiety, panie? - wykrzyknął Vinin Salal. - Czy wiesz, jak śmierdzą? To więcej niż fizyczna i moralna tortura, to wręcz zbrodnia przeciw estetyce! Harpirias usłyszał parsknięcie Korinaama. Obrzucił Metamorfa wściekłym spojrzeniem, sam nie potrafił jednak ukryć pewnego rodzaju rozbawienia. W normalnej sytuacji zapewne niewielu spośród tych poważnych, zapalonych uczonych interesowało się kobietami bardziej niż on, powiedzmy, kopalnymi szczątkami dawno wymarłych gatunków zwierząt. Żeby tego rodzaju ludzi użyć jako byków rozplodowych! Oburzające... ale miał wrażenie, że jest w tym także coś komicznego. Jeśli zaś chodzi o poczucie piękna... cóż, paleontologom sporo brakowało do ideału męskiej urody, a miesiące niewoli sprawiły, że nie powinni wspominać o brzydkim zapachu jakichkolwiek ciał.

Nic nie szkodzi, pomyślał jednak Harpirias. Więźniów nie wolno traktować w ten sposób. Rozumiał ich złość i gorycz. Patrzył teraz na nich z większą sympatią niż poprzednio.

- To, co wam zrobiono, jest obrzydliwe - powiedział cicho.

- Po prostu złe.

- Pierwszej nocy, oczywiście, trzymaliśmy się od nich z daleka - tłumaczył Vinin Salal.

- Nie przyszło nam nawet do głowy, by tknąć je choćby paluszkami. Jednak rankiem doniosły strażnikom o tym, co się zdarzyło - czy raczej nie zdarzyło - i nie dostaliśmy jedzenia.

Następnego dnia przyniesiono nam żywność, zjawiły się także dwie nowe kobiety. Odbyła się mała pantomima, podczas której pokazano nam wyraźnie: kobiety -żywność, żywność - kobiety. Bardzo szybko zrozumieliśmy, czego od nas oczekują.

- Ciągnęliśmy losy - odezwał się jakiś głos z najdalszego kąta. - Wypadło na dwóch z nas. No i tak to się odbywa od tamtej pory.

- Dlaczego jednak jesteście tacy pewni, że chodzi o... hodowlę? - spytał Harpirias. -

Może Othinorczycy pragną... hmm... osłodzić wam niewolę?

Salvinor Hesz uśmiechnął się ponuro.

- Gdyby tylko o to chodziło! Nie, wiemy, że jest inaczej. Przez tak długi czas poznaliśmy trochę ich język. Nowe kobiety, kiedy się pojawiają, mówią o ciąży. Mówią: "Mnie też dajcie dziecko! Nie odsyłajcie mnie pustej! Król będzie wściekły, jeśli nie pocznę!" Nie ma żadnych wątpliwości, one są niemal zdesperowane!

- Wkrótce sami się przekonacie - stwierdził Vinin Salal. - Król i was zechce w to wciągnąć. Zwłaszcza ciebie, księżę, z twoją błękitną krwią. Zapamiętaj moje słowa. Król zechce... ach... osłodzić wam pobyt w swej wiosce, dokładnie tak jak to miało miejsce z nami. I co wtedy zrobicie?

Harpirias uśmiechnął się.

- Nie jestem jego więźniem - oświadczył. - A wkrótce i wy przestaniecie nimi być.

Tego wieczora, niedługo po tym, jak Harpirias powrócił do wioski po rozmowie z uwięzionymi naukowcami, w okolicznościach niemal identycznych jak poprzednio, ze skalnej ściany zrzucano drugiego zmasakrowanego hajbaraka. O zmierzchu na jednym ze szczytów otaczających wioskę gór, choć w innym miejscu niż poprzednio, pojawiły się drobne, poruszające się we wściekłym tańcu postacie, wyraźnie widoczne na tle szybko ciemniejącego nieba. Zmasakrowane cielsko wielkiego zwierza spadło, kilkakrotnie obijając się o skały, i runęło obok pałacu niedaleko miejsca, w którym wylądowało poprzednie.

Odgłosy zamieszania wywabiły Harpiriasa z kwatery. Na dworze zastał króla kipiącego strasznym gniewem, wymachiwał pięściami w kierunku szczytu i wydawał gniewne komendy wojownikom. Po raz kolejny ciało bestii usunięto z pola widzenia, po raz kolejny placyk poddano rytualnemu oczyszczeniu. Do późna w nocy ciągnęły się chóralne śpiewy.

Rankiem następnego dnia odbyła się kolejna tura negocjacji, którą trudno było uznać za udaną. Korinaam zdradzał niepokój jeszcze przed jej rozpoczęciem.

- Okaż mu dziś cierpliwość, książę - ostrzegł Harpiriasa, kiedy wchodzili do pałacu. -

Będzie wściekły. Nie wolno sprowokować go nawet gestem. Pozwolę sobie zasugerować, byś po prostu wyraził gniew z powodu śmierci świętego hajbaraka i natychmiast poprosił o odłożenie sesji.

- Tracimy czas, Korinaamie. Muszę spytać go o tę obrzydliwą sprawę zmuszania więźniów do spania z kobietami plemienia.

- Zrób to innego dnia, książę. Proszę. Bardzo proszę.

- To już nie twoja sprawa - orzekł Harpirias.

Okazało się jednak, że nie ma wielkich szans na narzucenie tematu rozmowy. Król sprawiał wrażenie głęboko wstrząśniętego. Ponury, zatopiony w myślach, zapewne także

niecierpliwym, powitał ich zaledwie krótkim warknięciem i niedbałym gestem ręki.

Harpirias rozkazał Zmiennokształtnemu rozpocząć od oznajmienia, że chciałby poruszyć pewne kwestie dotyczące sposobu traktowania zakładników. Uznał, że w przypadku tego żądania ryzyko jest do przyjęcia. Korinaam sprawiał wrażenie, jakby był innego zdania, niemniej jednak - o ile można to było ocenić - raz przynajmniej wykonał wydany mu rozkaz.

Toikella, skulony na imponującym tronie, nie odpowiedział. Chrząknął tylko i wzruszył ramionami.

- Powiedz, że chodzi mi o kobiety, które są do nich wysyłane - mówił dalej Harpirias. -

Niepokoi mnie, że coś takiego w ogóle się odbyło. Czuję się zmuszony złożyć stanowczy protest przeciwko takim praktykom.

- Książę, błagam uniżenie...

- Powiedz mu! Powiedz mu dokładnie to, co ci rzekłem. Korinaam z rezygnacją skinął głową. Obrócił się i krótko przemówił do króla.

Tym razem odpowiedź dostali natychmiast - i to gwałtowną. Twarz Toikelli zrobiła się nagle krwistoczerwona. Król bił pięściami w poręcz tronu, charcząc nieludzko. Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, nieco spokojniej powiedział coś Metamorfowi; mówił jednak uroczyście, ponuro, bez wątpienia aż gotował się z gniewu. Wściekłość ogarniała go stopniowo w trakcie tyrady.

- No i widzisz, książę? - spytał z wyższością Korinaam.

- Co on mówi?

- Ogólnie - że nie jest zainteresowany w poruszaniu w negocjacjach tego tematu. Że temat ów negocjacjom nie podlega, a poza tym jego zdaniem nie masz kwalifikacji do omawiania go. Nawiasem mówiąc, używał pogardliwego słowa.

- Pogardliwego?

- Stosowanego wtedy, gdy podaje się w wątpliwość męskość przeciwnika.

Teraz gniew ogarnął też Harpiriasa.

- To on nadal czepia się tego ślubu? Dobrze, przekaż mu...

- Zaraz! - przerwał Korinaam. Król mówił nadal.

- Mówi... mówi, że mamy natychmiast zejść mu z oczu. Dzisiaj nie będzie negocjacji.

Rozmowy zostają odwołane.

- Czy z powodu śmierci hajbaraka?

- Nie tylko. Sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Od początku był zirytowany, a ty tylko rozgniewałeś go jeszcze bardziej. Dokładnie przed tym cię ostrzegałem, książę. Doprowadził się do dzikiej wściekłości. Musimy zejść mu z oczu, już, natychmiast.

- To jakiś żart! Kolejny zmarnowany dzień! Zima nadejdzie, nim w ogóle...

- Nie mamy wyboru. Gdybyś rozumiał, co mówi, doszedłbyś do tego samego wniosku, książę. Idziemy. Idziemy! Lada chwila zaczną w nas rzucać kawałkami tronu. - Korinaam szarpał nerwowo rękaw kaftana Harpiriasa. - Idziemy, książę!

- Dobrze - powiedział Harpirias, a kiedy znaleźli się już na placu, spytał: - Dlaczego właściwie dostał tego ataku szału?

- Z powodu twego ślubu czystości, książę. Jemu chodzi przede wszystkim o to, a nie o więźniów czy cokolwiek innego. Kiedy wspomniałeś o wysyłanych zakładnikom kobietach, przypomniałeś mi o czymś... o tym, że oddaliłeś jego córkę.

- Moja czystość to nie jego sprawa.

- Ależ wręcz przeciwnie, książę. Jest dokładnie tak, jak wczoraj w jaskini powiedzieli więźniowie: spodziewa się, że spłodzisz mu następcę tronu. Wściekł się, ponieważ odesłałeś jego córkę i rozmowy w ogóle się nie zaczną, póki nie położysz się z nią i nie spłodzisz królowi syna Koronala.

- Syna Koronala!? - wrzasnął Harpirias. - Czy tego właśnie się po mnie spodziewa?

W nieprzeniknionych oczach Zmiennokształtnego zabłysło coś na kształt przewrotnej radości. Mimo to milczał.

- Na miłość Bogini, Korinaamie, widzisz, do czego doprowadziłeś? Powtarzałem ci...

powtarzałem ci wielokrotnie, że nie podoba mi się pomysł, by pozwolić Toikelli wierzyć, że jestem Lordem Ambinole'em. Co najmniej trzykrotnie polecałem ci, żebyś wyprowadził go z błędu. Za każdym razem odmawiałeś spełnienia mojego rozkazu i teraz... sam widzisz. Chce mieć za wnuka syna Koronala! Jak mam tego dokonać? Nie jestem Koronalem! Nie, nie, nie!

- W twoich żyłach płynie królewska krew, książę.

- Królewska krew sprzed tysiąca lat!

- Mimo wszystko. Twój przodek był wielkim władcą. Nawet jeśli sam nie jesteś

Koronalem, możemy wyjaśnić mu, że pochodzisz z linii Koronala. Spłodź dziecko, a Toikella będzie szczęśliwy.

- Spłodzić dziecko! - Harpirias aż bełkotał z wściekłości. - Co ty gadasz!

- Czy to naprawdę takie straszne? Dziewczyna wydała mi się całkiem ładna.

Harpirias odetchnął głęboko.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Wygląd dziewczyny nie ma zresztą nic do rzeczy. Po

prostu nie mam zamiaru... Nie -powtórzył ponuro. - A teraz wracamy i powiedz mu wreszcie, kim rzeczywiście jestem.

- Zabije nas, książę. - Tym razem w głosie Metamorfa nie słyszał kpiny.

- Mówisz poważnie?

- Toikella uważa cię za władcę. Za późno już, by wyprowadzać go z błędu. Za wiele

dumy zainwestował w sytuację, w której wielki Koronal Majipooru przyjeżdża do jego wioski i prosi go o łaskę. Jeśli teraz powiemy mu, że pozwoliliśmy, by pozostawał w błędzie, zabije nas

bez chwili wahania. Możesz mi wierzyć, książę.

- Lecz przecież oznaczałoby to wojnę! Jego Wysokość wysłałby tu armię, a jego samego uwięził na resztę życia!

- Toikella nie ma przecież pojęcia o zakresie władzy Jego Wysokości - zauważył Korinaam. - Jak wiesz, uważa Jego Wysokość za wodza plemiennego, nie ważniejszego i nie potężniejszego niż on sam. Wierzy także, że nikt nie zdoła dokonać inwazji na jego wioskę. Oczywiście Jego Wysokość wyprowadzi go z błędu, ale nas to przecież nie wskrzesi, prawda?

Beznadziejna sprawa. Beznadziejna. Harpirias zorientował się, że konsekwentnie odmawiając wyprowadzenia króla z błędu, Korinaam wpędził go w ślepią uliczkę. Powrócił do kwatery, by przemyśleć sytuację.

Zachował się jak kompletny idiota, pozwalając Korinaamowi na kontynuowanie tego bezsensownego nieporozumienia. Wdepnął w bagno. Musi nadal grać tę idiotyczną farsę albo spadnie wiszący mu nad głową miecz, musi udawać pana Góry Zamkowej - a jako pan Góry Zamkowej musi tylko... spłodzić królowi potomka, w którego żyłach krew władcy Majipooru zmieszana będzie z krwią wodza Othinoru...

Lecz przecież udawanie Koronala to oczywista zbrodnia zdrady stanu! Niezależnie od wszelkich wyjaśnień, jakich mógłby udzielić na dworze, nie wolno mu jej popełnić. Mimo to... mimo to...

Lord Harpirias, Koronal Majipooru!

Przecież może udawać Koronala, a skoro maskarada ta służy wyższym celom... skoro służy wypełnieniu misji uwolnienia zakładników... Przecież potrafi zachowywać się jak król, prawda? Przecież jest w stanie wędrować po tym nieszczęsnym państewku wiecznego lodu, jakby rzeczywiście był panem Góry Zamkowej, jakby rzeczywiście zasiadał na wspaniałym tronie Confalume'a, jakby na czole nosił koronę ze znakiem gwiazdy... prawda? Prawda? Skąd

niby Toikella ma wiedzieć, że tak nie jest?

Nie. Przecież to zwykły idiotyzm!

Harpirias nie wyobrażał siebie ani jako Koronala, ani jako starca. Jest przecież

Harpiriasem z Muldemar, młodym mężczyzną z linii Prestimiona, pomniejszym księciem wśród arystokratów Góry Zamkowej. I nadal pragnie być wyłącznie Harpiriasem z Muldemar.

Bycie Harpiriasem z Muldemar najzupełniej wystarczy mu do szczęścia. Nie ma większych ambicji. Podawać się za kogoś innego - za władcę świata - nawet tu, nawet na chwilę, nawet wyłącznie po to, by zadośćuczynić dyplomatycznej konieczności, to groteskowe w swej głupocie świętokradztwo.

Zdawał sobie sprawę, że nieporozumienie spowodowane przez Korinaama musi zostać wyjaśnione. Że jeśli nie zostanie, sytuacja może się pogorszyć.

Lecz jak je wyjaśnić?

Na to pytanie Harpirias nie znalazł odpowiedzi. W ciemnościach swej kwatery samotnie szukał jej do późnej nocy.

Przerwał mu dobiegający zza zasłony kobiecy głos, wypowiadający cicho słowa, których nie potrafił zrozumieć.

- Kto tam? - spytał, choć nie miał wątpliwości, kto go odwiedził.

Dziewczyna znowu przemówiła. Jej głos sprawiał wrażenie nie tyle proszącego, ile wręcz błagalnego.

Harpirias podszedł do progu. Odsunął zastępującą drzwi skórzaną płachtę. Tak, to była ona, ciemnowłosa córka króla, która przyszła do niego po uczcie. Dziś miała jednak znacznie bardziej formalny strój, płaszcz ze wspaniałych białych skór i wysokie skórzane buty. We włosy wplotła jaskrawą, ciemnoczerwoną wstążkę, jej górną wargę przebijał cienki kawałek kości zaostroszony z obu końców - ozdoba bez wątplenia rytualna, oznaczająca przynależność

plemienną. Dziewczyna sprawiała wrażenie przerażonej. Szeroko rozwarte, nieruchome oczy wpatrywały się w niego, cała się trzęsła, choć najwyraźniej nie z chłodu, jeden z policzków drgał jej spazmatycznie. Harpirias przez dłuższą chwilę po prostu stał w progu, nie mając zielonego pojęcia, co powinien zrobić lub powiedzieć.

- Nie - odezwał się w końcu, najłagodniej, jak potrafił. - Bardzo mi przykro. Po prostu nie mogę tego zrobić. Nie mogę! - Uśmiechnął się smutno, potrząsnął głową, palcem wskazując korytarz. - Czy rozumiesz, co mówię? Musisz odejść. Żądasz ode mnie czegoś, czego nie mogę ci dać.

Dziewczyna trzęsła się niemal tak, jakby dostała konwulsji. Wyciągnęła do niego rękę.

Palce jej drżały.

- Nie! - szepnęła i Harpirias ze zdumieniem stwierdził, że mówi w jego języku. -

Proszę... błagam...

- Znasz majipoorski?

Najwyraźniej nie znała go jednak zbyt dobrze. Miał wrażenie, że powtarza z pamięci raz wyuczone słowa.

- Błagam... błagam... przyszedłam...?

Korinaam ją tego nauczył! - pomyślał nagle Harpirias. Jakie to do niego podobne. Znowu potrząsnął głową.

- Nie możesz. Nie wolno ci. Po prostu nie mam zamiaru...

- Proszę!

W jej głosie słyszał straszliwe napięcie. Ledwie trzymała się na nogach.

Po tym, co zobaczył, po prostu nie ośmielił się jej odesłać. Westchnął i skinął dłonią, zapraszając królewską córkę do swego pokoju. Tylko na chwilę, powiedział sobie. Tylko na chwilę, to szaleństwo przecież zaraz się skończy.

Dziewczyna niemal wpadła do lodowatego wnętrza. Cała dygotała. Zaprażył przytulić ją, pocieszyć, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Teraz najważniejsze było zachowanie dystansu.

Córka Toikelii najwyraźniej nie miała mu nic więcej do powiedzenia, przynajmniej w zrozumiałym języku. Próbowwała pokazać coś na migi: podnosiła ręce wysoko nad głowę, po czym opuszczała je, wyprostowane, wzdłuż boków, kilka razy z rzędu. Harpirias usilnie próbował domyślić się, o co jej chodzi. Coś dużego... czyżby pokazywała mu górę? Czyżby miało to coś wspólnego ze zrzucenymi ze skały zwierzętami?

Zatoczyła dłonią łuk, od głowy do kolan. Brzuch? Dawła mu do zrozumienia, że oczekuje zajścia w ciążę? Być może nie. Znów pokazała górę. I brzuch. Przyglądał się jej, nic nie pojmując. Otworzyła usta, wskazała na zęby. Góra. Brzuch. Zęby.

Harpirias potrząsnął głową.

Dziewczyna przerwała na chwilę. Namyslała się, a potem wyciągnęła przed siebie ręce, trzymając je pod kątem do podłogi, jakby chciała podkreślić rozmiar, i na sztywnych nogach zaczęła szybko chodzić po pokoju. Sprawiało to zabawne wrażenie, ale Harpirias nadal nie pojmował, o co właściwie chodzi.

- Zwierzę? Wielkie zwierzę? Hajbarak?

- Nie. Nie!

Jego brak domyślności najwyraźniej mocno ją rozzłościł. Góra. Brzuch. Zęby.

Zabawny, szybki krok. Sztywne nogi.

Tym razem pojął wreszcie. Chodząca góra... wielki brzuch... zęby... wielki brzuchaty człowiek o niezwykłych zębach!

- Toikella! - krzyknął Harpirias.

Dziewczyna radośnie skinęła głową - wreszcie się dogadali - po czym znów popadła w

zamyślenie. Harpirias czekał. Wreszcie, tak jak poprzednim razem, wskazała górę rzuconych na podłogę futer, poklepała się po piersi i wyciągnęła do niego dłoń. Już chciał powtórzyć, że nie ma zamiaru iść z nią do łóżka, kiedy po raz kolejny odegrała mu Toikellę, wyduła policzki i spojrzała wściekle, co z pewnością oznaczało gniew króla, po czym zaczęła skakać dziko, pokazując, że w ręku trzyma miecz lub może włócznię. Nagle skuliła się, przycisnęła dłonie do brzucha i wywróciła oczami. Została zraniona. Umierała.

- Toikella zabije cię, jeśli się z tobą nie prześpię? - upewnił się Harpirias. - O to ci chodzi, prawda?

Spojrzała na niego bezradnie, nic nie rozumując. Spróbował jeszcze raz, mówił wolniej i głośniejsze.

- Król... cię... zabić...

Dziewczyna wzruszyła ramionami i jeszcze raz odegrała całą scenkę.

- Zabić nas oboje? - spytał Harpirias. - A może tylko mnie? Kolejne próby nawiązania kontaktu spełzły na niczym.

Gość najwyraźniej wypowiedział już wszystkie cztery czy pięć majipoorskich słów, których się nauczył, on zaś znał zaledwie dwa czy trzy słowa w obcym języku, żadne nie pasowało do sytuacji. W oczach królewskiej córki wyraźnie widział jednak błaganie. Patrzyła na niego rozpaczliwie, od czasu do czasu zerkając na futra. Raz jeszcze zdawała się na jego łaskę.

Harpirias uświadomił sobie, że najprawdopodobniej prawidłowo odczytał tę pantomimę. Ojciec rozkazał jej urodzić następcę tronu. Nie miał zamiaru akceptować odmowy. Jeśli, jak poprzednio, zostanie odesłana, królewska furia zmieni się w żądzę krwi.

Nie wiedział, kto miałby paść ofiarą tej furii - on, ona, oboje? - to jednak nie wydawało się najważniejsze. Wystarczyła mu świadomość, że jeśli nie podda się nieugiętej, ślepej woli

króla, dojdzie do zbrodni. Znalazł się między młotem a kowadłem, tkwił w pułapce pomiędzy cynicznymi łgarstwami Korinaama i dynastycznymi oczekiwaniami Toikelli, i nie miał wyboru.

- No, dobrze - powiedział dziewczynie. - Chodź. Zrobię ci książątko, jeśli twój ojciec tak bardzo go pragnie.

Nie spodziewał się, by dziewczyna zrozumiała jego słowa, i rzeczywiście ich nie rozumiała, gdy jednak ujął ją za przegub i poprowadził w stronę futer, jej oczy rozbłysły i o nieporozumieniu nie mogło już być mowy. Z radosną, rozpromienioną twarzą wydawała się niemal ładna.

Przecież i przedtem wcale nie była odpychająca, pomyślał Harpirias. Nieco zbyt mocno zbudowana, zbyt muskularna jak na mój gust, no i niezbyt czysta, a poza tym szczyrby po przednich zębach nie wyglądają najpiękniej, ale mimo wszystko...

Przecież on, Harpirias, nie mógł uchodzić za wzór cnót. Swego czasu spędził przyjemne chwile z niejedną młodą kobietą, której wygląd i maniere pozostawiały wiele do życzenia.

Dawno, dawno temu była na przykład rudowłosa tancerka z Bombifale o płonących oczach i wysokim, ochrypłym głosie handlarki ryb, była też smukłonoga, klnąca jak marynarz żonglerka z miasta rozrywek, Morpin Wysokiego, by nie wspomnieć już o pewnej szerokiej w biodrach łowczym, którą spotkał podczas samotnej wyprawy w lasy Normork i która jego, wówczas osiemnastoletniego, nauczyła paru rzeczy, o jakich w tym wieku nie ma się na ogół zielonego pojęcia...

Były i inne. Więcej niż kilka, o wiele więcej niż kilka. Jeśli teraz musi dodać do tej listy ciemną barbarzyńską dziewczynę o niedomytej twarzy... to co? Harpirias powtórzył sobie tylko, że dyplomaci muszą wykazać się przeróżnymi umiejętnościami, a gdyby trwał w starokawalerskim uporze i nie spełnił tego szczególnego żądania Toikelli, jego misja

najprawdopodobniej skończyłaby się niepowodzeniem. Spełnienie marzeń króla stało się w ten sposób jego obowiązkiem służbowym. Nie był oczywiście Koronalem, choć Toikella z uporem go za Koronala uważał - jednak krew Koronarów rzeczywiście płynęła w jego żyłach i to musi wystarczyć władcy Othinoru.

Musi mu wystarczyć.

No więc dobrze. Doskonale.

Rozwiązał okrywający gościa biały, futrzany płaszcz. Przytrzymał go, a dziewczyna błyskawicznie się z niego wysunęła.

Pod płaszczem była naga. Ciało miała twarde, umięśnione, piersi niewielkie, ładnie zaokrąglone biodra. Najwyraźniej wysmarowała się czymś od stóp do głów -zastanowił się przez chwilę, czy przypadkiem nie tłuszczem hajbaraka - była więc gładka i przyjemnie śliska w dotyku, a poza tym nie cuchnęła aż tak silnie.

Opadli razem na górę futer. Harpirias szybko wsunął się pod stertę; w lodowej komnacie było zbyt zimno, by pragnął przez dłuższy czas wystawiać nagie ciało na świeże powietrze. Choć dziewczyna najwyraźniej wolałaby pozostać na futrach niż w futrach, zrozumiała jednak intencje gościa i już po chwili znalazła się przy jego boku. Kiedy już zabezpieczyli się przed mrozem i leżeli przytuleni i dobrze okryci, roześmiała się, położyła mu dłoń na piersi, przewróciła go i znalazła się na górze.

- Tak najbardziej ci się podoba? Dobrze. Doskonale. Jak sobie życzysz.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. Oczy błyszczały jej radośnie, jakby była to dla niej swego rodzaju gra. Harpirias zastanawiał się przez chwilę, ile ma lat. Dwadzieścia? Może mniej? Piętnaście?

Nie sposób powiedzieć.

Chciał ją pocałować, ale odwróciła głowę. Najwyraźniej jej lud nie znał tego zwyczaju.

Niech będzie, pomyślał. Przebijająca górną wargę kość rzeczywiście sprawiłaby spore kłopoty.

Córka Toikelli wypowiedziała jakieś słowa w swoim języku. "Nie rozumiem" - odparł.

Roześmiała się i powtórzyła. Czyżby był to wyraz miłosnej pasji? Z jakiegoś powodu miał co do tego spore wątpliwości. Może po prostu podawała mu swe imię?

- Harpirias - powiedział. - Nazywam się Harpirias. A ty? Zachichotała. Powiedziała coś, jedno słowo i powtórzyła je

niemal natychmiast. Zapewne miało spore znaczenie, ale on oczywiście zupełnie nie wiedział, o co chodzi.

- Shabilikat? - spróbował.

Jeszcze raz powtórzył i wywołał u niej wybuch niemal histerycznego śmiechu.

- Shabilikat? Shabilikat? - mówił, co najwyraźniej uznane zostało za rzecz wyjątkowo śmieszną. W końcu dziewczyna przerwała mu, kładąc dłoń na jego ustach i niemal w tym samym momencie ścisnęła mocnymi nogami jego talię, dosiadając go w sposób, który pozbawił go ochoty do kontynuowania rozmowy.

Była to noc długa... i bardzo pracowita oraz o wiele przyjemniejsza, niż Harpirias miał prawo się spodziewać, chociaż styl ich miłości mógł wydawać się co najmniej dziwny człowiekowi przyzwyczajonemu do znacznie bardziej wyrafinowanych kobiet z majipoorskiej śmietanki towarzyskiej. Bez przykrości dostosował się jednak do pasji dziewczyny, do jej silnych dłoni, gwałtownych ruchów i wybuchów nieopanowanego śmiechu w najbardziej po temu nieodpowiednich momentach. Córka Toikelli wydawała się nienasycona - jego jednak, po wielu miesiącach nieprzerwanej abstynencji, bynajmniej to nie martwiło.

W trakcie tej zabawy przykrywające ich futra poleciały gdzieś na bok, Harpirias jednak właściwie nie zwrócił uwagi na chłód. W końcu - nie miał pojęcia, po ilu godzinach - zapadł w ciężki sen, tak jak wpada się w studnię, a kiedy się znacznie później ocknął, odkrył, że

dziewczyna okryła go troskliwie i opuściła pokój.

Nie wiedział naturalnie, czy spełniło się życzenie Toikelli i czy tej nocy poczęty został następca tronu, powiedział sobie jednak, że jeśli nie udało mu się dziś, to cóż, bez przykrości spróbuje wypełnić swe dyplomatyczne obowiązki jutro.

Następnego dnia król był w znacznie lepszym nastroju. Powitał Harpiriasa przy wejściu do sali tronowej uściskami oraz entuzjastycznymi przyjacielskimi rykami, po czym zaczął się lubieżnie uśmiechać, mrugać i poszturchiwać go, aż księżę skrzywił się i nieco zawstydził. Najwyraźniej córka zdała mu pełną i całkowicie satysfakcjonującą relację ze zdarzeń ostatniej nocy.

Mimo wszystko król nie dał się wciągnąć w żadne szczegółowe negocjacje. Korinaam miał najwyraźniej rację - ten człowiek nie znosił, kiedy go popędzano.

Harpirias nakazał Zmiennokształtnemu w uprzejmych słowach poprosić o rozmowę na temat poprawy losu zakładników. Toikella odpowiedział chłodno, krótko; nie rozumiejąc go, Harpirias bez kłopotu zorientował się jednak, że spotkała go odmowa.

Spojrzał na Korinaama.

- Mówi "nie", prawda? - upewnił się.

- Król pragnie zapewnić cię księżę, że wszystkie twoje życzenia zostaną wysłuchane i spełnione, twierdzi jednak, że nie nadszedł jeszcze czas, byś je wyjawiał. Za trzy dni wybiera się na wyprawę myśliwską. Angażowanie się w jakiegokolwiek inne sprawy, póki z niej nie wróci, przyniosłoby mu pecha.

- A kiedy wróci? Po tygodniu? Miesiącu?

- Po dwóch dniach. Jeden zabierze mu droga w góry, jeden powrót. Być może wyprawa potrwa trzy dni, jeśli trzeba będzie tropić zwierzynę...

- Na Panią! Jeśli tak dalej pójdzie, nigdy nie...

- Otrzymujesz zaproszenie na tę wyprawę - nie dał sobie przerwać Metamorf. -

Doradzam przyjęcie go. Letnie królewskie polowanie to wielkie święto i obyczaj tego ludu.

Zaproszenie do udziału w nim jest wyrazem wielkiej łaski.

- Przyjmuję je - powiedział Harpirias, nieco ułagodzony, choć zwłoka trochę go rozdrażniła.

Całą poranną rozmowę poświęcono więc szczegółowemu planowaniu wyprawy, kiedy zaś wracali już z Korinaanem do kwater, Harpirias spytał:

- Nauczyłeś dziewczynę słów takich jak “proszę” czy “wchodzę”, prawda?

- Miałem wrażenie, że sytuacja jest niebezpieczna. Potrzebowała mojej pomocy.

- Niebezpieczna dla kogo?

- Król źle przyjął wiadomość, że pierwszej nocy jej się nie udało. Uważał, że popełniła coś w rodzaju zdrady. Niedobrze jest narazić się na niechęć barbarzyńskiego władcy.

- Czy twoim zdaniem rozkazałby ją zabić, gdybym nie dopuścił do...

- Mogłoby się tak zdarzyć. Uznałem, że nie powinno dojść do tego. Król był zdecydowany postawić na swoim. Gdyby tej się nie udało, wysłałby ci jakąś inną kobietę.

- Niewątpliwie masz rację. - Przeszli jeszcze kilka kroków i Harpiriasowi przysłała do głowy pewna myśl.

- Słuchaj, a nie wiesz, co po othinorsku znaczy “shabilikat”? - spytał.

-Co?

- Shabilikat - powtórzył Harpirias. - W każdym razie brzmiało to jakoś podobnie.

Powtarzała to słowo, kiedy już mieliśmy... właśnie zamierzaliśmy...

- Proszę powtórzyć je raz jeszcze?

Harpirias powtórzył “shabilikat” powoli, dokładnie. Korinaam nie zareagował od razu.

Milczał, a potem roześmiał się, co było - jak na niego - całkiem niezwykle. Najpierw chichotał po cichu, lecz po chwili już śmiał się w głos.

- Więc to coś zabawnego?

- Raczej obscenicznego. Tak... okropnie... obrzydliwie... - Metamorf wydawał się po

prostu zafascynowany. - Oczywiście wypowiedasz je straszliwie, naprawdę brzmi... - i wydał z siebie dźwięk o podobnej liczbie sylab, pełen jednak szorstkich niemal nie do wypowiedzenia spółgłosek spiętrzonych jedna na drugiej jak głązy na osypisku. - Czy tak brzmiało to, co powiedziała?

- Chyba tak. O co jej chodziło?

Korinaam zawahał się. Chichotał w sposób, który sprawiał, że Harpirias miał ochotę dać mu w pysk.

- Nie potrafię powiedzieć tego głośno. To zbyt okropne.

- Daj spokój. Nie jesteś dzieckiem, Korinaamie. Nie kokietuj mnie tu wstydlivością!

- Książę, proszę...

- To rozkaz!

- Poznanie znaczenia tego słowa nie jest istotne dla twojej misji, panie.

- Skąd ta pewność? Masz mi natychmiast powiedzieć, o co chodzi!

Czoło Korinaama aż pożółkło ze wstydu. Kiedy udało mu się jednak powstrzymać chichot, powiedział... z wielkimi oporami:

- Oznacza to mniej więcej: "Brama mego ciała stoi przed tobą otworem". Tak mówi kobieta do mężczyzny. Każda płeć używa trochę innych określeń.

Harpirias zrozumiał wreszcie, dlaczego dziewczyna zaśmiewała się, kiedy powtarzał jej słowa. Popełnił prosty błąd językowy - mężczyzna używający określeń kobiecych. Tylko... co Korinaam widział w tym obrzydliwego? Brama jej ciała była przecież otwarta... dla niego.

Córka Toikelli opisywała po prostu istniejącą w danej chwili sytuację. Jeśli nieświadomie popełnił błąd gramatyczny... cóż, przecież chyba nikt nie spodziewał się po nim biegłej znajomości othinorskiego.

Spojrzał na Metamorfa, nic nie rozumiejąc. Korinaam odwrócił się, zawstydzony i wbił

wzrok w ziemię.

- Nie znajduję w tym sformułowaniu niczego obscenicznego. Być może zawiera ono spory ładunek erotyzmu, ale obsceniczne nie jest.

- Obraz... ciała... mającego wrota... - Zmiennokształtny nie był w stanie skończyć zdania.

- Przecież ma. W każdym razie kobiece. Wyjaśnij mi, dlaczego ktokolwiek, a już zwłaszcza ludzie pierwotni jak ona, prości i nieskażeni absurdami cywilizacji, mieliby dostrzec coś nieodpowiedniego w metaforze opisującej prosty fakt anatomiczny?

- Prawdopodobnie nie ma ku temu żadnego powodu - przyznał Korinaam. Harpirias jeszcze nigdy nie widział go tak zmieszanego. - Ja jednak mam powody. Książę, czy moglibyśmy zmienić temat rozmowy?

Po raz kolejny Harpirias musiał sobie uświadomić, jak dalece obcy jest mu towarzysz jego wyprawy. Zmiennokształtni cieszyli się na Majipoorze pełnią praw i równością, ich królową uważano oficjalnie za Potęgę Królestwa i tak dalej, lecz mimo to byli inni, w sposób nie do zbadania i przewyciężenia; byli istotami dysponującymi dziwnymi, plastycznymi ciałami, funkcjonującymi zgodnie z zasadami właściwymi tylko dla nich, i umysłami... umysłami, pomyślał Harpirias, zdolnymi uważać za obrzydliwe proste spostrzeżenie, że kobiece ciała mają wrota.

Jak oni uprawiają miłość?

Zdał sobie sprawę, że nie ma zielonego pojęcia. I że wcale nie pragnie się dowiedzieć.

Rozstał się z Korinaamem w pobliżu domu, w którym mieszkali. Przez chwilę stał na placu, patrząc w niebo, błyszczące i ciemnoszare jak arkusz zimnej stali. W powietrzu wirowało kilka płatków śniegu.

Zbliżała się śnieżycyca, już zaczynało padać, a przecież wkrótce miało się odbyć rytualne

letnie polowanie. Na jego oczach śnieg gęstniał się, cienki biały płaszcz już pokrył stary lód placyku. Lato! Lato! Poczul chłód na policzkach. Jakie to dziwne, pomyślał. Gdziekolwiek spojrzał, widział i poznawał rzeczy coraz dziwniejsze. Jeśli kiedykolwiek stąd powróci, będzie miał niejedno do opowiadania.

Tej nocy dziewczyna znów pojawiła się w jego kwaterze. Śnieg już nie padał, wioska drzemała przykryta grubym kożuchem. Chłopcy uzbrojeni w miotły ze słomy sprzątali zasy przed wejściami do domów.

Przed kolacją Harpirias dowiedział się od Korinaama, jak spytać o imię po othinorsku, i kiedy przyszła, natychmiast skorzystał ze świeżo zdobytej informacji.

- Ivla Vevikenik - powiedziała dziewczyna.

Wskazał ją palcem i powtórzył. Skinęła głową. Poklepała się po piersi, mówiąc jeszcze raz: Ivla Vevikenik.

- Harpirias - rzekł, wskazując na siebie. Tyle przynajmniej już o sobie wiedzieli.

Dziewczyna najwyraźniej uważała, że skoro Harpirias potrafi zadać w jej języku jedno pytanie, to musi płynnie się nim posługiwać. Zaczęła coś szybko opowiadać; przerwał potok jej słów, a dopiero wtedy, gdy roześmiał się i palcami obu dłoni uderzył po skroniach, jakby chciał powiedzieć, że nie ma tam nic prócz pustki. Ten gest najwyraźniej został właściwie zrozumiany, lecz mimo wszystko Ivla nadal chciała rozmawiać. Przez chwilę próbowali jakoś się porozumieć, pracowicie wyjaśniając sobie nawzajem znaczenie każdego słowa, ale ponieważ nie było widać żadnych efektów, machnęli ręką na rozmowę i padli na stos futer. Tuż przedtem, nim Harpirias w nią wszedł, dziewczyna mruknęła słowo brzmiące w jego uszach jak "shabilikat". Tym razem go nie powtórzył.

Już po wszystkim, kiedy leżeli obok siebie nadzy, zdyszani, czekając na ponowny przypływ sił, zaczęła do niego przemawiać, cicho i łagodnie. Miał wrażenie, że to po prostu

czułe, pieszczotliwe słówka. Albo może podziękowanie za to, że zdecydował się podporządkować poleceniom Toikelli? Ta myśl nie sprawiła mu przyjemności. Nie wdzięczności od niej oczekiwał.

Przecież jest w końcu całkiem ładna, powiedział sobie. Nie robię grzeczności nikomu oprócz siebie.

Czy była to cała prawda? Nie, nie cała i Harpirias doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

W środku nocy Ivla postanowiła, że wyjdą razem na placyk. Harpiriasowi wydawało się to szaleństwem, kiedy jednak wstała, ubrała się i podała mu ubranie, czekając, aż je włoży, po czym wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę wyjścia, przestał mieć wątpliwości co do jej intencji.

Na zewnątrz panowała cisza. Noc była chłodna, na niebie świeciły jasno trzy małe księżycy i mnóstwo gwiazd. Dziewczyna zaczęła coś pokazywać, gestykulowała raz za razem, najpierw wskazując na skalną ścianę, potem wspinając się na palce, jakby przez nią wyglądała, i w końcu Harpirias zrozumiał, że prosi go, by opisał, jaki jest świat poza granicami jej wioski.

Obok nich, na ziemi, leżała jedna z mioteł, którymi chłopcy wcześniej uprzętały z placyku zaspy. Podniósł ją i rączką nakreślił na świeżym śniegu mapę Majipooru: leżące obok siebie dwa wielkie kontynenty przedzielone Wyspą Pani, a poniżej upalny, pustynny Suvrael.

Czy rozumiała, co to jest? Jak niby ma się tego dowiedzieć?

- Jesteśmy tu. - Rączką miotły wskazał wysuniętą najbardziej na północ krawędź

Zimroelu. Mówił powoli, przesadnie wyraźnie, jakby to mogło pomóc jej zrozumieć. - Ten

region nazywamy wyżyną Khyntor. - Zerknął na dziewczynę, pragnąc sprawdzić, jak

zareagowała na te słowa, ale z jej twarzy odczytał tylko żywe zainteresowanie, nie

zrozumienie. Podgarnął trochę śniegu, zaznaczając nim łańcuch gór, który odcinał wyżynę od

reszty zachodniego kontynentu.

- Tu, na dole - ciągnął - leży miasto Ni-moya. Olbrzymie miasto. Wiele milionów ludzi.

- Czuł się jak dureń, przemawiając do niej w ten sposób. Naszkicował rzekę Zimr, płynącą z zachodu na wschód i przecinającą Zimroel w jednej trzeciej, zrobił dziurę w śniegu u jej ujścia, zaznaczając w ten sposób Piliplok.

- Port - wyjaśnił. - Bardzo wielki. Mieszka w nim mnóstwo Skandarów. - Bez wielkiego powodzenia spróbował pokazać istotę o czterech ramionach. - Skandarów. A ta rzeka tu, płynąca na południe, to Steiche. Tam, w dżunglach, mieszkają Meta-morfowie. Nie wiesz, co to dżungla, prawda? Bardzo ciepło. Stale pada deszcz. Wielkie drzewa. Stamtąd pochodzą Meta-morfowie. Istoty jak Korinaam. Meta-mor-fowie. Kori-naam.

Przecież to bez sensu. I co gorsza śmieszne.

Ivla zachęcała go jednak, by mówił dalej, uśmiechała się, kiwała głową. Wyrysował więc dla niej inne wielkie miasta Zim-roelu, tak jak pamiętał ich położenie ze szkoły: Pidruid, Til-omon, Narabal na zachodnim wybrzeżu, Dulorn mniej więcej na właściwym miejscu, w środku kontynentu, i parę innych. Potem przeszedł kilka kroków, do drugiego wielkiego, wyrysowanego przez siebie kręgu reprezentującego Alhanroel, klęknął, nabrał w ramiona śniegu, uformował z niego Górę Zamkową.

- Tu mieszkam - poinformował. - Wielka, wielka góra, taka wielka, ogromna góra sięgająca do gwiazd, z miastami na zboczach. Pałac na szczycie. Pa-łac. Pałac Koronała. Króla świata. Lord Ambinole, Koronal Majipooru.

W tę piękną letnią noc przemarzał do szpiku kości. Uszy i czubek nosa płonęły mu od mrozu. Nie miał jednak zamiaru zaprzestać lekcji geografii dopóty, dopóki dziewczyna zdradzała choćby najmniejsze zainteresowanie, a Ivla Vevikenik była osobą ciekawą świata.

Wpatrywała się w niego wielkimi, oczami przepełnionymi fascynacją. Harpirias raz za razem

dziobał śnieg kijem od miotły: rysował rzekę Glayge i labirynt Pontifexa na jej południowym krańcu, miasta Alaisor, Treynone i Stoien, zaznaczył ruiny pozostałe po dawnej stolicy Metamorfów, Velalisier. Mógłby tak aż do rana, szkicując wszystko, co mu przyszło do głowy, nazywając każde z Pięćdziesięciu Miast i wiele innych miejsc, ale po paru minutach Ivla podeszła i potarła policzkiem o jego ramię. Na razie znudziła ją geografia.

- Shabilikat - powiedziała i poprowadziła go do domu.

Ścieżka wiodąca na królewskie łowiska zaczynała się zaraz za pałacem i po pięciu ostrych zakosach wnikała w głęboką, niewidoczną z dołu skalną szczelinę. Dalej, zakręcając kilkakrotnie i pnąc się w górę, biegła w końcu na szczyt ściany otaczającej wioskę. Przypominała trasę do jaskini zakładników; była równie trudna, wąska i skalista, lecz nie tak stroma. Harpiriasowi wspinaczka nią wydała się łatwiejsza, choć spadły przed kilku dniami, nie stopniały jeszcze śnieg uczynił szlak znacznie ryzykowniejszym.

Na wyprawę wyruszyło dwunastu łowców. Prowadził Toikella mający przy sobie wielkiego kapłana Mankhelma, za nimi szło sześciu wioskowych myśliwych, nieśli oszczep i jakieś święte symbole władzy zamknięte w drewnianej, malowanej skrzynce. Harpirias szedł z Korinaamem, tłumaczem, pozwolono mu także zabrać ze sobą dwóch Skandarów - prawdopodobnie jako tragarzy, choć nic nie musieli nieść.

Ta część skalnej ściany była wyższa i bardziej nieregularna niż przy jaskini zakładników. Nie wieńczył jej szeroki płaski szczyt, lecz szereg kolejnych, coraz wyższych wierzchołków, rozciągających się daleko na północ; na najeżonym nimi, wznoszącym się stromo płaskowyzu żyły niewątpliwie zwierzęta, na które miał zamiar zapolować król. Po pokonaniu skalnej ściany, zatrzymali się na dłuższą chwilę w płaskim miejscu przed dalszym marszem nierównym i stromym wzniesieniem prowadzącym na północ. Nadal widzieli wioskę - zagubioną gdzieś w dole, malutką - od tego miejsca mieli ją już stracić z oczu. Król rozebrał się tu do naga - chłód najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzał - a Mankhelm odprawił długi szereg rytuałów. Pieczołowicie ułożył na ziemi źdźbła i łodygi suchej trawy wraz z kawałkami barwionej skóry i podpalił je, z kamyków ułożył trzy małe kopce, po czym przemawiał cicho do każdego z nich, otworzył dzban piwa oraz czegoś prawdopodobnie znacznie mocniejszego od piwa i rozlał jedno i drugie na cztery strony świata.

Najważniejszy moment uroczystości nastąpił, gdy jeden z myśliwych rozwinął pęk futer związany przedtem grubym rzemieniem, wydobywając z niego włócznię niezwyklej wręcz długości, z dużym trójkątnym grotem z jakiegoś przypominającego szkło białego, wyostrzonego niczym brzytwa kamienia. Wręczył ją Mankhelmowi, który z kolei uniósł ją oburącz i podał Toikelli. Na oczach zdumionego Harpiriasa nagi król wznosił ciężką broń nad głowę, potrząsnął nią wściekle trzy razy, jakby próbował onieśmielić bogów, po czym wydał z siebie długi, chrypliwy okrzyk wojenny, odbijający się od skał z taką siłą, że mógłby chyba spowodować lawinę.

Oto Majipoor, pomyślał Harpirias, w trzynastym roku pontyfikatu Taghina Gawada! Echo okrzyku Toikelli umilkło. Król okrył ciało płaszczem, myśliwi wzięli od niego ceremonialną włócznię i na powrót owinęli ją futrami, wielki kapłan Mankhelm kopniakiem zrównał z ziemią kopce kamieni, wdeptując je w resztki spalonej trawy. Uroczystość dobiegła końca. Najwyraźniej nadszedł czas na polowanie.

- Popatrzcie! - powiedział Eskenazo Marabaut. Skandar wskazywał szczyt jednego z dalszych wzniesień.

Harpirias osłonił oczy oslepiiony jasnym światłem, ale nie miał wzroku Marabauta i niczego niezwykłego nie zauważył.

Król Toikella, który także spojrział w kierunku wskazanym przez Skandara, dostrzegł coś, czego nie widział jego gość. Zamarł w przedziwnej pozycji, z szeroko rozstawionymi nogami, z odrzuconą w tył głową, obserwował szczyt z widocznym napięciem. Po chwili z jego gardła wydarł się zduszony wrzask wściekłości.

- O co chodzi? - spytał Skandara Harpirias.

- Ktoś tam jest. Jakieś postaci poruszają się tam, na szczycie.

- Nic nie widzę.

- Wytęż wzrok, książę. Tam, tam, właśnie schodzą po zboczu. Harpirias w napięciu patrzył na szczyt. Widział tylko bezładnie spiętrzone głazy. Zerknął na Korinaama. Metamorf wpatrywał się w przestrzeń równie zachłannie jak król... i drżał na całym ciele. Dłonie kurczowo splótł na plecach, ramiona od barków po nadgarstki drżały mu i wiły się jak dwa podrażnione węże.

I w końcu Harpirias dostrzegł to, co przed nim dojrzeliby inni: ciemną linię poruszających się niewielkich postaci - było ich osiem, może dziesięć - niczym złowrogie gnomy wynurzyły się z bezpiecznych skalnych szczelin i schodziły powoli w stronę swego rodzaju naturalnego amfiteatru, znajdującego się tuż pod szczytem. Postacie te sprawiały wrażenie smukłych, delikatnych, niemal pajęczych - bardzo różniły się od przysadzistych Othinorczyków.

Toikella potrząsnął w ich kierunku pięściami i mruknął coś pod nosem.

- Co on mówi? - spytał Korinaama Harpirias.

- Powtarza: "wrogowie, wrogowie".

- Ja sądzisz, to oni zrzucali zmasakrowane hajbaraki do wioski?

- Możliwe - odparł Metamorf. - Skąd mam wiedzieć? - Mówił bezdźwięcznym, słabym głosem, nie odrywając wzroku od schodzących po skałach istot. Dłonie nadal miał splecione na plecach i nie przestał się trząść.

Wściekły król doszedł do siebie. Gestem nakazał swej świcie, by ruszała za nim, po czym rzucił się przed siebie szaleńczym biegiem. Tu nie istniała żadna ścieżka, tylko szeroka, wznosząca się ostro płaszczyzna, pokryta mniejszymi i większymi kamieniami, wśród których od czasu do czasu trafiały się pokaźnych rozmiarów głazy. Podpierając się o ziemię, zataczając się, potykając, wciskając się w wąskie szczeliny i czasami ześlizgując się dwa, trzy kroki do przodu, Toikella parł przed siebie niczym opętany przez demony, jakby chciał zadusić niepożądanych gości w potężnych dłoniach, bez niczyjej pomocy zrzucić ich ze szczytu góry.

Mankhelm i myśliwi pędzili niemal tuż za nim.

Harpirias nie miał wyboru - musiał próbować dotrzymać im kroku. W tych górach oddzielenie się od królewskiego oddziału byłoby postępkem wyjątkowo lekkomyślnym.

Podbiegł więc jakieś sto kroków; lecz kiedy się obejrzał, stwierdził, że Korinaam nie ruszył za nimi. Stał tam, niżej, jakby pogrążony we śnie, wpatrując się w dalekie postaci.

- Obudź się! - krzyknął gniewnie. - Biegnij z nami!

- Tak... już... idę...

Harpirias zaczekał na Metamorfa; Skandarzy znacznie ich obu wyprzedzili. Z miejsca, gdzie się zatrzymał, miał znacznie lepszy widok na tajemniczych intruzów, którzy stali teraz w prostej linii nieco poniżej szczytu, tańczyli szaleńczo, kiwali na boki głowami, wymachiwali długimi, cienkimi ramionami i podskakiwali - najwyraźniej odprawiali jakiś zwariowany rytuał wyzwania, pogardy. Zapraszali Toikellę, by ich zaatakował!

Toikella nie miał jednak najmniejszej szansy, by rzucić się na intruzów. Jeszcze kilka kroków i Harpirias zorientował się, że pomiędzy oboma grupami ziele szczelina o pionowych ścianach. Toikella wraz z myśliwymi z wioski dopadł jej i zaczął schodzić, ale wyglądało na to, że zejście i wspięcie się na przeciwległe zbocze może zająć mu cały dzień, a przybysze nie mieli zamiaru uprzejmie na niego czekać.

W rzeczywistości Othinorczycy już zawrócili. Poważni, sprawiający wrażenie zmęczonych, jeden po drugim pojawiali się w polu widzenia, najpierw głowy, potem ramiona, wreszcie całe sylwetki.

Harpirias jeszcze raz przyjrzał się szalonym tancerzom. Najpierw pomyślał, że zdążyli się już oddalić, lecz w tym samym momencie uchwycił jakiś ruch po lewej; przez moment widział ich wyraźnie na tle jasnego nieba, uciekali przez grań.

Tylko... co się z nimi stało? Z całą pewnością biegli teraz na czterech łapach, jak wilki.

A jednak jeszcze przed chwilą niewątpliwie sprawiali wrażenie ludzi.

Banda Zmiennokształtnych? Tu?

- No i co powiesz, Korinaamie? Czy to twoi ludzie? Co właściwie Piurivarzy mają do roboty w tych górach?

Korinaam jednak tylko wzruszył ramionami, potrząsnął głową; nie udzielił żadnej odpowiedzi. W tej chwili chyba nie obchodziło go, kim byli owi dziwni intruzi. Sprawiał wrażenie wyczerpanego wspinaczką, oczy miał nieprzytomne, wąskie ramiona zgarbione, oddychał ciężko, spazmatycznie.

Podczas kilku następnych godzin ani razu nie dostrzegli tajemniczych istot. Pojawiły się, zakpiły z nich szaleńczym tańcem i znikły, to dziwne zdarzenie położyło się jednak cieniem na całej wyprawie. Idący na czele Toikella parł przed siebie w grobowym milczeniu; przekraczał jedną grań za drugą pogrążony głęboko we własnym świecie najwyraźniej niewesołych myśli. Żaden z Othinorczyków nie odzywał się ani słowem. Harpirias w towarzystwie Skandarów i Korinaama szedł za nimi, nie pojmując, czego był świadkiem. Na łąkach pomiędzy kolejnymi graniami widzieli zwierzęta, ciemne, kudłate i chyba wyjątkowo wielkie, wędrujące powoli po skałach, skubiące kępki nędznych, sztywnych, szarozielonych, wyrastających między nimi traw. Hajbaraki? Korinaam niczego nie był pewien, a Othinorczyki trwali pogrążeni w ponurym, nieprzyjaznym milczeniu. W każdym razie zwierzęta te pozostawały poza ich zasięgiem, w dodatku na widok zbliżającej się wyprawy uciekały jeszcze dalej.

W miarę jak kończył się dzień, robiło się coraz chłodniej; powietrze powoli stawało się wręcz mroźne. Wyżyna sprawiała wrażenie ponurej, jałowej. Harpirias czuł, że robi się coraz smutniejszy, coraz bardziej ponury. Ta wyprawa w niczym nie przypominała polowań, do których przywykł, mieszkając na Górze Zamkowej. Tam polowanie było rozrywką, zabawą -

tu, zaciskając zęby, po prostu parli przed siebie. Powoli nabierał przekonania, że królewskie święte polowanie potrwa kilka dni, być może nawet dłużej. Nie była to bynajmniej wesoła perspektywa.

Pod wieczór jednak jakieś nieostrożne zwierzę wypadło spomiędzy dwóch pionowych różowych skał wprost w sam środek grupy myśliwych. Pokryte zmierzwionym futrem, chude, wielkogłowe, zaledwie przeciętnych rozmiarów, miało nieprzyjemne, zakrzywione pazury i wielki pysk, z którego ciekła piana; na oko był to jakiś padlinożerca. Jeden z królewskich sług zamierzył się pałką, jakby chciał je opędzić niczym dokuczliwego owada, lecz Toikella wydał z siebie głęboki, chrapliwy wrzask i szybko zrobił krok w przód. Złapał pałkę w locie, wyrwał ją z ręki sługi i odepchnął go, wyciągnął swój przytroczony sznurkiem do pasa miecz i wbił go w brzuch przerażonego stworzenia.

Ranne zwierzę stanęło na zadnich łapach, i zakrzywionymi pazurami próbowało dosięgnąć króla. Toikella łatwo odepchnął łapę, pchnął po raz drugi i trzeci, aż wreszcie bestia wydała z siebie ciche westchnienie i upadła na bok. Z ran tryskała zielonoczerwona krew.

Król i Mankhelmem chwilę rozmawiali na uboczu. Ze skrzynki z insygniami władzy kapłan błyskawicznie wydobył flaszkę z czarnej skóry i wypełnił ją krwią ofiary. Wręczył ją królowi, a następnie począł obdzierać ze skóry wydające ostatnie tchnienie, wierzgające zwierzę.

- Co się dzieje? - spytał Korinaama Harpirias, najciszej jak tylko potrafił.

- Nie jestem pewien. Ale z pewnością jest to swego rodzaju rytualna rzeź.

- Czy król nie miał podczas tej wyprawy polować na hajbaraki?

- Być może zdecydował, że to coś mu wystarczy.

Najwyraźniej tak właśnie było. Mankheim skończył obdzierać ze skóry zwierzę, które wreszcie przestało wierzgać i znieruchomiało. Z wprawą kogoś, kto od wielu lat

przygotowywał ofiary, ciął mięso na sztuki, szynkę kładąc tu, serce obok, inne ważniejsze organy gdzie indziej, najwyraźniej w porządku uświęconym tradycją. Harpirias nie potrafił powstrzymać podziwu dla szybkości, z jaką szlachtował królewską zdobycz. Kiedy skończył, powstał, zarzucił na ramiona władcy surową, ociekającą krwią skórę jego ofiary, i przewiązał ją rzemieniem biegnącym wokół szyi Toikelli. Głowa zwierzęcia, nadal przytwierdzona do skóry, zwisała królowi na plecach, wpatrując się w niebo nieruchomymi, szklanymi oczami.

To, co nastąpiło potem, zszokowało nawet kogoś tak przyzwyczajonego do rozlewu krwi i polowań jak Harpirias. Toikella wznosił czarną flaszkę ku niebu, ofiarowując jej zawartość czterem stronom świata, opróżnił ją kilkoma haustami, po czym ukląkł i zjadł czerwone parujące serce. Coś, co najprawdopodobniej było wątrobą, ofiarował Mankhelmowi; kapłan odgryzł kawałek, resztę zaś położył na płaskim kamieniu, zapewne wybranym na ołtarz. To, co pozostało ze ścierwa, władca podzielił między swych ludzi... krwawy kawałek trafił się także i Harpiriasowi.

Harpirias tępo wpatrywał się w mięso.

- Weź je książę - szepnął Korinaam. -1 zjedz!

- Przecież jest surowe!

Metamorfb obrzucił go płomiennym spojrzeniem.

- Zaproszono cię, panie, do wzięcia udziału w jednym z najświętszych rytuałów tego ludu... być może nawet najświętszym! To wielki zaszczyt. Weź je! Zjedz!

Harpirias ponuro skinął głową.

No, Tembidacie, pomyślał, to cię będzie drogo kosztowało!

Mięso było twarde, żylaste. Miało smak padliny. Jakimś cudem Harpiriasowi udało się je przełknąć, choć niemal z wymiotował. Toikella obserwował go z wyraźnym zainteresowaniem, a kiedy poseł spełnił swój obowiązek, radośnie klepnął go w plecy.

Sługom Harpiriasa oszczędzono zaszczytu brania udziału w świętej ofierze. Nie sprawiali wrażenia urażonych.

Potem przyszła kolej na śpiewy oraz uroczyste spalenie nie dojedzonego mięsa. To, co z niego zostało, rzucono w najbliższą skalną szczelinę. Król powiedział kilka słów do swych ludzi, a ci natychmiast rozpoczęli pakowanie myśliwskiego wyposażenia.

- Czy to wszystko? - zdumiał się Harpirias. - Czy to koniec polowania?

- Tak zarządził król - odparł Metamorf. - Toikella nie ma już zamiaru ścigać hajbaraka.

Święto letniego polowania właśnie dobiegło końca.

- Niepokoją go te istoty? Te tańczące na skałach? To dlatego zakończył polowanie?

- Bardzo możliwe.

- Kim oni byli, Korinaamie? Kim oni byli?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparł Korinaam zdławionym głosem. Pytanie to wydawało się sprawiać mu fizyczny ból. - Och, wygląda na to, że jesteśmy już gotowi do drogi.

Schodzimy do wioski.

- Teraz? Przecież jest już prawie ciemno?

- Nic nie szkodzi, zdaje mi się, że zaraz ruszamy.

Co do tego nie mogło być najmniejszych wątpliwości. Toikella, nadal odziany w świeżo zdjętą skórę, wyprzedził resztę grupy; oddalał się w kierunku prowadzącej do wioski drogi.

Harpirias nie miał wyboru, poszedł więc ze wszystkimi, choć rzeczywiście zapadał zmrok, a nocne zejście zalodzoną i kamienistą ścieżką wydawało mu się wielce niebezpieczne. Czy w ogóle dotrą na miejsce przed zmrokiem? Czy może będą się błąkać po skalistym płaskowyzu, nie wiedząc nawet, czy idą we właściwym kierunku?

Przyspieszył kroku, by zrównać się z maszerującymi szybko Othinorczykami.

Szli w milczeniu; nie wymienili między sobą ani jednego słowa. Król był ponury, toteż

jego poddani obchodzili go szerokim łukiem. Polowanie z pewnością nie zakończyło się zgodnie z oczekiwaniami, chociaż Toikella chyba postanowił uznać je za sukces.

Samo zejście w świetle jednego księżyca okazało się powolne i męczące. Ścieżki praktycznie nie było widać; Toikella odnalazł ją i wybrał wśród wielu fałszywych zejść, posługując się najwyraźniej jedynie instynktem. W środku nocy zerwał się lodowaty wiatr, wiał im w plecy od szczytu ściany. Harpirias miał nieodparte wrażenie, że jego podmuchy są wystarczająco silne, by zdmuchnąć wędrowców ze ścieżki wprost na skały - ich ciała spadłyby wówczas na placyk niczym zmasakrowane cielska hajbaraków. Zadrżał, zgarbił się i począł iść z przesadną ostrożnością, macając grunt stopami.

Zeszli ze ściany o świcie. Zmordowany nocną wędrówką Harpirias wrócił do swojej kwatery i natychmiast zagrzebał się w futrach. Zasypiając, zastanawiał się, cóż to były za stworzenia tam, na górze, tak wyraźnie kpiące sobie z władcy Othinoru. Z pewnością to one zabiły święte królewskie hajbaraki i zepchnęły je ze skał do wioski. Działo się coś bardzo dziwnego... ale co?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie znał sposobu na odkrycie tajemnic ukrywanych przez gospodarzy.

Harpirias nie przestał drzeć, nawet przykryty futrami. Przez lodowe ściany słabo słyszał głosy budzącej się do życia wioski, jednak ani hałasy, ani mróz nie niepokoiły go długo. Był śmiertelnie zmęczony. Podciągnął kolana pod brodę, zamknął oczy i w ciągu kilku minut zapadł w głęboki sen, przypominający spadanie w studnię.

Natychmiast po powrocie z polowania Harpirias stanowczo postanowił opanować othinorski. Za wiele działo się w wiosce rzeczy, które nadal pozostawały dla niego niezrozumiałe, a jedyny tłumacz wyprawy okazał się niegodny zaufania. Musi nauczyć się samodzielnie rozmawiać z tubylcami... jeśli tylko poznanie tajników ich języka leży w zasięgu jego możliwości.

Nigdy jeszcze nie stanął przed tego rodzaju problemem. Majipoorski rozpowszechniony był na całej planecie, z wyjątkiem tego górskiego państewka, księżęta Góry nie musieli więc marnować czasu na naukę, powiedzmy, Vroońskiego, skandarskiego, liimeńskiego czy innego języka mniejszości rasowych.

Ivla Yevikenik robiła wszystko, by mu pomóc. Dla niej było to coś w rodzaju zabawy, kolejna rozrywka wypełniająca czas, którego nie spędzali zagrzebani w futrach. Podczas lekcji śmiała się jak dziecko; Harpirias szybko zdał sobie sprawę, że choć miała ciało kobiety, w rzeczywistości była zaledwie dziewczynką - i to dziewczynką wyjątkowo nieskomplikowaną. Być może zresztą traktowała go jako lalkę naturalnej wielkości, wspaniałą zabawką, prezent od ojca, a naukę języka wyłącznie jako jeszcze jedną formę zabawy z lalką.

Początkowo postępy Harpiriasa nie były imponujące. Wprawdzie pewnych podstawowych pojęć Ivla nauczyła go szybko, na przykład nie sprawiło mu najmniejszych trudności opanowanie słówek, których znaczenie można było pokazać, takich jak “ręka”, “usta”, “oko”, okazała się jednak bezradna, gdy doszło do spraw nieco bardziej skomplikowanych, choć w końcu i z tym sobie poradzili. Nagle, równie zdumiony co szczęśliwy, Harpirias odkrył, że bez większych trudności uczy się podstawowych zasad jej języka.

Gramatyka pozostała dla niego całkowitą tajemnicą, a wymowę nadal miał tak fatalną,

że słysząc go, dziewczyna nie potrafiła powstrzymać się od radosnego śmiechu, słownictwo opanował jednak wystarczająco, by w krótkim czasie móc się z nią porozumieć za pomocą mieszaniny zniekształconych słów i gestów z dodatkiem skomplikowanej pantomimy.

Znów opowiedział jej o Majipoorze, o wspaniałości i pięknie tej wielkiej planety. Miał wrażenie, że Ivla rozumiała teraz znacznie więcej niż poprzednio. Kiedy opisywał jej świat za granicą gór, zapominała oddychać, a gdy mówił o Górze Zamkowej i jej Pięćdziesięciu Miastach, o Morpin Wysokim z jego lustrzanymi zjazdami i polami siłowymi, o Halanx i jego wielkich posiadłościach ziemskich, o Normork otoczonym murem ze wspaniałymi Wrotami Dekkereta i o wznoszącym się nad nimi starym zamku Lorda Ambinole'a o tysiącach komnat, otaczającym Górę swymi mackami jak jakaś gigantyczna ośmiornica, oczy miała rozszerzone ze zdumienia i być może niedowierzania. Opisał jej również ogromny Zimr, rzekę wielkości oceanu, wraz ze znajdującymi się przy niej miastami Belka, Clarischanz, Gourkaine, Semirod, Impemond, Haunford Większe i tak dalej, oraz miejsce, gdzie Zimr łączył się ze Steiche, tworząc gigantyczne śródlądowe morze, nad którym rozłożyła się Ni-moya o białych wieżach. Wypowiadając nazwy i opisując miasta - nawet te, w których nigdy nie był, nawet Ni-moya, którego przecież nie cierpiał - Harpirias czuł ukłucie tęsknoty. Wszystko to przecież należało do Majipooru, obojętne, czy znanego mu, czy nie znanego, a tu, w tych surowych, mroźnych górach czuł się od Majipooru beznadziejnie odcięty, choć przecież faktycznie na nim przebywał.

Snuł długie opowieści, a kiedy już zaczęli się lepiej rozumieć, spytał o postaci, które widzieli wśród skał otaczających Othinor, o przyczynę, z której powodu kpiły z mieszkańców wioski, i o to, dlaczego jej ojciec zareagował gniewnie na ich obecność.

- Kim są? - próbował się dowiedzieć. - Wiesz?

- To diabły. Dzicy ludzie. Mieszkają na brzegu Zamarzniętego Morza.

A więc na najbardziej na północ wysuniętym krańcu wyżyny Khyntor, niemal na biegunie Majipooru, na krawędzi świata, na krańcu niczego. Tam gdzie - według przewidywań geografów - sam ocean zmieniał się w lód, a klimat uniemożliwiał przeżycie.

- Kim oni są, Ivlo? Czy wyglądają jak my? -Nie.

- W takim razie jak?

Dziewczyna szukała właściwych słów, nie znalazła ich jednak, więc zaczęła chodzić po kwaterze - dziwnie, bokiem, garbiąc się, z ramionami zwieszonymi, jakby nie miała siły ich unieść. Harpirias nie od razu zorientował się, że naśladuje Korinaama: jego fizyczną kruchość i sposób chodzenia. Wskazał palcem na lodową ścianę i znajdujący się za nią pokój - ten, w którym mieszkał Metamorf.

- To Zmiennokształtni, prawda? - spytał i sam zaczął naśladować swego tłumacza.

- Tak! Tak! Zmiennokształtni! - Ivla uśmiechnęła się, klasnęła w dłonie zachwycona tym, że udało się jej coś mu wytłumaczyć.

Zmiennokształtni! Oczywiście! Podejrzewał, że to Zmiennokształtni, i okazało się, że miał rację, lecz... może sam włożył jej w usta to określenie? Może Ivla mówi mu to, co - jak się jej wydaje - pragnął usłyszeć?

Być może, Harpirias miał jednak wrażenie, że mimo wszystko otrzymał właściwą odpowiedź. W końcu stworzenia, które widział na górze, przypominały ludzi, kiedy tańczyły, uciekały jednak na czworaka w sposób, którego człowiek nie potrafiłby naśladować. Wyjaśnić to potrafił wyłącznie w jeden sposób: zmieniały postać.

No i Korinaam... tak niechętnie udzielający odpowiedzi na pytania o intruzów;

Korinaam musiał przecież rozpoznać w nich odległych krewnych swej rasy, jakiś dzikich Metamorfów północy. Nie chciał jednak podzielić się tą wiedzą ze zwierzchnikiem, niewątpliwie z jakichś własnych, egoistycznych powodów.

Co dzicy Zmiennoszałtni robią na brzegach Zamarzniętego Morza?

Harpirias wiedział oczywiście o tym, że dawno temu, przed pojawieniem się na Majipoorze pierwszych ludzkich osadników, Piurivarzy mieli planetę dla siebie i mieszkali, gdzie im się podobało. Ich stolicą było Velalisier, położone nieco na południe od centrum Alhanroelu; metropolia, której potężne ruiny przetrwały do dnia dzisiejszego. Po drugiej stronie Morza Wewnętrzznego, w lasach Zimroelu, a nawet na pustynnym Suyraelu istniały i inne ich miasta, po których nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Po co jednak mieliby zapuszczać się na najdalszą północ? Ich obyczaje i kultura raczej wskazywały na to, że wolą raczej ciepły klimat.

Harpirias raz jeszcze przypomniał sobie mit stworzenia, który Korinaam opowiedział mu podczas wędrówki z Ni-moya - mit o wielkiej bestii zamieszkującej północ samotnie, jedynej mieszkance świata, i o tym, jak stworzyła Piurivarów, rzeźbiąc ich w lodzie jęzorem. Należało z niego wnosić, że Piurivarzy uważali daleką północ za swą ziemię ojczystą, z której rozpoczęli migrację na cały Majipoor.

Czyżby więc dzikusy te były jedyną pozostałością pierwotnych Metamorfów, przemierzających straszny i niehumaniczny kraj będący ich pradawną ojczyzną?

Prawdopodobnie nie, pomyślał Harpirias. Prawdopodobnie mit o ojczystej północy jest wyłącznie mitem, a napotkani Zmiennoszałtni to potomkowie tych, którzy zbiegli na najdalszą północ, szukając ucieczki przed ludźmi podbijającymi Majipoor. Zbiegli tu i pozostali na zawsze, zapomniani nawet przez swych krewniaków, ukrywając się w górach przez długie stulecia.

- Powiedz mi coś jeszcze - powiedział do dziewczyny, zdradź mi wszystko, co o nich wiesz.

Ivla niewiele miała jednak do dodania. Powoli, wyczerpując cały posiadany zapas

cierpliwości, wydobył z niej w końcu to, o co mu chodziło.

- Są Eililyal - powiedziała. Najpierw sądził, że tak nazywa się ich w języku Othinoru, a potem przypomniał sobie, że coś podobnego wykrzykiwał w gniewie Toikella - Korinaam przetłumaczył wówczas to słowo jako "wrogowie". Być może miało po prostu dwa znaczenia - określało także znenawidzoną rasę Zmiennokształtnych - czego tłumacz nie był po prostu świadomy.

Dalej dziewczyna opowiadała, że Eililyal od czasu do czasu opuszczają swój jałowy, wrogi kraj, by dokuczać Othinorczykom, kradnąc im przygotowane na zimę zapasy oraz ukryte w zagrodach zwierzęta domowe. Dawno, dawno temu między ich plemionami toczyła się wojna; nawet teraz Othinorczycy z przyzwyczajenia zabijali bez dyskusji każdego napotkanego przedstawiciela tego narodu.

A więc... wrogowie powrócili. To oni - tłumaczyła Ivla - zabili święte hajbaraki i zrzucili do wioski, nikt nie wie dlaczego. Być może oznacza to początek nowej wojny plemiennej? Król bardzo się tym zmartwił, a jego niepokój zwiększyło jeszcze pojawienie się oddziału Metamorfów podczas królewskiego polowania - zły, bardzo zły znak. To dlatego Toikella zakończył polowanie, gdy tylko udało mu się zabić jakiegokolwiek zwierzę. Harpirias nie dowiedział się niczego więcej, ale przynajmniej miał już jakiś obraz sytuacji. Był wdzięczny dziewczynie nawet za to - i wyraził jej tę wdzięczność najlepiej, jak potrafił, Ivla zaś najwyraźniej zrozumiała go doskonale i sama była mu bardzo wdzięczna. Dopiero teraz Harpirias zaczął sobie uświadamiać, jak bardzo polubił córkę króla, dopiero teraz zdał sobie także sprawę z tego, że dziękuje losowi, który ich do siebie zbliżył. Ivla była nie tylko namiętną, chętną kochanką, lecz także przyjaciółką o dobrym sercu, samotnym ciepłym ognikiem w mroźnym, ponurym świecie.

Zimny wiatr wył na placyku wioski. Harpirias zadrżał. Kolejna śliczna letnia noc

Othinoru. Czule przeciągnął palcem po policzku Ivii, zatrzymując go na moment na ostrym, przebijającym górną wargę kawałku kości. Dziewczyna westchnęła i mocno się do niego przytuliła. Pocałowała koniuszki jego palców, ugryzła go w brodę, ze zdumiewającą siłą unieruchomiła mu oba nadgarstki.

Harpirias wyobraził sobie, jak opowiada Koronalowi: “Panie, być może zabrzmiało to dziwnie, lecz dyplomatyczna konieczność zmusiła mnie do wzięcia sobie za kochankę córkę króla Toikelli. Ta barbarzyńska księżniczka była młoda i piękna, okazała się namiętą, pozbawioną zahamowań kochanką, doskonale znającą egzotyczne praktyki miłosne swego ludu...”

Och, oczywiście - Koronal z pewnością zakochałby się w tym fragmencie opowieści.

Do załatwienia pozostała tylko jedna drobna sprawa - musiał się stąd jakoś wydostać i wrócić na Górę Zamkową.

Rankiem, kiedy owinięta w futra Ivla opuściła jego kwaterę, Harpirias ruszył na poszukiwanie Korinaama. Pragnął zadać mu kilka pytań dotyczących spotkanych wysoko w górach Metamorfów. Nie udało mu się jednak odnaleźć tłumacza ani w jego kwaterze, ani w wiosce.

- Kiedy widziałeś go po raz ostatni? - spytał Eskenazo Marabauda.

- Wczoraj wieczorem, mniej więcej wtedy, kiedy dostarczono nam jedzenie - odparł dowódca Skandarów.

- Powiedział ci coś?

- Nie, w ogóle nie rozmawialiśmy. Przyglądał mi się przez chwilę tymi swoimi martwymi oczami, jak oni wszyscy - rozumiesz, książę, co mam na myśli? - a potem poszedł do swojego pokoju.

Ghayrog Mizguun Troytz, nie potrzebujący snu, gdyż nie był to okres hibernacji, dostarczył lepszych informacji. Nad ranem Troytz opuścił kwaterę i poszedł do ślizgaczy, pragnąc naoliwić ich wirniki, żeby zabezpieczyć je przed mrozem, a także by dokonać rutynowego przeglądu. Tuż przed świtem, powracając do wioski, widział Zmiennokształtnego, który samotnie szedł placykiem, kierując się w stronę przejścia między skalną ścianą a królewskim pałacem. Powodowany zwykłą ciekawością obserwował go przez chwilę. Korinaam skręcił za róg pałacu i zniknął w cieniu. Troytz uznał, że postępowanie Metamorfa to nie jego interes, i wrócił do kwatery.

Później nikt już Korinaama nie widział.

Co znajdowało się za pałacem Toikelli?

To jasne, ścieżka prowadząca na górę, na tereny myśliwskie władcy!

Oczywiście! Oczywiście! Harpirias bez problemu domyślił się, co się stało. Korinaam

miał zamiar nawiązać kontakt ze swymi nowo odkrytymi braćmi, prześladowającymi

Othinorczyków!

Rzecz jasna było to irytujące, a także zaskakujące i niebezpieczne. Choć upłynęło już wiele dni, negocjacje w sprawie zakładników nawet się jeszcze nie zaczęły, ponieważ król był na razie zbyt zajęty pojawieniem się wrogów na swoim terytorium, by rozmawiać z posłem na jakikolwiek temat. A teraz jeszcze przewodnik i tłumacz w jednej osobie wybrał się na prywatną wycieczkę w wysokie góry, nie uznając za stosowne poinformować o niej zwierzchnika, ani powiedzieć "do widzenia"! Jak długo go nie będzie? Trzy dni? Pięć? Co się stanie, jeśli nigdy nie powróci, jeśli zginie na trudnym szlaku lub z rąk swych okrutnych współplemieńców?

A jeśli Korinaam nie wróci, jak w ogóle uda się wypracować traktat z Toikellą, jak uda się uwolnić zakładników? Jak dokonać tego bez tłumacza? Była także ważniejsza sprawa - jak bez pomocy przewodnika powrócić na łono cywilizacji?

Harpirias aż trząśł się z wściekłości. Nie mógł jednak przedsięwziąć żadnych konkretnych kroków - pozostawało mu tylko czekać.

Minęły trzy dni, podczas których Harpirias coraz bardziej niecierpliwił się i wściekał.

Pociechę znajdował wyłącznie w ramionach Ivii i w ciemnym gorzkim piwie Othinorczyków.

Kochać się potrafił jednak tylko do pewnego momentu, wypić mógł konkretną ilość piwa;

potem nie było już dla niego żadnej ucieczki. Z towarzyszy wyprawy niewiele miał pożytku;

byli to zwyczajni żołnierze - a w dodatku Ghayrogowie i Skandarzy, nie stanowiący

odpowiedniej kompanii dla księcia Góry.

Harpirias był po prostu samotny.

Łaził więc po wiosce, ciesząc się wszystkim, co odrywało go od ponurych myśli. Nikt

go nie zatrzymywał, mógł chodzić, gdzie mu się podobało... z jednym wyjątkiem - nie

dopuszczano go do uwięzionych w jaskini zakładników. Pewnego ranka, kiedy dostrzegł tragarzy niosących żywność na górę, próbował do nich dołączyć i został stanowczo zawrócony; poza tym jednym razem nikt jednak nie krępował mu swobody ruchów. Bez przeszkód obejrzał kamienny ołtarz stojący w centrum placyku - na jego powierzchni znalazł niezrozumiałe piktogramy poplamione zaschniętą krwią starych ofiar. Zajrzał w głąb mrocznych, pachnących stechlizną jaskiń, w których przechowywano żywność - korzenie, ziarno, jagody - uzbieraną przez mieszkańców tej nieprzyjaznej ziemi przed nadchodzącą, przerażającą zimą. Zajrzał do niskiej, kopulastej lodowej chaty, której wcześniej nie zauważył, i znalazł w niej kilkadziesiąt małych, szczerzących zęby zwierząt skrzepowanych rzemienną uprzężą. W innej, podobnej, trafił na siedem, a może nawet osiem tłustych, brzuchatych żon z haremu Toikelli, leżących nago na grubych stosach futra i palących długie, cienkie kościane fajki. Powietrze było tam duszne, zgniłe, przepelnione smrodem potu, jakiegoś straszego pachnidła i dymem tego, co paliły. Kobiety zachichotały i gestami zaczęły zapraszać go do środka; Harpirias właściwie przed nimi uciekł.

Wewnątrz kolejnej chaty stały jedna na drugiej prymitywne drewniane skrzynie pachnące kadzidłem i kurzem. Po podniesieniu wieka pierwszej z brzegu okazało się, że w środku umieszczono wyschnięte ludzkie czaszki - stare, pożółkłe, zaczynające się kruszyć.

Zapytał o nie Ivlę.

- To bardzo święte miejsce - wyjaśniła. - Nie wolno ci tam wrócić.

Czyje to były czaszki? Poprzednich władców? Martwych kapłanów? Pokonanych wrogów? Harpirias uświadomił sobie, że prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie. Lecz... jakie właściwie to miało znaczenie? Nie przybył tu przecież, by prowadzić badania antropologiczne ludu Othinoru, lecz po to, by wyrwać z niewoli garstkę pechowych paleontologów, czego być może nie uda mu się już dokonać, gdyż w trzecim dniu nieobecności

Korinaama znów spadł śnieg. Harpirias był niemal całkiem pewien, że Zmiennokształtny zginął gdzieś wysoko w górach, że śnieg przysypał jego nieruchome ciało, które najprawdopodobniej nigdy nie zostanie znalezione.

Całkiem możliwe, rozmyślał, że dożyję mych dni w tej żalosalnej lodowej wiosce na krańcu świata, na diecie z przypieczonych korzeni i pół surowych kawałków mięsa. A może czaszki w skrzyni to resztki dostojnych posłów, którzy przybyli tu kiedyś w najlepszej wierze... i może jego czaszka znajdzie się kiedyś wśród nich?

Godziny strasznie się wlokły. Czuł się w wiosce jak więzień, jak ci biedni naukowcy w jaskini. Nocą, spoczywając w ramionach Ivii, modlił się o dodający odwagi sen; gdyby tylko błogosławiona Pani Wyspy, której duch przemierzał nocą świat, niosąc ulgę i pociechę potrzebującym, pocieszyła przesłaniem i jego, ulżyła duszy.

Lecz Harpirias nie doznał pocieszenia. Bardzo możliwe, że lodowe królestwo Othinoru leżało nawet poza zasięgiem błogosławionej Pani.

Czwartego dnia po zniknięciu Korinaama Harpirias drzemał wieczorem, samotny w swej kwaterze, kiedy dotarła do niego wiadomość, że tłumacz powrócił.

- Natychmiast go do mnie przyprowadź - rozkazał Eskenazo Marabautowi.

Wycieczka w wysokie góry najwyraźniej osłabiła Korinaama. Metamorf sprawiał wrażenie zmordowanego, ubranie miał brudne i podarte, cienkie usta zaciskał mocno, a podpuchnięte powieki zasłaniały oczy, tak że te stały się niemal niewidoczne. Wyglądał na zdenerwowanego, był spięty, jakby zamierzał zmienić kształt i uciec. Przez moment Harpirias widział go oczami wyobraźni zmieniającego się błyskawicznie w długą, wijącą wstęgę i wyslizgującego się z pokoju, podczas gdy on bezradnie próbuje go złapać.

- Czy mam zostać? - spytał Skandar. Być może im obu pojawił się w myślach podobny obraz.

Harpirias skinął głową.

- Gdzie byłeś? - spytał chłodno. Korinaam nie odpowiedział od razu.

- Przeprowadzałem niewielki rekonesans - wykrztusił w końcu.

- Nie przypominam sobie, bym wydawał ci taki rozkaz. Gdzie przeprowadzałeś ten swój... niewielki rekonesans?

- Tu, i tam.

- A dokładniej?

- To prywatna sprawa. - W głosie Metamorf a brzmiało wyzwanie.

- Jestem tego w pełni świadomy - oświadczył spokojnie Harpirias. - Mam jednak zamiar poznać szczegóły. - Gestem zwrócił na siebie uwagę Marabauda. - Przytrzymaj go, dobrze? Mocno. Nie chcę, by znikł mi z oczu.

Stojący za Korinaamem Skandar objął jego pierś ramionami. Metamorf sprawiał

wrażenie zdumionego. Oczy otworzył szerzej, niż kiedykolwiek Harpiriasowi zdarzyło się widzieć; przyglądał mu się z nieukrywaną nienawiścią.

- A teraz - powiedział chłodno Harpirias - powiedz mi, gdzie byłeś.

Zmiennokształtny milczał przez chwilę, a potem rzekł niechętnie:

- W otaczających wioskę górach.

- Tak. Tak też sądziłem. A dlaczego się tam udałeś?

Tłumacz sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł dostać ataku furii.

- Książę, domagam się, byś natychmiast rozkazał temu Skandarowi mnie puścić! Nie masz prawa...

- Mam prawo - przerwał mu Harpirias. Przybyłeś tu w służbie Koronała, po czym postanowiłeś zrobić sobie prywatną wycieczkę akurat wtedy, gdy byłeś mi potrzebny.

Domagam się wyjaśnień. Pytam raz jeszcze: czego szukałeś w górach?

- Nie będę dyskutował o mych prywatnych sprawach!

- Tu i teraz nie masz żadnych prywatnych spraw. Wykręć mu rękę, Eskenazo. Odrobinę.

- To zbrodnia! - wrzasnął Korinaam. - Jestem wolnym obywatelem. ..

- Tak. Oczywiście. Jesteś wolnym obywatelem, nikt temu nie zaprzecza. Jeszcze trochę,

dobrze, Eskenazo? Póki nie krzyknie. Lub póki nie udzieli mi odpowiedzi, której nadal

cierpliwie oczekuję. Nie martw się, niczego mu nie złamiesz. Nie sposób złamać ręki

Metamorfowi. Ich kości są elastyczne jak guma. Mimo to możesz mu zadać ból. To nic złego

zadać ból komuś, kto odmawia współpracy. No tak, doskonale. Czego szukałeś w górach,

Korinaamie?

Cisza. Harpirias spojrzał na Skandara, a następnie uczynił dłońmi gest, jakby coś skręcał.

- Szukałem tych istot, które podczas polowania widzieliśmy na grani.

- Ach! Wcale mnie to nie dziwi. Dlaczego ich szukałeś? Cisza.

- Mocniej - rozkazał Skandarowi Harpirias.

- Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że jestem torturowany? To barbarzyństwo. Nie... niewyobrażalne barbarzyństwo!

- Szczerze pragnę przeprosić cię za ten nieszczęśliwy incydent. A swoją drogą ciekaw jestem, czy kość pęknie, jeśli wykręcimy ci rękę wystarczająco mocno. Myślę, że nie pragniesz się o tym przekonać, Korinaamie, prawda? Więc... kim były te... istoty... na grani?

- Tego właśnie chciałem się dowiedzieć.

- Nie. Przed wyprawą wiedziałeś już, kim są, prawda, Korinaamie? Powiedz mi.

Powiedz mi, kim są!

- To Piurivarzy - przyznał cicho tłumacz, patrząc w podłogę.

- Ach, tak? Kuzyni?

- Mniej więcej. Dalecy kuzyni. Bardzo dalecy. Harpirias skinął głową.

- Dziękuję - powiedział. - Możesz go puścić - zwrócił się do Skandara. - Mam wrażenie, że nabrał ochoty do współpracy. Zaczekaj na zewnątrz, dobrze?

Skandar wyszedł posłusznie.

- Doskonale. Opowiedz mi teraz o tych swoich dalekich kuzynach.

Korinaam upierał się jednak, że wie o nich bardzo niewiele, a Harpirias był niemal pewien, że tym razem mówi prawdę. Według Metamorfa wśród jego ludu istnieje legenda głosząca, że jedno z plemion osiedliło się na dalekiej północy w czasach Lorda Stiamota, przed wieloma tysiącami lat. Zgodnie z wcześniejszymi domysłami Harpiriasa uciekło ono przed rzezią, którą sprawił tubylcom Majipooru ten władca.

Podczas gdy ocalałych z wojny Zmiennokształtnych wywieziono z Alhanroelu i

Suvraelu do rezerwatów w dżunglach Zimroelu - mówiła legenda - ci Piurivarzy cieszyli się

wolnością i niezależnością, zgodnie z tradycją swej rasy wędrowali z miejsca na miejsce po górzystej, mroźnej krainie ukrytej za dziewięcioma górami wyżyny Khyntor. Mieszkańcy Majipooru zapomnieli o tym plemienu tak jak o Othinorze, być może zresztą także i ci Piurivarzy, po latach, zapomnieli o istnieniu świata za granicami gór. Między nimi i innymi Metamorfami nie zaistniały nigdy żadne związki - nawet w czasach Lorda Valentine'a, kiedy Metamorfowie wszczęli wielkie powstanie przeciw ludziom. Samo ich istnienie stało się przedmiotem spekulacji i mitów.

Od czasu do czasu Zmiennokształtni, mieszkający w Ni-moya lub innych miastach znajdujących się na granicy wyżyny i zawodowo zajmujący się prowadzeniem myśliwych bądź badaczy zapuszczających się na północ, donosili o tajemniczych istotach żyjących w dzikich zakątkach gór. Trudno było jednak z nimi nawiązać kontakt. Przewodnicy zawsze widzieli coś z daleka, niewyraźnie i tylko przez krótką chwilę - nie mieli nawet pewności, że to istoty ich rasy. Teraz wszystko się zmieniło.

- To oni, bez żadnych wątpliwości, książę - mówił Korinaam. - Mam świetny wzrok.

Tego dnia, w górach, dostrzegłem nawet, jak zmieniają kształty!

- Postanowiłeś więc złożyć im wizytę, nie prosząc nawet o pozwolenie opuszczenia obozu. Dlaczego?

- Są mej krwi, książę. Niemal przez dziewięć tysięcy lat żyli w tych górach, ani razu nie kontaktując się ze światem, z nami. Chciałem z nimi porozmawiać.

- I co zamierzałeś powiedzieć?

- Że skończyły się prześladowania, że my, Piurivarzy, otrzymaliśmy na Majipoorze pełnię praw obywatelskich, że mogą przestać się już ukrywać wśród śniegu i lodów. Czy tak trudno ci to zrozumieć, książę?

- Mogłeś mnie przynajmniej zawiadomić o swych zamiarach. Mogłeś poprosić o

pozwolenie na tę wyprawę.

- Nigdy bym go nie uzyskał.

Harpiriasa zaskoczyło to twierdzenie. Poczerwieniał.

- A skąd ta pewność? - spytał.

- Stąd - odparł spokojnie tłumacz - że jestem Piurivarem, że sprawa ta dotyczy

wyłącznie Piurivarów, a więc dla ciebie nie ma najmniejszego znaczenia, książę.

Powiedziałbyś mi, że nie mogę opuścić wioski, ponieważ potrzebujesz tłumacza. Po-

wiedziałbyś, że mogę przecież wrócić tu w przyszłości, sam, i wtedy poszukać krewniaków.

Czyżbym się mylił, książę?

Harpirias nie miał ochoty spojrzeć Korinaamowi w oczy. Milczał, nie odpowiadał.

- Być może nie mylisz się - przyznał w końcu - lecz jeśli nawet, mogłeś przynajmniej zostawić wiadomość, dokąd się udajesz. Co by się z nami stało, gdybyś zginął w górach?

- Nie miałem najmniejszego zamiaru ginąć.

- Wspinaczka jest trudna, a teren nieprzyjazny. Podczas twej nieobecności przeszła burza śnieżna, wprowadzie niewielka, ale co by się stało, gdyby przyszła śnieżycą podobna do tej, którą przeżyliśmy podczas pokonywania przełęczy Dwóch Sióstr? Nie jesteś nieśmiertelny, Korinaamie.

- Umiem zadbać o siebie. Jak widzisz, wróciłem bez problemu, choć być może w nie najlepszym stanie.

- Owszem. Wróciłeś.

Metamorf pominął tę uwagę milczeniem. Patrzył na Harpiriasa, nie kryjąc wrogości.

Sytuacja stawała się coraz bardziej niewygodna. Jakimś cudem Korinaamowi udało się zyskać przewagę w rozmowie, choć Harpirias nie bardzo zdawał sobie sprawę, kiedy do tego doszło.

Czuł się także straszliwie zażenowany tym, że by wydobyć z przewodnika zeznania, uciekł się

do przemocy.

Po długiej, niezręcznej chwili milczenia spytał:

- No i co? Udało ci się porozmawiać z tymi zaginionymi przed wiekami krewnymi?

- Właściwie nie.

- To znaczy?

- Mówiłem do nich. Nie rozmawiałem z nimi.

- Oczywiście. Mówiłeś do nich. Nie rozmawiałaś z nimi. Czyli nie rozumieli języka, którym się posługujesz.

- W zasadzie tak. - Korinaam był wyraźnie spięty, a także rozgniewany. - Czy musimy dalej omawiać tę sprawę, książę?

- Tak. Musimy. Chcę znać wszystkie szczegóły kontaktów z tym plemieniem.

- Przecież wszystko już wyjaśniłem! Szukałem ich przez dwa dni i w końcu znalazłem obóz, od którego oddzielała mnie głęboka szczelina. Nie mogłem się do nich zbliżyć, ale próbowałem nawiązać kontakt z miejsca, w którym stałem. Najwyraźniej nie rozumieli ani słowa z tego, co mówiłem; po pewnym czasie zrezygnowałem więc i postanowiłem wrócić do wioski.

- Czy to wszystko?

- Tak, to wszystko.

- Widzę, jak rozmazują się zarysy twego ciała, Korinaamie.

Zdajesz sobie sprawę, że nie potrafisz utrzymać swej naturalnej formy? Podejrzewam, że kłamiesz.

- Znalazłem ich i nie potrafiłem się z nimi skomunikować - powiedział Metamorf cichym, chrapliwym głosem. - Więc wróciłem. To wszystko.

- Nie przypuszczam - powiedział Harpirias. - Co jeszcze się zdarzyło?

- Nic. Nic! - Ciało Metamorfa uległo błyskawicznej zmianie, był to widomy dowód

napięcia. Ukrywał coś, co zdarzyło się podczas spotkania z plemieniem krewniaków i głęboko nim wstrząsnęło. Harpirias w to nie wątpił.

- Czy mam zaprosić Skandara, by jeszcze trochę poćwiczył wykręcanie ci rąk?

Korinaam obrzucił go morderczym spojrzeniem.

- Tak. Zdarzyło się coś jeszcze. -No?

- Rzucali we mnie kamieniami. - Głos Metamorfa był ledwie słyszalny.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to szczególnie zdumiało.

- Wyjaśniłem im, kim jestem. Kiedy zorientowałem się, że nie rozumieją słów, dokonałem kilku zmian, by pokazać, że jestem jednym z nich. A oni obrzucili mnie...

kamieniami.

- Tylko tyle? Obrzucili cię kamieniami?

Kształt ciała Korinaama zamazał się znacznie wyraźniej.

- Powiedz mi wszystko. Muszę przecież wiedzieć, z jakiego rodzaju stworzeniami mamy do czynienia.

Metamorf zadrżał.

- Opluli mnie! - wyrzucił z siebie i mówił dalej, jakby już nie potrafił przestać. - I

rzucali... rzucali we mnie odchodami. Zbierali je dłońmi, ciskali nimi przez szczelinę. Przez cały czas tańczyli i wrzeszczeli jak oszaleli. Jak jakieś diabły. - Ściągnięta twarz Metamorfa

wyglądała po prostu strasznie. - Byli obrzydliwi. Stoją niżej od dzikusów. Są... są zwierzętami.

- Rozumiem.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Czy mogę odejść, książę?

- Za chwilę. Wyjaśnij mi jeszcze jedno: czy masz zamiar znów się z nimi skontaktować?

- Możesz być pewny, że nie mam takiego zamiaru!

- Dlaczego?

- Czyżbyś był durniem, książę? Czy nie rozumiesz zwykłych, prostych słów? To, czego doświadczyłem w górach, było wręcz nieopisanie obrzydliwe. Sam ich widok... tarzających się w odchodach jak zwierzęta... te przeraźliwe wrzaski... a przecież w ich żyłach płynie krew Piurivarów... ja... oni... my...

- Doskonale cię rozumiem, Korinaamie - powiedział cicho Harpirias. - A jednak... gdybym poprosił cię, byś odwiedził ich po raz drugi, czy posłuchałbyś?

Przez dłuższą chwilę Metamorf milczał.

- Gdybyś mi rozkazał, tak.

- Rozkaz? Wyłącznie rozkaz?

- Nie mam najmniejszej ochoty na kolejne spotkanie z tymi zwierzętami. Jestem jednak świadom, że przybyłem tu w służbie Koronała, którego ty, panie, reprezentujesz, i że nie wolno mi odmówić wykonania bezpośredniego rozkazu. Tego możesz być pewien, książę. - Metamorf uklonił się nisko, w przesadnym geście poddania. - Wolałbym, by już nigdy nie wyłamywano mi rąk.

- Żałuję, iż zaszła taka konieczność, Korinaamie.

- Jestem pewien, że żałujesz, panie. Musiało być to wyjątkowo przykre doświadczenie zarówno dla ciebie, jak i dla Skandara. Szczególnie dla Skandara.

- Powiedziałem, że żałuję. Na Boginię, Korinaamie, czy mam paść na kolana i błagać o przebaczenie? Unikałeś wypełnienia moich poleceń. Nie słuchałeś rozkazów. Musiałem wiedzieć, gdzie byłeś... i po co. - Harpirias niecierpliwie machnął ręką. - Dostyc tego. Odejdź. W przyszłości bez mojego osobistego pozwolenia nie wolno ci oddalić się od wioski nawet na krok. Czy to jasne?

- A dokąd miałbym pójść? - Zmiennokształtny pogładził obolałe ramię.

Kiedy wyszedł, Harpirias wezwał do środka Eskenazo Ma-rabauda i rozkazał mu śledzenie ruchów Korinaama.

- Jest tu dziewczyna - powiedział Skandar. - Ta, która przychodzi co noc.

Czyżby w jego głosie brzmiało potępienie? W głosie Skandara?

- Niech wejdzie - rozkazał Harpirias.

W środku nocy z głębokiego, przyjemnego snu obudziły Harpiriasa stłumione łomoty, głośnie krzyki, a potem przeciągły, przeraźliwy wrzask. Po chwili, być może bardzo długiej, zorientował się, że nie śni. Budząc się z trudem, usłyszał kolejny wrzask... i kolejny. Dopiero teraz rozpoznał głos Korinaama wołającego o pomoc.

Niezgrabnie wygrzebywał się ze stosu futer. Ivla, nadal śpiąc, wczepiła się w niego - próbowała go zatrzymać, ale jakoś udało mu się wyrwać z jej objęć. Pospiesznie narzucił ubranie i wybiegł na korytarz. Lodowaty podmuch uderzył w niego z niemałą siłą; drzwi na dwór stały otworem. Zajrzał do pokoju Korinaama. Pusto, choć wyraźnie widać było ślady walki. Wrzaski Metamorfa nadal rozlegały się na dworze, słyszał w nich panikę i gniew. Harpirias pobiegł.

Przed budynkiem, w którym mieszkali, rozgrywała się przedziwna scena. Dwaj potężni wojownicy ciągnęli wijącego się, wrzeszczącego, walczącego i kapiącego Korinaama ku kamiennemu ołtarzowi, przed którym w złowrogim kręgu stali król To-ikella, wielki kapłan i kilku plemiennych dostojników. Król, od stóp do głów owinięty ciasno w futra czarnych haigusów, opierał dłonie na rękojeści gigantycznego, wbitego w lód miecza.

Na placu było także ośmiu, może dziesięciu Skandarów. Najprawdopodobniej ich także zaalarmowały ryki tłumacza; szli teraz za ciągnącymi go wojownikami, nie bardzo wiedząc, co robić. Trzymali gotowe do strzału miotacze, nie śmieli jednak użyć broni bez wyraźnego rozkazu dowódcy.

Harpirias podbiegł do nich. Spytał Eskenazo Marabauda, co się właściwie dzieje.

- Chcą go zabić, księżę.

- Co? Dlaczego?

Skandar tylko wzruszył ramionami.

Rzeczywiście, wlokący Korinaama wojownicy dotarli już do ołtarza i cisnęli nań ciało tłumacza. Metamorfa leżał na kamieniu z rozłożonymi rękami i nogami, zmieniając postać najwyraźniej bez wzoru, lecz za to z niepokojącą szybkością; to wyglądał jak przedziwna bestia, to dokładnie, przerażająco wręcz dokładnie jak człowiek, to powracał do swej naturalnej formy, ale niesamowicie zniekształconej, niemal nierozpoznawalnej. Kilku klęczących obok Othinorczyków przez cały czas mocno go jednak trzymało i choć raptowne zmiany bez wątpienia wyprowadzały ich z równowagi, dzielnie nie rozluźniali uścisku. Dwóch z nich wiązało linami ręce i nogi Korinaama do wbitych naokoło ołtarza kołków.

Harpirias zaklął i popędził przed siebie. Kiedy znajdował się kilkanaście kroków od ołtarza, król, w czarnym futrze, sprawiający wrażenie ogromnego i ponurego, podniósł dłoń, wzywając go do zatrzymania, po czym uroczyście wskazał najpierw miecz, potem Korinaama, a wreszcie nie pozostawiającym żadnych wątpliwości gestem poinformował o zamiarze przeprowadzenia egzekucji.

- Nie! - krzyknął Harpirias. - Zabraniam! - Zaczął tupać, gestykulując gwałtownie.

Toikella z pewnością nie zrozumiał jego słów, ale z tonu głosu i gestów bez problemu domyślił się, że poseł zdecydowanie sprzeciwia się temu, co się tu działo.

Król jednak tylko zmarszczył brwi, potrząsnął głową, wyciągnął tkwiący w lodzie miecz i powoli uniósł go nad głowę. Harpirias zareagował na to jeszcze gwałtowniejszymi gestami oraz rozpaczliwym bełkotem, miał nadzieję, że w zrozumiałym othinorskim. Jak mógł najszybciej, wyrzucał z siebie na pół zapomniane zdania, których nauczył się od lvii; mówił wszystko, co udało mu się zapamiętać, niezależnie od tego, czy miało to sens, czy nie. Żywił rozpaczliwą nadzieję, że te kilka othinorskich słów choćby na chwilę powstrzyma egzekucję.

Rzeczywiście, udało się. Zdziwiony władca warknął coś krótko, powstrzymał opadający już miecz i na powrót wbił go w grunt, a następnie pochylił się i oparł na rękojeści.

Nie spuszczał z pośła zdumionego wzroku, w którym wyraźnie dawało się odczytać, że uważa go za szaleńca.

Harpirias podszedł do ołtarza - tym razem Toikella nawet nie drgnął - i nadal oszołomionemu jego wymową królowi pokazał na migi, że krępujące Metamorfa więzy należy natychmiast usunąć. Król nic nie odrzekł; stał tylko nieruchomo, oparty na mieczu i gapił się przed siebie. Kątem oka Harpirias dostrzegł wojowników uzbrojonych w miecze i włócznie, cicho zbliżających się do ołtarza.

Lecz teraz i Skandarzy zaczęli gromadzić się przy swym dowódcy, który gestem nakazał im zbliżyć się jeszcze bardziej.

- Ustawcie się za mną w półkolu - rozkazał. - Przygotujcie i odbezpieczcie miotacze.

Uważajcie jednak, by nawet przypadkiem nie skierować ich na króla. I niezależnie od tego, co się jeszcze zdarzy, wolno wam strzelać wyłącznie na mój rozkaz.

Spojrzał na rozciągniętego na ołtarzu, trzęsącego się Metamorfa.

- Na miłość Bogini, co tu się właściwie dzieje?

Usta Korinaama drgnęły, nie wyszło z nich jednak nawet jedno zrozumiałe słowo.

Tłumacz oczy miał szkliste, nieprzytomne.

- Mów! Mów!

Z wielkim wysiłkiem Korinaam powiedział drżącym głosem:

- Myślą... szpiegowałem... wróg...

- Wróg. Chodzi ci o tych Zmiennokształtnych z gór. Nazywają ich tu tak samo jak każdego wroga. Eililylal.

Usłyszawszy zrozumiałe słowo, Toikella chrząknął, wyraźnie zdumiony.

- Mów dalej! - rozkazał przewodnikowi Harpirias. - Król uważa, że podczas swojej wyprawy zdradziłeś go współplemięńcom, tak?

Korinaam słabo poruszył głową.

- I ma zamiar złożyć cię bogom w ofierze, tu, na tym ołtarzu?

Kolejny, słaby ruch głowy.

- Powinienem mu na to pozwolić!

- Panie, przecież wiesz, że nie jestem szpiegiem. - Korinaam bał się tak, że ledwie mówił. - Książę, błagam. Błagam. Powiedz mu, że nie jestem szpiegiem.

- Ja mam mu to powiedzieć?

- Bo... boję się. - Śmiertelnie przerażony Zmiennokształtny mówił ledwie słyszalnym szeptem.

- Boisz się tak, że nie potrafisz nawet błagać o życie?

- Proszę... nie... - Metamorf już tylko drżał.

Harpirias westchnął. Nie widział żadnego wyjścia z sytuacji. Korinaam oszalał ze strachu, król zaś wyraźnie tracił cierpliwość. Za chwilę ponownie uniesie miecz.

- Koronal! - krzyknął ile sił w płucach, gestykulując dostojnie. - Ko-ro-nal! -Toikella zmarszczył czoło. - Koronal! - powtórzył po raz trzeci, tym razem tonem rozkazu. Wskazał na niebo. - Lord Ambinole. Koronal Majipooru.

Szukał słów, lecz w gorączce chwili cały jego othinorski wyleciał mu z pamięci.

Znacznie łatwiej było rozmawiać z Ivlą w cztery oczy. Harpirias zapomniał nie tylko gramatykę, lecz także z połowę wyuczonych słówek. A jednak musiał coś powiedzieć. Pamiętał othinorskie słowo oznaczające "Wasza Wysokość" i od niego zaczął. Helmithak. Król zareagował na nie, więc wskazał teraz na Zmiennokształtnego i gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie wolno go zabić - powiedział powoli po majipoorsku.

- Koronal mówi "nie zabijać". Nie... wolno... zabić. Sługa Koro-nala.

Toikella sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale nie wyrwał tkwiącego w lodzie miecza.

- Koronal - powtórzył Harpirias, wymawiając to jedno słowo powoli, wyraźnie, z naciskiem, niczym potężne zaklęcie.

- Koronal Majipooru. Helmithak. - Udał, że rozcina więzy Metamorfa i unosi go z ołtarza. Toikella nadal się na niego gapił, a oczy robiły mu się coraz większe i większe. Zacharczał dziwnie.

Jest chyba pewien, że oszalałem, pomyślał Harpirias. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że król nie gapi się na niego, lecz za niego. Czyżby wojownicy zgromadzili się po cichu i zamierzali zaatakować? Czy może Skandarzy wykonali jakiś podejrzany ruch?

Harpirias zaryzykował i zerknął przez ramię.

Ivla Vevikenik! Dziewczyna zjawiała się na dworze, ubrana wyłącznie w niedbale zszyte futra. Na jej twarzy malowały się strach i niepewność. Była jedyną kobietą stojącą przy ołtarzu, najwyraźniej nie powinna się tam znajdować - o czym świadczył wyraźnie wyraz zdumienia i ledwie powstrzymywanej wściekłości w spojrzeniu jej ojca. Kiedy popatrzyła na Harpiriasa, w jej oczach błysło gwałtowne uczucie.

Zorientowała się, że jestem w kłopotach, i postanowiła mi pomóc, pomyślał Harpirias.

Zaryzykowała, bardzo poważnie zaryzykowała. O to chodzi. Z pewnością o to chodzi.

Złapał Ivlę za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Objął ją mocno, tak by wydawało się, że wspólnie występują przeciw królowi. Z wdzięcznością przyjął ciepło jej ciała, ogrzewające go w tę mroźną noc.

Powoli, ostrożnie, posługując się, jak najlepiej potrafił, swym kulawym, niemal niezrozumiałym othinorskim i korzystając z pomocy gestów, wyjaśnił dziewczynie, że rzeczywiście ma problem i że Korinaama nie wolno poświęcić na ołtarzu.

Czy zrozumiała? Jak straszne było to, że nie może porozumieć się z tymi ludźmi! W każdym razie coś jednak do niej dotarło. Przez dłuższą chwilę przemawiała do ojca, który

krzywił się wprawdzie i powarkiwał wściekle, lecz słuchał jej przecież i nie przerywał. Kiedy skończyła, odpowiedział w kilku krótkich słowach, co sprowokowało Ivlę do kolejnej przemowy, na którą tym razem odpowiedział dłużej, po czym gestem wezwał do siebie jednego z wojowników. Rozcięto więzy krępujące Korinaama.

Następnie, powoli i pracowicie, Ivla wytłumaczyła Harpiriasowi to, czego sam zdołał się już domyślić. Othinorczycy zwrócili uwagę na zniknięcie Metamorfa w górach i doszli do wniosku, że chciał on w jakiś sposób zaszkodzić wiosce, sprzymierzyć się z dzikimi Metamorfami. Jako przyjaciel Eililylal w przekonaniu Othinorczyków zasłużył na śmierć; jego życie postanowiono jednak złożyć w darze wielkiemu Lordowi Koronalowi Majipooru - oznajmiła dziewczyna. Jeśli Korinaam jeszcze choć raz spróbuje skontaktować się ze swymi kuzynami, zginie mimo wszystko.

- Nie - powiedział Harpirias. - On nie jest agentem Eililylal. Jest wrogiem Eililylal.

Powiedz to królowi.

Ivla spojrzała na niego, niewiele rozumiejąc. Harpirias powtórzył swe oświadczenie powoli, uzupełniając je gestami. Król i jego córka znów przez dłuższy czas cicho porozumiewali się, lecz szybko wypowiedzianych słów poseł po prostu nie rozumiał; w każdym razie oboje wielokrotnie powtarzali "Eililylal". W pewnym momencie król chwycił za rękojeść miecza i potrząsnął nim gwałtownie.

- Sam chętnie poderznąłbym ci gardło - oznajmił Korinaamowi Harpirias. - Tylko popatrz, do czego udało ci się doprowadzić. Powiedz mi, o czym rozmawiają. Mają zamiar cię zabić czy nie?

Metamorf, który zdołał się tymczasem podnieść, opanował jednak najwyraźniej paniczne przerażenie, choć nadal drżał.

- Król pozwoli mi żyć - powiedział niewyraźnie, z wahaniem - mam jednak natychmiast

opuścić wioskę.

- Co? Co? Na Boginię...

- Ty, panie, możesz zostać. Traktat nadal ma być negocjowany.

- Bez tłumacza? A kiedy wszystko się skończy, kto doprowadzi nas do Ni-moya? Nie, nie, nie, Korinaamie - nie zgodzimy się na wygnanie cię z wioski! - Harpirias wpadł nagle na pewien pomysł. Puścił Ivlę Vevikenik i mocno złapał Metamorfa, ścisnął w garści kłęb futra przy jego szyi. - Pójdziemy w góry, znajdziemy tych Eililylal! Rozkażesz im, żeby wynieśli się z okolicy. Dasz im do zrozumienia, że nie są tu mile widziani, dasz im to do zrozumienia dobitnie, jeśli zaistnieje taka konieczność, nawet korzystając z tej waszej czarnej magii! Korinaam zamarł, przerażony bardziej niż przed chwilą.

- O co tu chodzi? Magia? Ja nie jestem żadnym czarownikiem, książę! Służę jako przewodnik i tłumacz tym, którzy chcą obejrzeć sobie północ Zimroelu. Jeśli rzeczywiście potrzebujesz czarownika, znajdź sobie jakiegoś małego Vroona. A jeśli chodzi o rozkazywanie im - jak niby miałbym tego dokonać?

- To twoje zmartwienie. - Harpirias odepchnął tłumacza, po czym zwrócił się do dziewczyny.

- Powiedz swojemu ojcu - poprosił - że oferujemy mu pomoc w pozbyciu się Eililylal.

Rozumiesz? Eililylal - precz. Pomożemy. Korinaam. Ja. Moi żołnierze. Uroczyście przysięgamy. Ale potrzebujemy pomocy Korinaama. Bardzo potrzebujemy! Powiedz mu to.

Dziewczyna uśmiechnęła się, obróciła w stronę ojca i zaczęła mówić.

- Książę, co ty im obiecujesz!?! - Na twarzy Korinaama widać było zarówno gniew, jak... i rozpacz.

- Zaraz dowiesz się dokładnie, co im obiecuję. Jeśli pozostała ci choć odrobina zdrowego rozsądku, to przetłumaczysz mój plan królowi. Otóż masz teraz stanąć przed nim na

zadnich łapach i wytłumaczyć, że jesteś potężnym czarownikiem, że poświęcisz dla niego całą swą energię i umiejętności, że pomożesz mu wygnać z gór dzikich Metamorfów, którymi pogardzasz i których nienawidzisz. Czy to jasne? Powiesz mu, że armia Koronala Majipooru, prowadzona przeze mnie osobiście, uda się rankiem w góry, i przeprowadzi demonstrację siły, by wyrzucić na Eililylal maksymalne wrażenie, do którego przyczynisz się swymi zaklęciami; w zamian za to, gdy wrogowie zostaną już przepędzeni, król zwolni zakładników, wyniesiemy się z wioski i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie. Powiedz mu to wszystko, Korinaamie.

- Panie... jeśli chodzi o rzucanie czarów...

- Powiedz mu to, co kazałem - rzekł groźnie Harpirias. - Co do słowa. Ivla będzie cię słuchać, a następnie zda mi sprawozdanie z wierności twojego przekładu. Jeśli spróbujesz mnie oszukać, nic cię nie uratuje. Powiadomię króla, że zgadzam się, by na ołtarzu poderżnął ci gardło. Powiem mu, że osobiście pomogę cię wiązać. Czy mnie rozumiesz, Korinaamie?

Rozumiesz?

- Tak, książę. Rozumiem.

- Doskonale. Zaczynaj więc wypełniać swe obowiązki. No, mów!

Łatwiej było oczywiście obiecać królowi znalezienie Eililylal, niż dotrzymać przyrzeczenia. Przez trzy dni łazili po górach tam i z powrotem, podczas gdy zimny północny wiatr przenikał ich na wskroś, a lekki śnieg padał od czasu do czasu, przypominając Harpiriasowi, że krótka wiosna Othinoru ma się już ku końcowi.

Coraz częściej jego plan wydawał mu się równie głupi co niewykonalny. W góry wyruszyła prawdziwa armia: oprócz Korinaama, Harpiriasa oraz wszystkich towarzyszących mu Skandarów i Ghayrogów, także król Toikella, wielki kapłan Mankhelm oraz trzydziestu, czterdziestu wojowników. Jak na ten niemal nie zamieszkaną zakątek świata, były to siły zaiste imponujące. Na widok tak licznej armii, wspinającej się po skalnej ścianie ścieżką prowadzącą z wioski w góry, Metamorflowie z pewnością rozsądnie wezmą nogi za pas, wynosząc się na swą najdalszą północ, by zawitać do Othinoru dopiero po wielu latach, gdy zapomną o niebezpieczeństwie.

Harpirias uważał jednak, że temu jakże prawdopodobnemu rozwiązaniu przeciwstawić może dwa argumenty. Po pierwsze -nie zapomniał o zabiciu królewskich hajbaraków. Uważał, że ów akt świętokradztwa, połączony ze zrzuceniem ciał zwierząt do wioski, był tylko uwerturą do jakiegoś znacznie poważniejszego wrogiego wystąpienia, a ponieważ do czegoś takiego dotąd nie doszło, istniało duże prawdopodobieństwo, że banda Piurivarów nadal jest w okolicy.

Brał także pod uwagę ich niczym nie zmaconą nienawiść, wyrażającą się zarówno w zabójstwie hajbaraków i zrzuceniu ich do wioski, jak i w tańcach i kpinach, jakimi powitali Toikellę, gdy chciał bliżej się im przyjrzeć podczas polowania - by nie wspomnieć już o przywitaniu, które zgotowali Korinaamowi. Obecność w górach większego oddziału składającego się z Othinorczyków i wielkich, groźnie wyglądających Skandarów mogła ich

skłonić do jeszcze efektywniejszego manifestowania swej nienawiści.

I tak się rzeczywiście stało.

Piurivarzy pojawili się w chwili, gdy Harpirias całkowicie zważył już w możliwość ich odnalezienia, a Toikella zaczął przypatrywać się Korinaamowi, jakby oceniał grubość jego szyi, co wyglądało dość złowieszczo. Pierwszy dostrzegł ich Mankheim. Chudy kapłan zszedł ze ścieżki, by na skalnym grzbiecie spadającym do niewielkiego wąwozu odprawić jakieś poranne misteria. Nagle ruszył ku nim pędem; w jednej ręce niedbale trzymał święte wstążki i woreczki z proszkami, drugą wymachiwał szaleńczo, krzycząc przy tym na cały głos:

“Eililylal! Eililylal!”

Piurivarzy znajdowali się na szczycie przeciwległej ściany wąwozu. Banda liczyła sobie około pięćdziesięciu chudych, obdartych stworzeń, stojących na kamieniach i spokojnie obserwujących armię Othinoru.

Obie strony dzieliła niewielka odległość; wydawało się, że gdyby przeciwnicy wyciągnęli ręce, mogliby się dotknąć. Teraz, kiedy Eililylal pojawili się w pełnym blasku porannego słońca, nie było najmniejszej wątpliwości, że w istocie są Metamorfami; mieli jakże charakterystyczne dla swej rasy smukłe, kanciaste ciała, twarze niemal pozbawione rysów i bladozieloną skórę. Tu, w pobliżu kanionu, rozłożyli się obozem, o czym świadczyło kilka prostych namiotów z niedbale wyprawionych zwierzęcych skór. Wokół leżały narzędzia oraz coś, co sprawiało wrażenie prymitywnej broni: włócznie, łuki i strzały, być może także dmuchawki. To dzikusy, jak Othinorczycy, pomyślał Harpirias. Brutalne, prymitywne stworzenia żyjące nieludzko na nieludzkiej ziemi.

Piurivarzy mieli ze sobą dwa hajbaraki; wielkie włochate czworonogi leżały na boku z nogami związanymi tuż powyżej kopyt, smutno gapiąc się w niebo. Prawdopodobnie przygotowywali się do zamordowania królewskich stworzeń, by jeszcze bardziej rozwścieczyć

Toikellę, kiedy Makhelm natknął się na nich przypadkiem.

Harpirias spojrział na Korinaama.

- Powiedz królowi - rozkazał - by połowę swych żołnierzy skierował na prawo, a połowę na lewo. Bez problemu powinni przekroczyć kanion i dostać się na przeciwległe zbocze. Niech zatrzymają się po obu bokach obozowiska i czekają na dalsze rozkazy.

Podczas kiedy Korinaam tłumaczył, Harpirias rozkazał swym żołnierzom ustawić się w szeregu wzdłuż zbocza, na którym stali, z miotaczami przygotowanymi do strzału.

- A teraz - zwrócił się do Metamorfa - podejdź jak najbliżej krawędzi i zawołaj swych prymitywnych przyjaciół. We własnym języku powiedz im, że mają natychmiast opuścić tereny Othinoru lub narażą się na zemstę wszystkich bogów Piurivarów.

- Nie rozumiem ani słowa.

- Najprawdopodobniej masz rację, mimo to powiedz im. Powiedz, że bogowie w swej nieprzeniknionej mądrości oddali te ziemie Niezmiennym czy jak tam nas nazywacie i że Piurivarzy mają się stąd wynosić. Natychmiast.

- Właściwie nie mamy bogów w sensie, który wy nadajecie temu...

- Macie jednak coś, co nazywacie bóstwem? Tak? No więc wezwij je!

Korinaam westchnął.

- Jak sobie życzysz, książę.

- Na wypadek gdybyś jeszcze tego nie zauważył, pragnę cię poinformować, że

Eskenazo Marabaud płynnie włada twym językiem. - Prawdopodobnie nie władał, Harpirias nie przypuszczał jednak, by w zaistniałej sytuacji Metamorf pofatygował się sprawdzić umiejętności Skandara. - Poinformuje mnie natychmiast, gdybyś zamiast tego, co masz zrobić, próbował zdrady - a wtedy własnoręcznie zepchnę cię ze skały. Zrozumiałeś?

- Jakiej zdrady mógłbym się tu dopuścić? - spytał Korinaam lodowatym tonem. -

Przecież tłumaczyłem, że stworzenia te nie rozumieją żadnego cywilizowanego języka.

- Owszem, tłumaczyłeś, ale skąd mam wiedzieć, że to prawda?

Oczy Metamorfa zapłonęły gniewem.

- Jestem tu, by wykonać rozkazy, książę, i je wykonam. Możesz być tego pewien.

- Doskonale. Dziękuję. Kiedy więc skończysz już wyjaśniać krewnym wolę waszych piurivarskich bogów, zaczniesz rzucać czary. Wymyślisz je sobie, wiem, że jesteś w tym dobry.

Wykrzykuj każde szaleństwo, jakie tylko przyjdzie ci do głowy. Użyj odpowiednio groźnego i niesamowitego głosu. Chcę, żebyś podczas rzucania tych czarów wrzeszczał, wył i tańczył - dokładnie tak jak oni, kiedy widzieliśmy ich poprzednio, tylko pięć razy głośniej i pięć razy groźniej.

Korinaam aż westchnął ze zdumienia.

- Ależ książę z pewnością sobie ze mnie żartujesz!

- Postąpiłbyś mądrzej, gdybyś potraktował me słowa poważnie.

- Prosisz mnie o bardzo wiele. Przecież to zajęcie dla błazna, książę! Bierzesz mnie za błazna? Może z Dulorneńskiego Cyrku Nieustającego?

- Przecież nie trzeba być zawodowym błaznem, by wrzeszczeć i wyć, Korinaamie. Po prostu się postaraj, daj z siebie wszystko, drzyj się i tańcz, jak najlepiej potrafisz. Rozumiesz? Chcę, żebyś ich wystraszył. Więcej, chcę, żebyś wystraszył samego siebie! Zachowuj się tak, jakbyś występował na ulicy Ni-moya, marząc tylko o tym, by cię zamknęli. Rozumiesz? Nie czas teraz na ćwiczenie wstrzemięźliwości. W to przedstawienie masz włożyć serce, czy też co tam u was pełni rolę serca.

- To poniżające, książę. To, o co mnie prosisz, nie zgadza się z moim charakterem, temperamentem, całą mą istotą!

- Twój sprzeciw został przyjęty do wiadomości - stwierdził spokojnie Harpirias. -

Przypominam, że jeśli odmówisz współpracy, w wiosce czeka na ciebie ołtarz.

Korinaam spojrzał na niego ostro, ale nic nie powiedział.

- Podczas rzucania czarów - ciągnął Harpirias - będziesz także dokonywał bardzo dramatycznych zmian.

- Zmian?

- Tak, zmian. Przekształceń struktury cielesnej. Przejść od jednego kształtu do drugiego. Mam wrażenie, że zdolności te są typowe dla Piurivarów. Nie myłę się, prawda? Będziesz się zmieniał. We wszystko, w co potrafisz. Być może nawet w więcej niż wszystko. Im bardziej nieoczekiwany kształt przybierzesz, tym lepiej - jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Chcę, żebyś zmienił się w sześć przerażających potworów. Chcę, żebyś wyglądał demonicznie i przerażająco. Chcę, byś udowodnił tym swym ubogim krewnym, że jesteś panem magii, mistrzem czarnoksiężników, żebyś pokazał im, że jeśli cię nie posłuchają, spadną na nich wszystkie moce ciemności. Masz się im ukazać w formie bardziej przerażającej niż najbardziej przerażające coś, co kiedykolwiek żyło na tej planecie. Masz wyglądać jak wcielenie szatana. Jak coś z najgorszego koszmaru.

W oczach tłumacza błyszczała furia.

- To, czego ode mnie wymagasz, książę...

- ...masz wykonać bez dyskusji.

- Powtarzam - nie jestem błaznem, aktorem ani dzikusiem. Jeśli stanę tak przed wszystkimi, jeśli będę skrzeczeć i wyc jak idiota, a przede wszystkim przeprowadzać zmiany przy wszystkich... nie tylko przy nich, lecz także przed twoimi ludźmi... i królem Othinoru... zostanę skompromitowany na zawsze!

- Zaczynaj, Korinaamie. Marnujemy czas.

- Książę, proszę... błagam...

- Ołtarz, Korinaamie. Pamiętaj o ołtarzu. Zaczynaj. No, już! Wykonywanie

obowiązków nie kompromituje. Jesteś gwiazdą dzisiejszego przedstawienia. Zagraj dla nas.

Zagraj tak, jak nie grałeś jeszcze nigdy w życiu! Twierdziłeś, że te istoty są niczym dzikie zwierzęta. Odpowiedz więc im dzikością, ale bądź od nich dzikszy. Zachowaj się jak najgorszy z dzikusów. Zagraj tak, jakby od tego zależało twoje życie. Bo zależy, zdajesz sobie sprawę?

Korinaam nie odpowiedział, obrzucił tylko Harpiriasa wzrokiem pełnym nienawiści tak gorącej, że mogłaby stopić lodowiec. Harpirias odpowiedział mu słodkim spojrzeniem, po czym delikatnie popchnął Metamorfa w stronę wąwozu. Wystająca w przepaść skała, na której stanął Zmiennokształtny, tworzyła wręcz naturalną scenę. Kiedy patrząc na nich płomiennym wzrokiem, Korinaam zajmował miejsce, Eililyal aż gotowali się z ciekawości.

Korinaam milczał przez chwilę, oddychając głęboko, wpatrywał się w ziemię. Potem podniósł głowę i rozłożył ręce jak najszerzej. Kilkakrotnie zamknął i otworzył dłonie, po czym zaczął nucić coś cicho - głosem, który zaledwie słyhać było po tej stronie kanionu.

- Głośniej, Korinaamie - upomniał go Harpirias. - Energiczniej! I może zacząłbyś się wreszcie zmieniać?

- Książę, przecież to śmieszne!

- Ołtarz, Korinaamie! Pamiętaj o ołtarzu!

Metamorf tylko skinął głową. Ponownie wyciągnął ręce. Jego ciało nagle zafalowało, zadrgało, ramiona zmieniły się w długie sękate macki, wijące się - na pozór niezależnie od siebie - powolnymi, skomplikowanymi węzowymi ruchami. W grupie Eililyal nastąpiło poruszenie, wymieniano zafascynowane spojrzenia.

- Doskonale - pochwalił Harpirias. - A teraz zakłęcie.

- Oczywiście. Jeszcze chwilę, dobrze?

Ciało Korinaama nadal zmieniało kształty. Ramiona rozszerzyły się, następnie

gwałtownie zbiegły, skórę pokryły zmarszczki, nagle pojawiły się na niej kolce, nogi przekształciły się we włochate koła; ramiona z macek znów stały się kończynami, pałkami, włóczniami, haczykowatymi harpunami...

- Dekkeret! - krzyknął nagle Metamorf. - Tyeveras, Kinniken, Malibor, Thraym!

Harpirias uśmiechnął się. A więc jego przewodnik miał jednak jakieś pojęcie o historii ludzkości. Śpiewnie wykrzykiwał imiona dawnych Koronałów i Pontifexów, jakby rzeczywiście rzucał czary.

- Doskonale - powiedział cicho. - Oby tak dalej. Szybciej! Głośniej!

Korinaam chyba już nie potrzebował zachęty. Najwyraźniej przestał się wahać, pożegnał się ze wstydem i naprawdę zabrał do roboty. Przyjmował kształty tak groteskowe, że Harpirias zaledwie wierzył własnym oczom. Raz był nieprawdopodobnie wręcz wielki, to znów kurczył się jak rozciągnięta i natychmiast puszczone gumka. W pewnej chwili wyrosła mu setka różowych wypustek drgających błyskawicznie, groteskowo, mających na końcach niebieskie oczy. Wypływały z niego przenikające się pętle plazmy... a przez cały czas nie przestawał wykrzykiwać imion pradawnych monarchów, czasami ciszej, czasami szeptem, to znów wyśpiewywał je niesamowicie wysokim głosem, prześlizgującym się przez konwencjonalną skalę toniczną z łatwością, która każdego muzyka doprowadziłaby do łez.

- Voriax! Valentine! Segilot! Guadeloom, Struin, Arioc! Grivvis! Histfoin! Prankipin, Hunzimar, Spurifon, Scaul! - Nagle, w sposób doprawdy przerażający, Korinaam wysyczał jeszcze: "Stiamot. Stiamot. Stiamot!" Imieniu pogromcy jego rasy towarzyszyła seria gwałtownych przemian, Metamorf miotał się na wysuniętej skale tak konwulsyjnie, że przez moment Harpirias był pewien, iż runie w przepaść.

Na tym najwyraźniej skończył mu się zapas imion. Wijąc się w szaleńczym tańcu, przeszedł więc do nazw geograficznych.

- Bimbak, Dundilmir, Furible, Chi! DuroIn! Ni-moya! Falkynkip! Divone! Ilirivoyne, Kiridane, Mazadone, Nissimorn! Numenor! Pidruid! Piliplok! Gren!

Doprawdy wspaniałe to było widowisko. Nawet samego Harpiriasa wyprowadziły nieco z równowagi rytmiczne wrzaski Korinaama i nie kończące się na pozór przemiany; niemal wierzył, że padają tu groźne, straszliwe zaklęcia, że jego przewodnik i tłumacz włada autentyczną magią Piurivarów, że unosi się ona i drży w zimnym, rzadkim górskim powietrzu. Jeśli zaś chodzi o prymitywnych mieszkańców gór, to stali nieruchomo, jakby rzeczywiście zostali zaczarowani. Może sądzili, że ich kuzyn beznadziejnie zwariował, a może traktowali to przedstawienie serio? Kto wie? W każdym razie siedzieli nieruchomo i patrzyli... patrzyli... patrzyli.

Harpirias zdawał sobie jednak sprawę, że wkrótce musi nastąpić koniec. Nie narodził się przecież Metamorf, który w nieskończoność wytrzymałby takie tempo zmian, a Korinaam, zupełnie niezależnie od siły jego smukłego, delikatnego ciała, z pewnością nie zdoła już długo biegać, skakać i tańczyć, i wkrótce padnie ze zmęczenia. Nadszedł czas na rozpoczęcie następnej fazy operacji.

Skinął na żołnierzy, nakazując im, by przygotowali się do otwarcia ognia. Skandarzy odbezpieczyli miotacze.

- Kończ już - rozkazał Korinaamowi. - Kończ. Ale daj z siebie wszystko. Wszystko, rozumiesz.

- Danipiur! - wrzasnął Korinaam. - Pontifex! Koronal! Toikella! Majipoor!

Rozdał się, rozpląnął, przez jego ciało przeszło całe spektrum barw, wiele gwałtownych przemian upodabniało go do zwierząt bądź kamieni i drzew, przybierał proste formy geometryczne, zmieniał się w chaotyczną plątaninę wijących się macek i zamykających się z trzaskiem szponów, by wreszcie znieruchomieć w postaci samego króla Toikelli. Toikelli o

wiele większego jednak niż w rzeczywistości, Toikelli tytanicznego, Toikelli ogromnego niczym góra, wysokiego na cztery metry, identycznego z oryginałem w najdrobniejszych detalach... oprócz rozmiarów. Był to doprawdy zdumiewający widok i nawet rzeczywisty Toikella, stojący z boku, nieruchomy, obserwujący spokojnie ten niezwykle spektakl, obrócił się teraz, wytrzeszczył oczy i chrząknął ze zdumienia. Przez moment Harpirias widział w jego wzroku strach.

- Ognia! - krzyknął.

Rzadkie, mroźne powietrze rozdarł huk trzech wystrzałów, potem kolejnych trzech i jeszcze następnych. Nad przepaścią przemknęły cienkie pasma fioletowego ognia, godzące wysoko, w pokryte śniegiem zbocze nad półką, na której stało plemię Eililylal. W dół poleciały kawały żółtobrązowej skały wielkości smoków morskich, toczyły się po zboczu z ogłuszającym hukiem. Spadając, rozbijały się szalenie widowiskowo; w głąb kanionu runęła lawina kamieni wielkości dużej pięści. Eililylal jak jeden mąż jęknęli głucho z przerażenia.

- Mierzcie nieco niżej - rozkazał Harpirias i powtórzył: - Ognia!

Poprzez kanion przemknęła druga salwa; pasma fioletowego światła uderzyły w skałę tuż pod śladami pozostawionymi przez poprzednie strzały, wycinając z niej wielkie bloki kamienia. W głąb kanionu runęła kolejna lawina. Harpirias pod nogami odczuł wibrację przypominającą trzęsienie ziemi. Wydało mu się, że drży całe pasmo gigantycznych gór; wrażenie było takie, jakby rozpadał się świat.

- Doskonale. Wstrzymać ogień.

Huk spadających skał cichł stopniowo. Przez chwilę słychać było jeszcze szelest zsuwających się skalnych okruchów, głuchy stuk, kiedy rozbijały się o dno wąwozu, po czym zapadła cisza, głęboka i przerażająca niczym w dniu stworzenia świata. W czystym powietrzu, w promieniach słońca unosiły się obłoki kurzu. Eililylal stali na swej skalnej półce zdumieni, w

bezruchu - strach zmienił ich w posągi.

W tej strasznej chwili całkowitej ciszy Harpirias obrócił się i powiedział do Korinaama:

- Chcę teraz, byś powiedział królowi, że powinien... - i naraz zorientował się, że nie ma po co kończyć zdania. Wyczerpany nieprawdopodobnym wysiłkiem, całkowicie pozbawiony sił Metamorf - wreszcie w swym właściwym kształcie - po prostu padł na ziemię. Siedział z ramionami przyciśniętymi do zapadniętej piersi i drżał ze śmiertelnego, jak się wydawało, wyczerpania. Nie było żadnych wątpliwości, że jeszcze przez jakiś czas nie będzie z niego pożytku.

Harpirias spojrział na Toikellę. I znów nie potrafił znaleźć właściwych othinorskich słów.

- Wojownicy - powiedział, starając się za pomocą gestów odmalować grupę ludzi z włóczniami. - Każ im ruszyć. Na Eililylal. Już! Teraz! - Próbował jakoś pokazać atak, masakrę.

Król po prostu się na niego gapił. Oczywiście nie był w stanie zrozumieć majipoorskich słów, lecz nie w tym tkwił problem. Najwyraźniej zdumienie i strach po prostu go sparaliżowały - tak jak i jego śmiertelnych wrogów. Sprawiał wrażenie kogoś, kto mocno oberwał po głowie; szczęka mu obwisła, oczy miał szkliste. Bez najmniejszej wątpliwości wyczyny Korinaama wywarły na nim głębokie wrażenie, a już zwłaszcza niesamowite zakończenie przedstawienia, jednak z pewnością ogłuszyła go dopiero niszcząca potęga użytych przez żołnierzy miotaczy energii. W życiu nie doświadczył przecież niczego, co mogłoby przygotować go na widok nowoczesnej broni w akcji.

Mankhelm wyglądał równie beznadziejnie. Klęczał oszołomiony, bawiąc się kośćmi i amuletami zwisającymi z rzemienia zawiązanego wokół szyi.

Harpirias zdał sobie nagle sprawę z tego, że po przeciwnej stronie kanionu nie ma już armii Othinoru zdolnej wymieść wrogów. Wojownicy, których wysłał Toikella, a także ci,

którzy czekali na rozkaz ataku, wracali grupkami wszyscy bladzi, roztrzęsieni.

Harpirias z rozpaczą wyrzucił w górę ramiona.

- Nie! - krzyknął. - Wracajcie! Wracajcie, o, tam! Na Panią, ruszajcie za nimi teraz, kiedy macie szansę ich zmiażdżyć!

Milczący, oszołomieni, nic nie pojmujący, wojownicy gapili się tylko na niego z otwartymi ustami.

Dopiero wówczas Harpirias spojrział na drugą stronę kanionu. Jeden rzut oka wystarczył mu, by zrozumieć, że żaden atak nie będzie już potrzebny. Eililylal zniknęli. Gdy tylko przewyciężyli przykuwający ich do ziemi strach, uciekli w panice przez skały, pozostawiając tobołki, namioty, broń i narzędzia, porzucając wszystko, co przynieśli ze sobą z obozu leżącego gdzieś daleko, na najdalszej północy. Dwa spętane hajbaraki pozostały na miejscu, żywe.

Z pewnością wiele czasu minie, nim dzicy górscy Metamorflowie powrócą, by mieć spokój ludu Toikelli, pomyślał Harpirias, podszedł do Korinaama i położył mu dłoń na ramieniu.

- Doskonale się spisałeś - powiedział cicho. Byłeś wspaniały, wielki. Jeśli zawód przewodnika kiedykolwiek ci się znudzi, zrobisz majątek jako czarownik.

Korinaam tylko wzruszył ramionami.

- Bardzo się zmęczyłeś? - spytał Harpirias.

- A jak myślisz, książę? - W głosie Zmiennokształtnego słyhać było wyraźnie zarówno gniew, jak i wstyd, lecz przede wszystkim straszliwe, paralizujące wyczerpanie.

- A więc odpoczywaj. Lecz przedtem powiedz jeszcze królowi, że dotrzymałem danego słowa. Nieprzyjaciele uciekli, wojna się skończyła. Może posłać ludzi po te hajbaraki.

Kiedy szczegóły traktatu zostały już opracowane, jeden z żołnierzy - Ghayrog, uważający się za kaligrafa - zapisał jego tekst na dwóch dostarczonych przez Ivlę Vevikenik skórach, doskonale wyprawionych i niewiele grubszych od pergaminu. Jakkolwiek traktat był wyjątkowo krótki - składał się zaledwie z sześciu paragrafów - zapisywanie go trwało aż trzy dni, ku wielkiemu niezadowoleniu Harpiriasa. Jego zdaniem było to tylko marnowanie czasu na błahostki, Ghayrog jednak był bardzo dumny ze swej sztuki.

- Śliczne, i co z tego? - spytał Korinaama, gdy gotowe kopie dokumentu zostały mu wreszcie przyniesione. - Król nie zna słowa po majipoorsku. Wszystko, co zostało tu wypisane, znaczy dla niego nie więcej niż ślady ptasich łapek na śniegu. Może powinniśmy przygotować kopię po othinorsku?

- Pisany język othinorski nie istnieje - zauważył Metamorf z wyraźną wyższością.

- Nie istnieje?

- A wiele ksiązek widziałeś, wędrując po wiosce, książę? Harpirias zaczerwienił się.

- Mimo wszystko... traktat, którego sygnatariusz nie może przeczytać... czy nie wydaje ci się to szalenie jednostronne?

Zmiennokształtny obrzucił go spojrzeniem nie pozbawionym złośliwości. Wprawdzie od czasu przedstawienia w górach odzyskał niemal całą pewność siebie, jednak pozostał pewien ślad niechęci po tym, do czego go zmuszono.

- Och, książę, przecież nie masz się czego obawiać! Królowi spodoba się kopia, którą mu wręczymy! Powiesi ją na ścianie sali tronowej, od czasu do czasu czule pogłaszcze. Jego sprawa, czy potrafi przeczytać tekst? W końcu - nie myślę się, prawda?

- obchodzi cię wyłącznie wydostanie zakładników, a to przecież zostało już uzgodnione. Kiedy już zostaną zwolnieni i opuścisz te ziemie, jaką wartość będzie miał traktat

dla ciebie lub dla Toikelli?

- Dla mnie żadnej, ale dla króla, owszem, chyba wielką. Przecież dostaje to, na czym mu najbardziej zależało: ochronę swego ludu przed rządzącymi resztą Majipooru.

- Ach, oczywiście, oczywiście! - Metamorf roześmiał się, lecz nie był to śmiech wesoły.

- Któż ośmieliłby się pogwałcić święte postanowienia tego traktatu? Jeśli kiedyś w przyszłości jakiemuś przedsiębiorczemu Koronalowi zachciałoby się wysłać tu wojsko, wystarczy, by następca Toikelli po prostu zdjął traktat ze ściany i pomachał nim przed nosem dowódcy napastników, który bez wątplenia nakaze swym żołnierzom niezwłocznie się wycofać. Nie myślę się, prawda, książę? W końcu władcy Majipooru zawsze tak traktowali słabszych. Powiedz mi, książę, że to prawda i że się nie mylę.

Harpirias puścił aluzje Metamorfa mimo uszu. Niewątpliwie Korinaam żywił urazę do ludzi, on sam nie miał jednak zamiaru od nowa rozpocząć wojny Lorda Stiamota - i to tysiąc lat później. Ludzie źle potraktowali Piurivarów, ale od tego czasu minęły stulecia, Zmiennokształtni otrzymali zadośćuczynienie (jeśli można zadośćuczynić komuś za kradzież świata), pojednanie ras rozpoczęło się już za rządów Lorda Valentine'a i dawno się skończyło. Jeśli Korinaam nadal żywił urazę, była to jego prywatna sprawa. Samego Harpiriasa interesowało wyłącznie doprowadzenie do końca sprawy zakładników.

Po raz kolejny przeczytał tekst traktatu. Rzeczywiście, litery były pięknie wypisane. Z samego tekstu też mógł być dumny

- zwarty styl oraz jasno i niedwuznacznie określone zobowiązania sygnatariuszy nie pozostawiały miejsca na niedomówienia, nieporozumienia i różnice w interpretacji; w każdym razie tak mu się wydawało. Koronal Lord Majipooru uznaje suwerenność Jego Wysokości króla Othinoru i zobowiązuje się nie dopuścić więcej do samowolnego naruszania terenu jego państwa, to znaczy obszaru między tą a tą szerokością geograficzną północną aż do bieguna, i

tak dalej, i tak dalej. Ze swej strony Jego Wysokość król Othinoru zobowiązuje się zwolnić spod swej opieki dziewięciu paleontologów, którzy nieumyślnie naruszyli teren jego państwa, oraz zwrócić im zgromadzone okazy naukowe i tak dalej, i tak dalej.

O możliwości kontynuowania badań paleontologicznych nie było w traktacie żadnej wzmianki. Król najpewniej i tak by się na to nie zgodził - w końcu zależało mu przecież na obietnicy, że Majipoor nie będzie się wtrącał do jego spraw, a naukowcy zaraz po powrocie do domu mogą przecież napisać do Korona-la z prośbą, by wynegocjował u Toikelli pozwolenie na kontynuowanie wykopalisk. Harpirias miał tylko nadzieję, że do prowadzenia tych negocjacji Koronal znajdzie sobie innego ambasadora.

W traktacie nie wspominało także o reparacjach należnych Majipoorowi z tytułu dzieci narodzonych z majipoorskich ojców i othinorskich matek. Harpirias uznał, że sprawa dzieci jest zbyt delikatna, by włączać ją do negocjacji, choć przez tę decyzję dręczyły go wyrzuty sumienia. Dzieci z mieszanych związków miały pozostać Othinorczykami, to wszystko.

Dotarł do ostatniego zapisanego u dołu zwoju zdania.

“Na co my, Koronal Lord Ambinole, zgadzamy się bez zastrzeżeń i naszą królewską zgodę potwierdzamy własnoręcznym podpisem...”

Harpirias przerwał lekturę.

- Zaraz, zaraz - zwrócił się do Korinaama. - To sformułowanie narzuca konieczność zdobycia podpisu Koronala! Nie tak przecież...

- Poprosiłem GhaVroga o dokonanie drobnej zmiany... -rzekł spokojnie Metamorf.

-Co?

- Król Toikella nigdy nie pojął, iż jesteście tylko ambasadorem, a nie władcą, księżę.

Żyje w przekonaniu, że gościł Lorda Ambinole'a we własnej osobie.

- Sto razy prosiłem cię przecież, byś mu wyjaśnił...

- Rozumiem twój niepokój, książę, musisz jednak przyznać, że naszym zadaniem nadal jest przede wszystkim utrzymanie dobrych stosunków z Toikellą do momentu zwolnienia zakładników i przekroczenia granic jego państwa. W zaistniałej sytuacji informacja o waszym prawdziwym stanowisku mogłaby tylko doprowadzić do zadrażnień. Nawet teraz, gdy traktat został wynegocjowany i jest gotów do podpisu, ujawnienie tej drobnej tajemnicy miałyby nieobliczalne konsekwencje.

- Już ja mu dam konsekwencje! - zirytował się Harpirias. - Widział, czego dokonać mogą nasze miotacze. Jeśli po wszystkich tych rozmowach odmówi wydania zakładników...

- Żołnierze mogą dokonać wielkich zniszczeń, bez wątpienia - przyznał Korinaam. -

Niemniej jednak zakładnicy ciągle pozostają na łasce króla. Jeśli rozkaże ich zabić, podczas gdy twoi żołnierze demonstrować będą potęgę miotaczy... cóż wówczas osiągniesz, książę?

Nalegam, byś podpisał dokument jako Lord Ambinole.

- Tego nie zrobię. Przekroczyłbym wszelkie dopuszczalne granice.

- Oszustwo nie jest takim znów wielkim grzechem. Jeszcze raz zwracam twoją uwagę na fakt, że naszym głównym celem jest...

- ...uwolnienie zakładników. Oczywiście. Lecz co się stanie, kiedy kopia podpisanego traktatu dotrze na Górę Zamkową? Co powie Koronal, kiedy zorientuje się, że podrobiłem jego podpis? Nie, Korinaamie. Nie! Traktat podpiszę jako Harpirias z Muldemar. Jak słusznie zauważyłeś, Toikellą nie potrafi czytać. Niech się męczy z podpisem!

Na tym skończyła się dyskusja, ponieważ przybył poseł z informacją, że uroczysta uczta, podczas której nastąpić miało formalne podpisanie traktatu, rozpocznie się za chwilę w wielkiej sali królewskiego pałacu.

Harpirias miał wrażenie, że całe miesiące upłynęły od chwili, gdy był tu na poprzedniej

- swej pierwszej - uroczystej uczcie, wydanej z okazji jego przybycia do wioski. Zdawał sobie

jednak sprawę, że nie mogło upłynąć aż tyle czasu; parę tygodni, może trochę więcej, ale z pewnością nie całe miesiące! Niebo nadal rozświetlone było przecież aż do późnej nocy, zwiastujące zimę śnieżyce także się jeszcze nie zaczęły. Mimo to doskonale pojmował, jak zakładnikom udało się utracić poczucie czasu, jak udało się im zapomnieć, który jest rok. Tu, w dolinie, jeden dzień niepostrzeżenie przechodził w następny. Drugi, trzeci, morski, gwiazdny niczym się od siebie nie różniły. Nie znano tu kalendarza, zegarem zaś były niebiosa: słońce, gwiazdy, księżyc.

Sala bankietowa wyglądała dokładnie tak jak pierwszego dnia. Rozpakowano futra białych stitmojów i rozłożono je na podłodze, z szorstkich desek wspartych na krzyżakach z kości hajbaraków poskładano stoły, a na nich ustawiano misy, talerze i puchary po brzegi pełne jedzenia. Król siedział na tronie, mając u stóp rzesze żon i córek.

Tak, wszystko było jak przedtem... czas zmienił tylko samego Harpiriasa. Duszne, przesycone dymem powietrze wydawało mu się czymś całkowicie naturalnym, zapach jedzenia nie powodował mdłości, lecz wręcz przeciwnie, wzmacniał apetyt, gdyż książę Góry zdążył się już przyzwyczaić do żyłastych mięs i ostrych sosów stanowiących ulubione pożywienie tych ludzi, zdążył się już przyzwyczaić do gotowanych korzeni, smażonych orzechów, gorzkiego piwa i kwaśnych, galaretowatych zup i gulaszy. Pisk i skrzek muzyki królewskich grajków były mu też doskonale znajome, a kiedy od czasu do czasu od grupy wojowników stojących przy ścianie dobiegało go kilka wypowiedzianych głośniejszych słów, uśmiechał się ze zrozumieniem. Noce spędzone z Ivlą zaowocowały w końcu jako taką znajomością othinorskiego.

Tańce przed jedzeniem także wyglądały podobnie: najpierw tańczyły królewskie żony, potem Toikella majestatycznie plesał solo, później zaprosił gościa na parkiet. Tym razem jednak Harpirias wywołał Ivlę Vevikenik, stojącą w grupie córek królewskich; oczy dziewczyny zabłyśły dumą z tego zaproszenia, a i jej ojciec, choć skrzywiony i ponury,

wydawał się zadowolony z honoru, jaki ją spotkał.

Po tańcach nastąpiła uczta, z czym związane było picie -kolejka za kolejką, każda poprzedzana kwiecistym othinorskim toastem. Uroczyste kolacje na Górze Zanikowej nauczyły Harpiriasa sztuki picia w niewielkich ilościach - drobny łyzeczek, gdy inni brali haust, przy zachowaniu pozorów, że pije się dużo, szybko i na równi ze wszystkimi - co bardzo przydało mu się w przypadku mocnego othinorskiego piwa. Mądrość takiego zachowania ujawniła się dopiero, gdy opróżniono kufle, a na długim, wąskim stole u stóp tronu uroczyście ustawiono dwa kielichy ze starannie wypolerowanego kamienia. Następnie na scenie pojawił się wysoki urzędnik dworski z alabastrową wazą, z której nalał coś ostrożnie do obu kielichów. Najprawdopodobniej był to jakiś wysokoprocentowy alkohol.

W sali rozległy się ciche okrzyki i świadczące o zdumieniu westchnienia, z których Harpirias wywnioskował, że ma do czynienia z trunkiem o wyjątkowym charakterze, z czymś podawanym wyłącznie przy bardzo uroczystych okazjach: koronacji, narodzinach następcy tronu... albo podpisaniu traktatu z władcą sąsiedniego plemienia.

Toikella powoli zstąpił z podwyższenia, na którym stał tron, podszedł do stołu i ujął jeden z kielichów w dłoń. Przez cały wieczór - nawet podczas tańców, nawet w trakcie co weselszych fragmentów uczy - sprawiał wrażenie nienaturalnie ponurego, napiętego, pogrążonego w niewesołych myślach, teraz jednak mogłoby się wydawać, że wręcz uczestniczy w pogrzebie. Nie pasowało to zupełnie do tej przecież radosnej okazji. Czym się martwił? Gdzie podziała się ta tak u niego naturalna żywiołowa radość, niewyczerpana witalność?

Król spojrział na Harpiriasa, a potem na stojący na stole drugi kielich. Nie było żadnych wątpliwości - Harpirias wstał, podszedł i ujął naczynie oburącz, jak on. Stał nieruchomo, a Toikella górował nad nim; przy nim Harpirias czuł się jak karzeł, maleńki i nic nie znaczący, a

najbardziej nie podobało mu się ponure spojrzenie gospodarza.

Czyżby w kielichu była trucizna? Czyżby Toikella z niepokojem czekał, kiedy jego gość wypije ten jeden, fatalny łyk?

Harpirias doskonale zdawał sobie sprawę z nonsensowności tego pomysłu. Oba kielichy napełniono przecież z tego samego naczynia. Toikella z pewnością nie planował zakończyć uroczystej uczyty samobójstwem!

Król przyłożył kielich do warg. Harpirias uczynił to samo. Przez moment ich oczy spotkały się ponad brzegami pucharów; spojrzenie króla było złowrogie, pełne z trudem powstrzymanego gniewu. Coś tu jest nie w porządku - pomyślał Harpirias, spoglądając niepewnie ku Ivii Vevikenik; Ivla uśmiechnęła się tylko, skinęła głową, po czym podniosła do ust wymaginowane naczynie. Czy byłaby w stanie go zdradzić? Nie, z całą pewnością nie. Może pić bezpiecznie.

Ostrożnie spróbował podanego mu trunku.

W ustach poczuł płynny ogień, który spłynął mu gardłem i palił żołądek. Harpirias aż sapnął, ale zawział się i podniósł kielich raz jeszcze. Toikella zdążył już wypić swoją porcję, on zaś był najwyraźniej nieco spóźniony. Za drugim razem poszło łatwiej, choć w głowie już mu się zaczynało kręcić. Czy straci twarz, jeśli nie zdoła dopełnić ceremonii? W końcu jest pełnomocnym przedstawicielem Koronala! Co więcej, w oczach Toikelli jest Koronalem we własnej osobie. Nie może narazić honoru całego Majipooru, nie wobec tych barbarzyńców! Jeszcze jeden łyk. I jeszcze jeden. Trzeci okazał się ostatnim. Kielich był pusty.

Alkohol uderzył go z siłą armatniej kuli. Ramiona drżały mu niemal tak, jakby cierpiał na konwulsje. Czuł zawroty głowy, ucisk w skroniach. Zachwiał się i przez chwilę był nawet pewien, że upadnie, zdołał jednak utrzymać równowagę, tylko nieco szerzej rozstawił nogi.

Na Panią, czyżby król zamierzał nalać im drugą porcję?

Nie, nie zamierzał. Dzięki niech będą Bogini - i Toikelli wystarczył jeden kielich!

- Traktat - rzekł krótko. Sprawiał wrażenie wyjątkowo ponurego. - Teraz podpisujemy.

- Tak. - Harpirias zadrżał i zatoczył się lekko. - Teraz podpisujemy.

Na stole u stóp tronu leżały już dwie kopie traktatu. Dla króla przyniesiono krzesło z kości, podobne ustawiono także dla Harpiriasa; obaj usiedli ramię przy ramieniu, z widokiem na zgromadzonych w sali wielkich Othinoru. Korinaam, tłumacz i doradca, stał za plecami Harpiriasa, król miał do pomocy Mankhelma.

Toikella ujął jeden ze zwoi w wielką garść i uniósł wysoko, jakby rzeczywiście zdolny był przeczytać wypisane na nim słowa, po czym chrząknąwszy, odłożył go na stół i uniósł drugi. Z pewną satysfakcją Harpirias dostrzegł, że ten trzyma do góry nogami.

- Wszystko dobrze? - zapytał.

- Tak, wszystko dobrze. Podpisujemy.

Korinaam wręczył księciu przygotowany zawczasu rysik, już umoczony w atramencie.

Pochylił się przy tym i szepnął - cicho, lecz stanowczo:

- Widzisz miejsce panie, w którym masz złożyć podpis, prawda?

- Nie mam zamiaru podpisać się imieniem...

- Podpisz, książę. Już. Nie masz wyboru. Musisz.

Szybkimi, gniewnymi ruchami Harpirias napisał u dołu strony: "Ambinole Koronal Lord". Miał wrażenie, że popełnia uczynek potworny, wręcz świętokradczy. Przez moment patrzył na widniejące pod traktatem słowa, a potem, nim Korinaam zdążył sprzeciwić się choćby gestem, dodał jeszcze: "Harpirias z Muldemar, w imieniu Lorda Ambinole'a". Niech się Toikella martwi, jak rozwiązać tę zagadkę... jeśli w ogóle domyśli się jej istnienia.

Podał królowi podpisaną kopię, przyjmując od niego jednocześnie drugi egzemplarz traktatu. W dolnym lewym rogu widniał położony z wysiłkiem przez niepiśmiennego wodza

gruby, nieczytelny zawijas. Harpirias jeszcze raz podpisał się imieniem władcy, dodając pod nim swe własne.

Wszystko zostało więc załatwione. Traktat był podpisany.

- Goszmar - powiedział. - Teraz zakładnicy.

- Goszmar - burknął Toikella, po czym krótko skinął głową. Machnął ręką - na ten sygnał drzwi sali otworzyły się i do środka niepewnym krokiem weszło ośmiu trzymany dotąd w jaskini jeńców. Prowadził ich chudy, niesamowity Sałvinor Hosz, który natychmiast podbiegł do Harpiriasa i padł przed nim na kolana.

- Czyżbyśmy rzeczywiście byli wolni?

Harpirias gestem wskazał leżące na stole dwa zwoje.

- Traktat został uroczyście podpisany. Wyruszamy z samego rana.

- Wolni! Wreszcie jesteśmy wolni! A kości... widzieliśmy je przy drzwiach, wszystkie.

Czy je także nam zwracają?

- Król wyznaczy tragarzy, którzy doniosą je do ślizgaczy.

- Wolni! Przecież to nieprawdopodobne! - W szalonej radości paleontolodzy rzucili się sobie w ramiona. Niektórzy sprawiali wrażenie oszalałych ze szczęścia, inni wyglądali, jakby nie potrafili uwierzyć, że wreszcie nadszedł kres niewoli.

- Dajcie tym ludziom jeść i pić - poprosił Harpirias. - To także ich święto!

Toikella wyraził przyzwolenie niedbałym machnięciem ręki. Uczonym nalano piwa, pojawiły nowe misy z mięsem. Król jednak oddalił się od świętujących; stał, przyglądając się im ponuro i nie biorąc udziału w zabawie.

Czyżby planował zdradę na jej zakończenie? Czy dlatego przez cały czas był taki dziwnie skupiony, czy dlatego otaczała go aura wyraźnie widocznego niepokoju?

- Twój ojciec... co go tak martwi? - spytał Ivlę Harpirias. Dziewczyna zawahała się.

Widział, jak próbuje coś powiedzieć, jak szuka słów.

- Nic go nie martwi - odparła w końcu.

- Nie jest sobą.

- Jest zmęczony. Jest... tak, to wszystko. Jest zmęczony. Nie próbowała nawet udawać, że mówi z przekonaniem.

- Nie - powiedział Harpirias. Gniewnie wpatrywał się w swe dłonie leżące na stole, przeklinając niedoskonałą znajomość othinorskiego.

Nagle podniósł głowę i spojrzał księżniczce wprost w oczy.

- Powiedz mi prawdę - poprosił. - Coś tu jest nie tak. Co?

- On... on się boi.

- Boi? On? Czego?

Przez dłuższą chwilę dziewczyna nie mówiła nic.

- Ciebie - powiedziała w końcu. - Twoich ludzi. Ich broni.

- Przecież nie ma się czego bać. Podpisaliśmy traktat. Gwarantujemy w nim Othinorowi bezpieczeństwo i pokój.

- Tak, oczywiście. Wy gwarantujecie nam pokój i bezpieczeństwo.

W głosie dziewczyny brzmiała gorycz i to ona wyjaśniła wreszcie wszystko Harpiriasowi.

Tak, oczywiście, król się bał. Był także zły i czuł się upokorzony, a to mu się zdarzyło pierwszy raz w życiu. Toikella zorientował się wreszcie, przeciw komu wystąpił, i wiedza ta okazała się dla niego nieznośna.

Być może Ivla Vevikenik przekazała ojcu coś z opisanych jej przez posła wspaniałości Majipooru, coś z opowieści o niesłychanym bogactwie płonów, wielkich, bystrych rzekach, miliardach mieszkańców planety, o dwóch kontynentach pełnych wspaniałych miast, nad którymi

wznosiła się w majestacie Góra ukoronowana ogromnym pałacem Koronała. Cokolwiek dziewczyna zrozumiała z jego słów, przekazała oszołomionemu, ogłupiałemu ojcu - prawdopodobnie powiększone jeszcze i zniekształcone przez jej nieskrępowaną wiedzą wyobraźnię - tak że to, co wielkie, stało się ogromne, wręcz przytłaczające.

A potem Toikella zobaczył miotacze w akcji - wielkie skalne płyty znikające w zetknięciu z fioletowym światłem tryskającym z metalowych rur, które trzymali w dłoniach żołnierze jego gościa... i znieawidzonych Eililyl uciekających niczym szczury przed lawiną spadających im na głowy kamieni...

Nic dziwnego, że król był aż tak ponury. Po raz pierwszy w życiu znalazł się w obliczu siły, której nie były w stanie zniszczyć ani jego niepokonana energia, ani szczere groźby. Poznał wreszcie prawdę o świecie: jego małe państewko nie miałoby cienia szansy w starciu z owym wielkim, tajemniczym światem leżącym poza skalną ścianą. Pomału Toikella zaczął pojmować, że jest jak mała pchełka na grzbiecie wielkiego Majipooru i to go musiało zboleć.

Jakże musiało go zboleć!

Harpirias zdał sobie nagle sprawę z tego, jak bardzo i szczerze żałuje tego starego wściekłego potwora. Zdał sobie sprawę, że go lubi i że nie chce być tym, który go poniżył. Rozejrzał się, szukając wzrokiem Korinaama, przywołał go do siebie. To, co chciał powiedzieć, było zbyt ważne i trudne, by mógł to przekazać swym jakże niedoskonałym, niezręcznym othinorskim.

- Chcę, żebyś mu powiedział - polecił Metamorfowi - że my, Majipoorczy, uważamy podpisany z nim traktat za święte zobowiązanie. Jego klauzule zabezpieczają niezależność Othinoru na zawsze.

- Przecież on to wie - stwierdził Korinaam.

- Nie obchodzi mnie, co wie, a czego nie wie! Tłumacz! Powiedz mu, że może mieć

zaufanie i do traktatu, i do mnie. Powiedz mu, że nikogo z jego plemienia nie spotka krzywda z naszych rąk.

- Jak sobie życzysz, książę.

Korinamm zwrócił się do króla. Mówił długo; o ile Harpirias potrafił ocenić, tym razem Zmiennokształtny przekazał wiernie to, co mu kazano przetłumaczyć. Skutek tej przemowy był chyba jednak odwrotny od zamierzonego. Toikella skrzywił się jeszcze bardziej, żuł dolną wargę, zaciskał pięści, z trzaskiem wyłamywał sobie wielkie, kościste paluchy. Rozdymał nozdrza, twarz wykrzywiała mu narastająca wściekłość.

Odpowiedział wreszcie, patrząc nie na tłumacza, lecz wprost na gościa. Mówił krótko, kpiąco, ale w jego głosie brzmiał wyraźny gniew.

- Dziękuję. Jestem ci wdzięczny za to, że się nad nami zlitowałeś.

Harpirias bez problemu pojął zarówno same słowa, jak i ich ukryte znaczenie - tak, król bezbłędnie zrozumiał, że od dziś rządzi wyłącznie z łaski władców Majipooru... i niełatwo przyszło mu to zaakceptować - nadal jednak czuł potrzebę wyrażenia mu swej sympatii, podniesienia go na duchu.

- Wasza wysokość... mój dobry, wypróbowany przyjacielu...

Toikella przerwał mu warknięciem.

- Odejdź. Już, teraz, zaraz. Odejdź! Opuść tę salę, opuść tę ziemię i nigdy nie wracaj; ani ty, ani tobie podobni.

Korinamm próbował przetłumaczyć słowa władcy, lecz Harpirias tylko machnął ręką.

Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, czego chce od niego pan Othinoru. Wyciągnął ku niemu rękę. Toikella patrzył na nią, jakby była czymś nieczystym. Otaczała go atmosfera obrażonej pańskiej godności, mroźna jak najmroźniejszy zimowy dzień na jego ziemi.

- Nie boimy się was - oświadczył pogardliwie. - Imperium może próbować, jeśli zechce.

Będziemy gotowi! Nawet gdybyście przysłali armię dwustu wojowników! Nawet gdybyście przysłali ich trzystu!

Na to Harpirias nie znalazł już odpowiedzi. Lepiej zostawić sprawy własnemu biegowi, pomyślał. Duma Toikelli pozostała w każdym razie nie naruszona. Być może zadane jego duszy rany zagoją się z czasem, być może na starość będzie opowiadał, jak to pewnego razu zmusił Koronala Majipooru, by ten pokornie czołgał się przed jego tronem, błagając o uwolnienie swoich wysłanych na północ wędrowców, i jak to on wielkodusznie uwolnił ich w zamian za dziecko królewskiej krwi.

Niech i tak będzie, pomyślał jeszcze Harpirias. Korinaam miał jednak rację, zmuszając Toikellę do przełknięcia gorzkiej prawdy, nic by się nie zyskało, a sporo można by stracić. Uroczyście pożegnał króla, który przyjął jego pożegnanie dostojnie i obojętnie, po czym obrócił się ku Ivii i po raz ostatni wziął ją, zapłakaną, w ramiona. Czy miał jej jednak coś do powiedzenia na pożegnanie? Mimo retoryki, którą na Górze Zamkowej opanował do perfekcji, nic mu nie przychodziło do głowy. Dziewczyna patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem. Uśmiechnął się, odpowiedziała słabym, wymuszonym uśmiechem. Jej oczy lśniły od łez, wytarła je rękawem. Nie mógł nawet pocałować jej na do widzenia, tutejsi ludzie nie znali pocałunków. W końcu ujął jej dłoń i przytrzymał przez chwilę, a potem puścił. Ivla też ujęła jego rękę, delikatnie położyła na swym brzuchu i przycisnęła lekko, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że narodziło się tam nowe życie.

Puściła go i odwróciła się plecami.

Harpirias zebrał żołnierzy, gestem nakazał uwolnionym zakładnikom, by poszli z nimi, i wyszedł z sali.

Usiane gwiazdami czarne niebo świadczyło wyraźnie o tym, że do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Czas ten wypełniło ładowanie ślizgaczy i przygotowanie ich do długiej drogi. Nim zakończyli, na wschodzie pojawiły się różowe pasma.

Harpirias stał przez chwilę tuż przy skalnej ścianie otaczającej ukrytą przed światem wioskę.

Oto wracał wreszcie do domu. Wracał do ciepłego, cywilizowanego Majipooru, być może wracał też do swej tak nieszczęśliwie przerwanej kariery na Górze Zamkowej. Wypełnił zadanie, które mu zlecono. Co więcej - przeżył wielką przygodę, o której opowiadać może aż do śmierci. Koronał z wdzięcznością wysłucha jego opowieści, bliscy mu doradcy także. Wraca więc do domu, by zacząć snuć tę opowieść; wraca do domu, do gorącej kąpieli, do potraw, które da się jeść, do ostryg i przyprawionych na ostro ryb, do piersi sekkimaunda i udźca bilantoona, do mocnego wina z Muldemar i ciemnoczerwonego wina z Bannilannikole, do złotego wina z Piliploku i wspaniałego srebrnoszarego wina z Amblemoru... być może spróbuje ich wszystkich od razu, puchar po pucharze? Być może wypije je w towarzystwie pięknej dziewczyny o jasnych oczach i delikatnej twarzy, być może spędzi z nią noc... być może zje kolację, wypije wino, spędzi noc nie z jedną dziewczyną, lecz dwoma czy trzema... Dlaczego nie?

Harpirias doskonale zdawał sobie jednak sprawę z tego, że Othinor odcisnął mu się w duszy na zawsze. Bez wątplenia będzie o nim śnił, gdy znajdzie się już w domu, a w snach widzieć będzie lodowy świat, zadymioną salę pałacu Toikelli, podskakujących, skrzeczących Eililylal... O tak, będzie śnił o Othinorze i dziewczynie o lśniących od tłuszczu włosach, z górną wargą przebitą kawałkiem kości; dziewczynie, która wślizgnęła się do jego pokoju, która przez tyle mroźnych nocy grzała go swym ciałem.

Tak, tak, będzie śnił o tym i nie tylko o tym. Wiedział, że nigdy nie zapomni Othinoru.

- Ślizgacze załadowane - zameldował Eskenazo Marabaud. - Słońce już wschodzi. Czy możemy ruszać?

- Za chwilę - rzekł Harpirias.

Wszedł w wąską szczelinę przebijającą skały jak klin - jedyne wejście do kraju Toikelli.

W niepewnym świetle poranka chaty z lodu błyszczały słabym światłem. Zachłannie przyglądał się lśniącym, dekorowanym lodowymi rzeźbami fasadom, wyrzeźbionym z lodu fantazyjnym dekoracjom.

Przed domem, w którym mieszkał, dostrzegł maleńką z tej odległości postać. Nie widział jej wprawdzie wyraźnie, lecz wyobraźnia podsunęła mu doskonały w każdym szczególe portret: portret przysadzistej dziewczyny w niedbale zarzuconym na ramiona futrze, dziewczyny, która chyba nosiła w sobie jego dziecko.

Pomachała mu, najpierw niepewnie, a potem entuzjastycznie; dowód zarówno miłości, jak i tęsknoty.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, potem również pomachał i odszedł.

Wsiadł do ślizgacza. Rozpoczęła się długa droga powrotna. Droga do domu.